

ROZMOWA Z AMBASADOR USA W POLSCE

Georgette Mosbacher o JUST Act 447:
Mam świadomość, że ten temat nie zniknie

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 31/333 29 LIPCA-4 SIERPNIA 2019

Polska gra o fotele w Brukseli

„KRÓL LEW”
ZNÓW
RZĄDZI
W KINACH



Czy Boris Johnson
wyprowadzi
Wielką Brytanię z UE

GDYBY WYGRAŁ ANTY-PIŚ

Tak wyglądałaby Polska w 2021 r. pod rządami lewicy
– opowieść political fiction Pawła Lisickiego



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

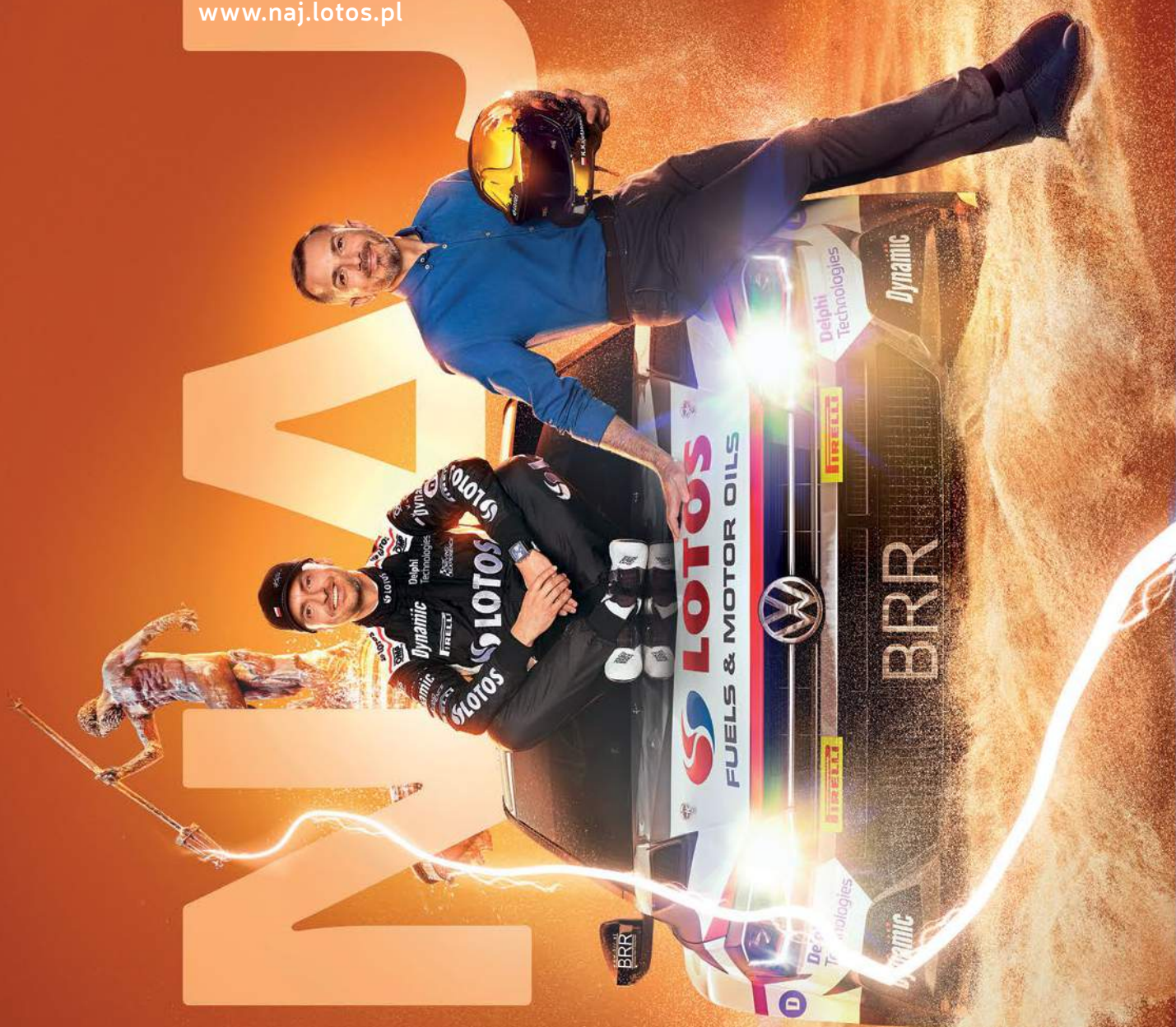


Nakład: 77 tys. egzemplarzy

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKAĆ

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pragmatyzm i jego owoce

W czwartek przyjechała do Polski niedawno wybrana przewodnicząca Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen, która spotkała się m.in. z premierem Mateuszem Morawieckim.

Lewicowe media skupiły się na podkreślaniu tych słów nowej szefowej KE, z których miałyby wynikać krytyka działań polskich władz. „Będziemy mówili o trudnych tematach. Co do niektórych tematów się zgodzimy, co do niektórych pewnie się nie zgodzimy. To tematy takie jak kwestie migracyjne i kwestie praworządności. Ważne jest, by się wysłuchać i darzyć się wzajemnym szacunkiem” – słowa te miałyby świadczyć o dystansie i niechęci do PiS. Doprawdy to zabawne, jak bardzo muszą się namęczyć przeciwnicy rządu, byle tylko za wszelką cenę wykazać, że pozycja Polski jest słaba. W domyśle: gdyby w Warszawie nie rządził przebrzydły PiS, wszystko byłoby inaczej. Fakty jednak są inne. To, że Polska jest drugim krajem, który odwiedza nowa przewodnicząca, mówi za siebie. Ursula von der Leyen, niezależnie od uczuć, którymi obdarza obecny rząd, musi się liczyć z ko-

niecznością. Została wybrana dzięki poparciu kilku europosłów PiS i tak długo, jak będzie od tego uzależniona, będzie musiała za to płacić. Oznacza to wzrost znaczenia Polski i, częściowo przynajmniej, zmianę podejścia Brukseli do PiS. A to, że „co do niektórych tematów się zgodzimy, co do niektórych pewnie się nie zgodzimy”, jest banałem.

Nie znaczy to jeszcze, że mamy już do czynienia z przełomem i że wybór pani von der Leyen nie niesie ze sobą niebezpieczeństwa. PiS poparł ją z powodów oczywistych: była po prostu lepszym wyborem niż Frans Timmermans, a żaden inny kandydat nie wchodził w grę. Była to zatem decyzja pragmatyczna i realistyczna. Pozwoliła wyjść Polsce z izolacji, w której chcieli ją zamknąć lewica i liberałowie, pozwoliła też walczyć o istotne stanowiska w Komisji. Jednak nic nie jest za darmo. To, czy nowy realizm w relacjach z Unią będzie się naprawdę opłacał, zależy od różnych czynników. To raczej śmiała inwestycja na giełdzie, a nie spokojna lokata w obligacje.

Po pierwsze, jak dalek będzie się zachowywać sama pani von

der Leyen? Możliwe są dwa scenariusze. Zgodnie z pierwszym uzna, że dotychczasowe poparcie jej wystarczy, i jak do tej pory będzie zachowywać się pragmatycznie. Jak typowy przedstawiciel prawicowej lewicy czy też lewicowej prawicy będzie głosić ekologizm, poparcie dla LGBT i domagać się przyjmowania muzułmańskich imigrantów, ograniczając się do powtarzania europejskich sloganów. W praktyce jednak hasła te będą jedynie decorum. Może jednak szukać dla siebie i powołanej przez siebie komisji szerszego poparcia politycznego, np. ze strony socjalistów i zielonych. Żeby się uwiarygodnić w oczach nowych partnerów, mogłaby wówczas poświęcić pragmatyczne relacje z Polską i stanąć na czele, tak jak tego chciał Timmermans, nowej antyprawicowej, antypopulistycznej krucjaty.

Po drugie, pragmatyzm przynosi różne zaskakujące niekiedy efekty. PiS poparł panią von der Leyen, mimo że jej publiczne deklaracje pozostają w sprzeczności z dotychczasową polityką partii rządzącej. Na razie koszty były ze strony polskiej niewielkie. Co więcej, jasne wskazanie na Krzysztofa Szczerskiego jako na kandydata na komisarza to posunięcie dobre, tym bardziej że pani von der Leyen, jak donosiły media, chciała, zgodnie z feministyczną poprawnością, namówić Warszawę do wskazania kobiety. Może jednak pojawić się pokuś, przynajmniej u jakiejś grupy polityków, żeby w imię tego nowego pragmatyzmu europejskiego złagodzić nieco dotychczasową retorykę, wycofać się z niektórych postulatów i hasel.

Polityka to sztuka konieczności. Najczęściej wybiera się nie dobro, ale mniejsze zło. Takim właśnie mniejszym złem był wybór nowej przewodniczącej Komisji. Czy warto było go dokonać, okaże się wkrótce. ©

RYSUNEK TYGODNIA



KRAJ

22 ROZMOWA Z DR. MARCINEM ROMANOWSKIM

WALCZYMY Z IDEOLOGIĄ,
KTÓRA ATAKUJE WOLNOŚĆWiceminister sprawiedliwości: „Uchronimy
polskie dzieci przed skutkami indoktrynacji LGBT”

26 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKO

GRUPA WYSZEHRADZKA
CHCE COŚ ZNACZYĆ

30 DOMINIKA ĆOŚĆ

WALKA O TEK

32 PIOTR SEMKA

ŚWIĘTO „PIĘCIU KRÓLI”

34 ŁUKASZ WARZECHA

NASZE ŻYCIE W RĘKACH CALDERA?

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

PODHAŁE PO JAPOŃSKU

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

O LWACH I LUDZIACH

Jak Disney odświeża klasykę

40 TOMASZ ROWIŃSKI

OJCIEC KOMISARZA MONTALBANO

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 ROZMOWA Z GEORGETTE MOSBACHER

NIE CHCĘ BYĆ NIEPOTRZEBNIE
PROWOKACYJNAAmeryka wysłała dodatkowych żołnierzy
do Polski

TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ LISICKI

NOWA, WSPANIAŁA PRZYSZŁOŚĆ

Polska 2021 – gdyby wygrał anty-PiS

52 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

MONOWŁADZA KACZYŃSKIEGO

HISTORIA

54 ROZMOWA Z POWSTAŃCEM WARSZAWSKIM

POLACY SIĘ NIE PODDAWALI

Wielkopole w Powstaniu Warszawskim

58 DODATEK SPECJALNY

POLSKA NAFTOWYM POTENTATEM

ŚWIAT

70 PIOTR KOŚCIŃSKI

BORIS JOHNSON: PREMIER ZAGADKA

Następca Theresy May

72 MACIEJ PIECZYŃSKI

KUM PUTINA DRUGI NA PODIUM

74 JACEK PRZYBYLSKI

KRES GANDHICH

78 MAREK BUDZISZ

CZARNOBYLE NA DNIĘ OCEANU

EKONOMIA

80 TOMASZ WRÓBLEWSKI

W PEŁNI DYSPOZYCYJNA

Nowa szefowa Europejskiego
Banku Centralnego

RAPORT „DO RZECZY”

85 POLSKA POTRZEBUJE
POLITYKI SUROWCOWEJ

STYL

94 TOMASZ
KAŻMIEROWSKIGALILEA, JUDA,
LIBAN? ANTILIBAN!Wakacyjny cykl o winie
– bliskowschodnie
odkrycia

O ZDROWIU

96 RAPORT: ONKOLOGIA 2019

JAK SIĘ LECZY W POLSCE



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY

Eksplozja na Kilińskiego • Wstrząsający wywiad z żołnierzem AK
• Dodatek specjalny na 75. rocznicę powstania '44

Reynald Secher – Wolność, równość, ludobójstwo
Piotr Semka – Męczeństwo Ludwika XVI
Marcin Bartnicki – Rebelia w Wandei
Piotr Zychowicz – Jak Węgrzy ratowali Polaków na Wołyniu
Tomasz Stańczyk – Niesamowite wyczyny lotników II RP
Yunte Huang – Szokująca historia braci syjamskich

Marian Zacharski – Gestapo porywa oficera Abwehry
Sławomir Cenckiewicz – Zwalczając bolszewizm!

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

czytaj także na historia.dorzeczy.pl

Drodzy Czytelnicy,

Dziś tylko jeden list. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Cud na Czerniakowskiej

Szanowna Redakcjo, wiele się ostatnio mówi i pisze o znacznej poprawie pracy sądów w Polsce. Spotkała mnie ostatnio sytuacja, która niestety wzbudza moje wątpliwości w tym zakresie. Jestem młodym wynalazcą i doktorantem. Moje rozwiązania technologiczne spotkały się z zainteresowaniem i z czasem przystąpiłem do jednej z warszawskich spółek z o.o. jako wspólnik mniejszościowy. Okazało się jednak, że na tym optymizmie wynikający ze współpracy się zakończył. Wspólnicy większościowi, kiedy uznali, że nie jestem im już dłużej potrzebny, postanowili wprowadzić do umowy spółki zapisy o przymusowym umorzeniu udziałów, co ma im umożliwić pozbycie się mnie ze spółki. Zapisy te dają dużą dowolność i są w mojej ocenie sprzeczne z ustawą. Takie oświadczenie złożyłem również do protokołu notarialnego obejmującego zmianę umowy spółki

wprowadzającej wolę większości wspólników owe zmiany. Protokół notarialny został sporządzony w czwartek i tego samego dnia spółka złożyła wniosek o rejestrację zmian przez sąd rejestrowy w Warszawie. Ja dodatkowo wysłałem do sądu rejestrowego pismo wskazujące na wadliwość zmian wprowadzanych przez wspólników. Liczyłem, że sąd rejestrowy uważnie przyjrzy się kontrowersyjnej sprawie, w szczególności jeśli treść aktu notarialnego otwarcie sugeruje niezgodność z przepisami KSH. Tymczasem sąd rejestrowy już w poniedziałek – zaledwie po dwóch (!) dniach roboczych od złożenia wniosku – dokonał wpisu zmian. Tempo niespotykane nie tylko w Warszawie, lecz także w całej Polsce. Zazwyczaj wpis trwa od trzech do sześciu tygodni, a tu jedynie dwa dni. Nie umiem sobie wytłumaczyć takiego obrotu sprawy i jestem zaniepokojony rosnącym ryzykiem pokrzywdzenia mnie przez wspólników poprzez przymusowe umorzenie moich udziałów. Każę mi to co najmniej przypuszczać, że sąd nie miał żadnego czasu na zastanowienie się nad zgłaszanymi uwagami co do zgodności z prawem tej uchwały. Innych przypuszczeń nie chcę snuć. Jako obywatel

oczekiwałem od sądu, że sprawy do niego kierowane będzie badał rzetelnie. Nie oczekuję, że zawsze po mojej myśli. Chciałbym mieć jednak poczucie sprawiedliwego potraktowania, szczególnie że w sprawie rejestrowej mi jako wspólnikowi nie przysługują środki odwoławcze. Wydawało się, że takie pochopne wpisy w KRS po sprawie tureckiego biznesmena Sabiego Bekdasa, któremu w ten sposób odebrano spółkę, nie będą dokonywane. Jak się okazuje, nadal jest inaczej.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Składamy wyrazy naszego serdecznego współczucia



Pani Minister Halinie Szymańskiej

Szefowi Kancelarii Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej

łącząc się w głębokim smutku po odejściu

Ojca

Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie!

Prezydent RP Andrzej Duda
z Małżonką Agatą Kornhauser-Dudą

DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowski, **Marek Budzisz**, **Slawomir Cendekiewicz**,
Wiesław Chelminski, **Dominika Cioś** (*Brulskela*), **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Maria Kądzelska**, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**,
Slawomir Koper, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*), **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małowski, **Monika Małowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torajski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wołski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzry, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marek Dobos**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**

Okładka: **Marek Konrad/Reporter**, **Adobe Stock**, oprac. graf. 12 kredek/JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustments tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, że dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bez sentymentów

Rysunek z księdzem podlewającym na grzędce swastyki tak bardzo spodobał się Krystynie Jandzie, że umieściła go na swoim profilu na Facebooku. Podobny rysunek, tyle że z księdzem napuszczającym skoinów na gejów, jednocześnie molestującym dziecko, spodobał się Krzysztofowi Luftowi i Michałowi Boniemu. Jednak tezę, że Kościół katolicki odpowiada za ataki kiboli na Marsz Równości w Białymstoku, stworzyły znacznie większe tuzy w liberalnym salonie. Bartłomiej Sienkiewicz – ważny polityk Platformy – ogłosił: „Bandyterka poniżająca kobiety i plująca na innych jest przejawem wsparcia i osłony przez PiS i Kościół”. Jacek Żakowski orzekł, że „ksenofobiczne oprychy, które od lat coraz bezczelniej grasują po polskich ulicach, nie dorastają faszystom do pięt. Nie mają pomysłu na świat ani innowacyjnej doktryny społecznej i ekonomicznej. Mają tylko nienawiść oraz poparcie funkcjonariuszy państwa i Kościoła, którzy ich używają, by załatwiać swoje interesy”. A Paweł Rabiej, wiceprezydent Warszawy, twe-

etował: „I jak można się dziwić, że szumowiny i chuliganeria atakują, skoro od najmłodszego uczniowie są namawiani do nienawiści przez opłacanych zresztą przez państwo katechetów”.

Ta erupcja antykatolickiej nienawiści pod perfidnie używanym hasłem walki z nienawiścią szokuje, ale nie dziwi. Co z tego, że Kościół nie miał nic wspólnego z zadymą kiboli? Co z tego, że episkopat szybko potępił używanie przemocy w Białymstoku? Próba obwiniania hierarchów za agresję stadionowych zadymiarzy jest bezczelna, ale z punktu widzenia obozu obyczajowej rewolucji racjonalna. Chodzi o to, by Kościół zmusić do milczenia wobec ideologii LGTB za pomocą używania pałki oskarżeń o faszystów i nienawiść. Tradycja takiej taktyki jest długa. Komuniści zawsze nazywali faszystami tych, którzy stali na drodze do ich politycznej i ideowej hegemonii. To dlatego KPP przed wojną nazywała socjalistów z PPS socjalfaszystami. To dlatego bohater Auschwitz rtm. Witold Pilecki był wyzywany od faszystów w ubeckim śledztwie.

To, co szokuje, to to, jak niewielu jest śmiałków, którzy publicznie mają odwagę powiedzieć, iż jest to podłe i nieuczciwe. Tych obrońców Kościoła wcale nie ma więcej niż w czasie kampanii zniesławiania biskupów w epoce Gomułki w 1966 r. Dekady minęły, ustrój się zmienił, a zwykłe synowskie poczucie obowiązku obrony matki – Kościoła – wcale nie jest dziś silniejsze. Bartłomiej Sienkiewicz nagle zapomniał, jak korzystał w latach PRL z kościoła w Mistrzejowicach, gdy organizował „podziemną” Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka. Jacek Żakowski nie czuje żadnego długu wdzięczności za to, że w stanie wojennym katolickie pismo „Powściągliwość i Praca” dawało mu przeżyć. Krystyna Janda, owszem, przeżywała mocno śmierć Jana Pawła II w dniach jego agonii, ale dziś bawi ją rysunek księdza hodującego swastyki. W momentach, gdy rusza ideologiczna nagonka, nic się nie liczy. Każdy salonowiec staje posłusznie w szeregu.

Niby powinienem się przyzwyczaić, a ciągle mnie to zdumiewa. ©©

Zakazując ideologii LGBT, czynimy dobro

Z Tomaszem Sakiewiczem, redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej”

rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Prawnik Michał Wawryniewicz uzyskał w sądzie zabezpieczenie, na podstawie którego „Gazeta Polska” będzie musiała wycofać wlepki o LGBT z rynku. I co teraz?

TOMASZ SAKIEWICZ: Na tę chwilę [czwartek 25 lipca – przyp. red.] nie dostałem żadnej decyzji. Byłby to pierwszy przypadek tego typu cenzury w III RP. Nie zabezpieczono pism, które nawoływały do przemocy, znieważały katolików czy zawierały treści parapedofilskie, natomiast nie wolno krytykować ideologii LGBT, tak samo jak kiedyś nie wolno było krytyko-

wać ideologii komunistycznej. Postanowienie będzie prawomocne siedem dni od doręczenia, więc po tych siedmiu dniach poprosimy o usunięcie nalepki albo się wcześniej odwołamy od tej decyzji.

Wasi krytycy argumentują, że samo sformułowanie „strefa wolna od...” może wzbudzać nienawiść.

Przypomnę, że czołowy zwolennik tolerancji, Radosław Sikorski, swój dom otwarcie nazywa „strefą zdekomunizowaną”. Czy w ten sposób wzbudza nienawiść do komunistów?! Zakazując

promowania ideologii, która przynosi nieszczęście, ogranicza wolność człowieka i niszczy jego godność, czynimy dobro.

Złagodziliście też treść nalepki. Zamiast „Strefa wolna od LGBT” jest „Strefa wolna od ideologii LGBT”.

„Ideologia LGBT” to pleonazm, bo LGBT to właśnie jest ideologia. Postanowiliśmy jednak zastosować to ułatwienie intelektualne specjalnie z myślą o dziennikarzach i aktywistach lewicowych, którzy niekoniecznie znają język polski. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Palety dla planety

Miaсто stołeczne Warszawa wydzierzało kiedyś instalację artystyczną „tęcza”. Z technicznego punktu widzenia było to kilkanaście metalowych prętów i kilkadziesiąt odpustowych kwiatków z kolorowego papieru, wszystko wraz z montażem warte może tysiąka. Za każdy miesiąc ekspozycji tego „dzieła sztuki” będącym jego właścicielem spółka

myśleć podobnie, bo gdy zagroziła jej utrata władzy, tęczę z placu Zbawiciela przeźornie zwinęła.

„Nunquam!”, jak mawiał Sienkiewiczowski Zagłoba. Jej partyjna koleżanka, pani Dulciewicz, zakupiła od innych artystów, też ma się rozumieć z funduszy miejskich, drewniany rydwan pokryty napisami w różnych alfabetach – za skromne 150 tys. Za okrągły stół, przy którym świątecznie posiedziała parę minut z mieszkańcami Gdańska, dała tylko 130 tys., ale stół jest bardziej od rydwanu rozwojowy, bo pani prezydent zapowiada jeżdżenie z nim po całym kraju, celem analogicznych posiadów z obywatelami innych miast, a to przecież będzie generować dalsze zarobki dla osób i firm przez nią wybranych.

Wszystkich przebił jednak inny działacz PO, jej wieczny infant, Rafał Trzaskowski. Za kilkanaście drewnianych stanowisk

dla leżaków, donic z zielenią i budek gastronomicznych, wystawionych na zmienionym tym sposobem na półtora miesiąca w „strefę relaksu” parkingu na placu Bankowym, dał z miejskiej kasy nieco ponad 900 tys. I nikt nie ma prawa się przyczepić, bo w ten sposób Warszawa i jej prezydent walczą o klimat.

Zpozeru może się wydawać, że kojarzone przez obserwatorów z europaletami instalacje nie są sztuką – ale wcale tak nie jest. Strefa relaksu to koncepcja tzw. kolektywu Senna, czyli pewnej bardzo sprytnej pani, która od lat ciągnie wielkie sumy z publicznych środków – głównie via muzeum Polin – za podobne politpoprawne „aranżacje”. Nie, to nie ta pani od palmy na rondzie de Gaulle’a, druga taka.

Cóż można rzec, poza cytatem z klasyka – największe pieniądze zarabia się na drogich, słomianych inwestycjach. ©

**Strefa relaksu to koncepcja
tzw. kolektywu Senna, czyli pewnej
bardzo sprytnej pani**

dostawała grubo ponad 100 tys. Naiwnie sądziłem wówczas, że osiągnięto w ten sposób jakiś nieprzekraczalny poziom w tym, co sławny towarzysz Szmaciak nazywał dojeniem. Sama Hanna Gronkiewicz-Waltz wydawała się



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Na tęczowych pastwiskach

Nadchodzą ciężkie czasy dla normalistów. Publiczna przestrzeń stała się, za sprawą komercyjnych firm, miejscem pełnym tęczowej propagandy przymuszającej heteryków do akceptacji homoseksualizmu. To jeszcze można zrozumieć. Szefowie wielkich korporacji głupcami nie są, oczywiście jest dla nich, że powielając slogany lewackiej światopoglądowej propagandy, mogą zwiększyć obroty; wszak słynny owczy instynkt stadny, sprowadzający się do tego, że barany głosują/kupują całymi stadami, nigdzie nie jest tak silny jak w środowiskach chorych na poprawność polityczną.

Lewactwo nie ukrywa też już swoich prawdziwych dążeń – żadnego długiego marszu. Oto lider SLD Włodzimierz Czarzasty mówi, że najpierw lewica zalegalizuje małżeństwa jedнопłciowe, a jak społeczeństwo już się z nimi oswoi, to wejdzie adopcja dzieci przez pary homoseksualne. W tym samym czasie działaczka Wiosny Paulina Piechna-Więckiewicz na Twitterze bulwersuje się, żeby nie zmuszać jej – uwaga – „do akceptacji heteroseksualizmu”.

Itak krok po lewicowym kroku wszystkie zwierzęta będą równe, ale tęczowe jednorożce równiejsze. Gorzej, że za sprawą lewicy ta

przestrzeń wolności, czyli prawa do decydowania o swoim życiu, seksie, i o tym, co jemy, mocno się kurczy.

Oto pewien radny KO sugeruje, żeby w warszawskich szkolnych stołówkach wprowadzić przymusowy „dzień wege”, w Szczecinie zaś Lewica Razem proponuje, by w szkołach wprowadzić edukację wegańską, zatem dzieci mają się uczyć o gender i homo, a także o tym, że mięso jest fuj. Na polski i matematykę może już nie starczyć czasu. Ale cóż, wszak ulubieniec lewicy, prof. Hartman, zawyrokoował już w stylu woniejącym III Rzeszą, że masowe wykształcenie Polaków jest biologicznie niemożliwe. ©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNERZY





PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O włoskiej anarchii

Jeśli jest prawdą, że Francuz rodzi się z genem arogancji, Anglik z dystansem do rzeczywistości, a Niemiec z solidnością, to Włoch jest urodzonym anarchistą.

W Italii anarchiści nie dają o sobie zapomnieć. W ubiegły poniedziałek wywołali pożar w kolejowej centrali elektrycznej we Florencji, paraliżując na kilka godzin ruch, szczególnie między Mediolanem a Rzymem. 100 tys. ludzi koczowało przez kilka godzin na stacjach. Na stronach internetowych anarchistów pojawiły się komentarze typu: „Z przyjemnością patrzyłem, jak ten kolos zwany państwem stanął w miejscu za sprawą trzech zapalek”.

Zgoda, tacy zideologizowani idioci są wszędzie. W Italii jednak jest ich jakby więcej. Na przykład za sprawą anarchii od kilkudziesięciu lat nie można wybudować

linii szybkiej kolei (TAV) między Turynem a Lyonem. Protestujący Włosi najpierw twierdzili, zresztą zupełnie bezpodstawnie, że zakłóci to ekosystem i uwolni zakłęty w skałach rakotwórczy azbest. Teraz mówią, że się nie opłaca. W związku z tym walczą z ekipą budowlaną bombą, pięścią, ogniem i mieczem. Na wielkie bitwy z policją, by wesprzeć lokalsów, zjeżdżają się zawodowi rewolucyoniści z całej Italii. Można odnieść wrażenie, że już od dawna nie chodzi o TAV i tunele, ale wyłącznie o wywołanie gigantycznej zadymy. Tym bardziej że po drugiej stronie granicy Francuzi z olimpijskim spokojem drażą skały, a francuscy idioci anarchiści, bo jednak kilku mają, przyjeżdżają protestować do Włoch.

Podejrzenia, że Włoch wysysa anarchię z mlekiem matki, potwierdzają strajki. Można odnieść wrażenie, że są nieodzownym rytuałem życia społecznego. W jakim innym kraju transport publiczny strajkuje dwa razy w miesiącu, a ruch lotniczy zamiera co najmniej 12 razy w roku? Ostatnie protesty z tej serii odbyły się w apogeum ruchu turystycznego 24 i 26 lipca mimo apelu ministra infrastruktury. Czy można strajkować, by „wesprzeć pozycję negocjacyjną związków zawodowych”? W Italii można. Najczęściej w piątek. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Szkoła tolerancji

W związku z aktami przemocy, do których doszło na Marszu Równości w Białymstoku, oraz wlepką „Strefa wolna od LGBT” dołączoną do jednego z tygodników Twitter zamienił się w strefę światopoglądowego wzmożenia. Chcąc odetchnąć od dusznej atmosfery faszyzmu, oddajmy głos tolerancyjnej opozycji. „Białystok pokazał światu, że jest europejską stolicą nazioli, hołoty i bydła. Kaczyński powinien przenieść tam swój rząd i dwór. Anus Poloniae! Dobrze, że jest i ten drugi Białystok. Dziękujemy!” – rozważnie komentował prof. Jan Hartman.

„Ideologia PiS – pogarda dla Polaków, szczucie ludzi na siebie, nienawiść, ksenofobia, pazerność, chamska propaganda” – subtelnie zdefiniował przeciwnika Tomasz Lis. „Nie mam nic do Polaków. Ale chodzi o ideologię kryjącą się pod słowem »Polacy«. Od dawna pod tym słowem nie kryje się naród, tylko niszcząca ideologia. Ideologii tej trzeba się zdecydowanie przeciwstawić” – podobnego zadania, z jakże wielką gracją, podjął się również prof. Michał Bilewicz, zrównując orientację seksualną z narodowością.

Oprócz tolerancji od naszych kolegów i kolegów z mediów możemy się również nauczyć pluralizmu. „Zobaczcie, jak PiS-owska szczujnia promuje wypowiedzi Zandberga walące w opozycję. [...] Wniosek jest prosty: agent albo idiota” – napisał poruszony Wojciech Czuchnowski z „Wyborczej”. „Osoby dotknięte przepraszam za redakcyjnego kolegę. Każdemu w tej przedwyborczej, rozedrganej, neurotycznej Polsce A.D. 2019 zdarza się przereagować i napisać coś niezręcznego. W »Gazecie« mamy pluralizm i bardzo cieszymy się z pluralizmu politycznego, jednej z podwalin demokracji!” – usprawiedliwiła go jednak Adriana Rozwadowska.

I faktycznie, pluralizm był, szczególnie w felietonie Krzysztofa Pacewicza, który opisywał „Izy ocierane w reakcji na wieść o zjednoczeniu lewicy”. „Jeśli jedni dziennikarze będą ocierać Izy wzruszenia na widok Zandberga, a inni wyzywać go od agentów i idiotów, to kto właściwie będzie opisywał politykę?” – i tylko Witold Głowacki niepotrzebnie się tego wszystkiego uczył. ©©





Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONI MEDIALNI:





FOT. ANIEL GROMADA

WSZYSTKO DLA WIDZA

Odkąd „Dzień dobry TVN” zaczął przegrywać w oglądalności z „Pytaniem na śniadanie” w TVP2, ci pierwsi zastanawiali się, co zmienić, by zatrzymać spadki. I wymyślili. Doszli do wniosku, że zmieniają jedną z prowadzących par. I podziękowali za współpracę Magdzie Mołek oraz Marcinowi Mellerowi, którzy prowadzili weekendowe wydania programu. Zastanawiające, że aby zachęcić widzów do oglądania, wymienia się tych prowadzących, którzy jako chyba jedyni jakoś tam próbowali jeszcze trzymać poziom. Nikt nie ma chyba gorszej opinii o widzach TVN niż kierownictwo tej stacji.

POLITYKA CZY AGEIZM?

Zmiany szykują się też w „Pytaniu na śniadanie” TVP2. Właśnie pojawiła się informacja, że pożegnano się z wieloletnim prowadzącym Michałem Olszańskim. To ponoć efekt tego, że Olszański krytykował w mediach wywiad z Jarosławem Kaczyńskim. Wywiad, który sam przeprowadził. Mówił, że był to nietrafiony pomysł, i zdradzał kulisy przygotowań do rozmowy. Sama TVP w komunikacie podaje jednak inne przyczyny zakończenia współpracy. „Jesteśmy świadomi, że widownia »Pytania na śniadanie« jest coraz młodsza i oczekuje prowadzących, którzy zdynamizują program. Stąd zmiany w audycji” – czytamy. I teraz nie wiadomo, co gorsze. Utrata pracy ze względu na wiek czy z powodów politycznych? Ale jedno i drugie nadaje się na sztandary „Gazety Wyborczej”. I pewnie tam trafi.

PYTAŃ CIĄG DALSZY

Kiedy się okazało, że z „Pytania na śniadanie” odchodzi Olszański, pod znakiem zapytania stanęła dalsza obecność w telewizji Moniki Zamachowskiej, która prowadziła z nim w parze ten program. Ona sama na razie nie komentuje niczego, bo przebywa na urlopie w Sopocie. Wrzuca tylko tajemnicze wpisy w mediach społecznościowych. „Początek resetu. Koniecznie potrzebny” – napisała na Instagramie. Potem dorzuciła jeszcze to: „A tak w ogóle jest fajnie. Tylko jeśli mogę Was prosić, odpuście mi na kilka dni, dobrze? W przyszłym roku mija 25 lat mojej pracy w TVP i jeśli czegoś się przez ten czas nauczyłam, to tego, żeby milczeć” – napisała. Zaczynamy się o Monikę martwić. Przecież ona nie umie milczeć. A co, jeśli to wszystko oznacza, że naprawdę zniknie z telewizji? I co za tym idzie – zniknie nam też z mediów plotkarskich? To byłaby nieodżałowana strata dla show-biznesu. Co tam show-biznes, dla ludzkości! Telewizjo, apelujemy, nie możesz nam tego zrobić!

BIZNES I BRZUSZKI

Trenerka wszystkich Polek, czyli Ewa Chodakowska, oburzyła się na informację, że nie radzi sobie w biznesie. Stwierdziła, że nie będzie milczeć, bo to wszystko nieprawda. To znaczy prawda, ale nie do końca. – Dwa dni temu Internet zalała fala artykułów na temat spadku wpływów mojej firmy... o całe 30 proc. Interpretacja? Moje produkty się nie sprzedają, co mogłoby świadczyć o tym, że są kiepskiej jakości. Jakości, za którą daję głowę. Powiem ci, jak jest... Nasza spółka Bebio.pl zalicza właśnie spadek przychodów, ponieważ na rzecz nowych projektów zrezygnowaliśmy z wielu działań, które stały pod parasolem spółki. Nie da się robić wszystkiego – tłumaczy Ewa. Na Instagramie, gdzie obserwuje ją ponad 1,5 mln osób i skąd wszystkie wpisy trafiają od razu na portale plotkarskie. Gdyby nie to, o jej kłopotach w biznesie wiedziałyby pewnie garstka czytelników portali branżowych. Teraz wiedzą już wszyscy. Jednak robienie brzuszki wychodzi Chodakowskiej lepiej niż robienie biznesu. A zwłaszcza marketingu.

NIE MA JAK OKŁADKA W „VIVIE!”

Hanna Lis postanowiła podzielić się ze światem refleksjami, jak bardzo nie tęskni za swoją pracą w telewizji. – Nie tęsknię, bo sama jako „konsument” odeszłam już od telewizji. Wszystkie newsy czerpię teraz z sieci – wyznała. Mówi też, że nie brakuje jej całej otoczki, którą cieszą się twarze znane z telewizji, bo po latach doszła do wniosku, że co innego jest ważne. – Ułuda. Człowiek jest wart tyle, co ma w głowie i w sercu. Najbardziej wypasione ferrari ani bycie panią z telewizji nie dodadzą ci wartości. To tylko pozłotko. Ale rzeczywiście w środowisku ludzi mediów królują wybujałe ega, które karmią się wyłącznie tym, że „jestem sławna/sławny” – powiedziała. – Szczerze? Wolałabym być anonimowa, chodzić sobie do sklepu w rozciągniętym dresie i szopie na głowie bez obaw, że nazajutrz jakiś brukowiec zrobi z tego jedynekę. Nie wiem, dlaczego paparazzi nadal za mną łążą, szczerze powiedziałabym – przyznała. Z tej tęsknoty za anonimowością i brakiem łąjących paparazzi udzieliła wywiadu „Vivie!”. Z sesją okładkową oczywiście.



FOT. MATEUSZ JACIELSKI/FAST NEWS

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Koalicja trzech lewicowych tenorów – Czarzasty, Zandberg, Biedroń – skojarzyła nam się trochę z Beatlesami. Podobnie jak czwórka z Liverpoolu stała się symbolem i ikoną popkultury, tak sympatyczna trójka z tego kraju ma szansę zapisać się w zbiorowej pamięci lewicowego wyborcy.

No bo zobaczcie sami: czy Robert Biedroń, który ciągle mówi o miłości i pokoju, nie przypomina wam w tym idealizmie Johna Lennona? Albo czy Włodzimierz Czarzasty z niebanalnym lookiem i śmiałą stylówką nie przywodzi na myśl George'a Harrisona? Z kolei Adrian Zandberg – błyskotliwy jak McCartney, ale trochę jednak w cieniu Biedronia – Lennona.

Do kompletu brakuje jedynie Leszka Millera, który niczym Ringo Starr w bębny waliłby w oponentów lewicy na Twitterku. Jednak i tak będziemy czekać na kampanię wyborczą. Jesteśmy przekonani, że

największych hitów dostarczy nam Lennon-Biedroń.

Dotaraliśmy do danych GUS, według których liczba mieszkańców Polski w 2019 r. zmniejszyła się już o 22 tys. osób. Są to dane optymistyczne, zwłaszcza w kontekście przeludnienia planety oraz produkcji dwutlenku węgla, a jak wiadomo, Polacy zjadają dużo kapusty i cebuli. W dodatku okazuje się, iż coraz więcej mieszkańców pomimo tego ujemnego trendu liczy sobie Warszawa. To pewnie jeden z tych paradoksów, z których słynie matematyka, ale nie musimy ich rozumieć.

Z drugiej strony – drugim miastem, w którym przybyło najwięcej mieszkańców, jest Rzeszów. To już jest mocno niepokojące, iż świadczy, że do stolicy Podkarpacia migruje wielu przedstawicieli mentalnego podkarpacia. Według naszej fachowej analizy socjologiczno-

-politologicznej musimy się spodziewać w nieodległej przyszłości silnych tendencji separatystycznych na Podkarpaciu, ale to i dobrze. Bez niego szybciej dogonimy Europę.

Straszna siara. Podobno Polska jest jednym z trzech krajów Unii, w których w obiegu pozostaje najwięcej gotówki.

Tłumacząc dla nowej matury: mieszkańcy tego kraju unikają płatności zbliżeniowych i wolą nosić w portmonetkach banknoty i bilony niż zainwestować w nowego smartfona z możliwością płatności zbliżeniowej. Albo chociaż płacić kartą, co i tak jest sooo 2014.

Każdy przeciętny wąsaty janusz z tego kraju musi przecież mieć gotówkę, iżby co niedzielę rzucić coś na tacę. Wygląda więc na to, iż po raz kolejny to Kościół katolicki jest siłą wsteczną, która powstrzymuje otwarcie się tego kraju na nowoczesność i postęp :(☹☹

REKLAMA

FILM ZDOBYWCY OSCARA®
RONA HOWARDA
 REŻYSERA PIĘKNEGO UMYŚŁU

Pavarotti

TYLKO W KINACH OD 2 SIERPNIA
 MUZYKA Z FILMU W SPRZEDAŻY

Półtorej godziny trwała część oficjalna, ale potem najciekawsze było pół godziny rozmowy na osobności, bez świadków, za szczelnie zamkniętymi drzwiami. Mówimy o spotkaniu premiera Mateusza z Ursulą von der Leyen Od Komisji Europejskiej. Słyszeliśmy, że owe pół godziny daje podstawę do umiarkowanego optymizmu.

Tym razem w części oficjalnej nie wziął udziału stały uczestnik spotkań polsko-niemieckich, minister Marek Suski, szef gabinetu politycznego premiera Mateusza. Trochę szkoda, bo przez to obeszło się bez tradycyjnego happeningu historycznego, a my bardzo lubimy happeningi.

Już wyjaśniamy, o co chodzi z happeningiem historycznym. Na przykład przed spotkaniem premiera z niemieckim ambasadorem minister Suski wypadł na pomysł, by przed salą postawić wielkie zdjęcie pokazujące Niemców znęcających się nad ludnością polską podczas okupacji. Takie memento. Ściągnięto więc w trybie pilnym odpowiednio duże sztalugi i w ramach happeningu umieszczono na nich fotografię formatu A3 czy coś. Uważamy, że rola Suskiego w rozmowach dyplomatycznych powinna być niezwłocznie zwiększona. W imię polityki i sztuki.

Telegrafem z Nowogrodzkiej. Stop. Nie wierzcie gazetom. Stop. Z tym objęciem teki premiera przez Kaczorę Dyktatora to podpucha. Stop. Skąd wiemy? Stop. Sam Naczelnik nie wyraża bowiem zainteresowania. Stop.

Ludziom małej wiary przypominamy, że jako pierwsi informowaliśmy, iż Krzysiek Szczerski będzie polskim kandydatem na komisarza europejskiego. Teraz, kiedy się oficjalnie potwierdziło, możemy dodać, że oznacza to otwarcie szybkiej ścieżki awansu Kondzia Szymańskiego na szefa MSZ jesienią. Ale wiecie, jak to jest ze ścieżkami, bywają kręte i pełne niebezpieczeństw.

Najnowsze propozycje to Jurek Owsiak i Martyna Wojciechowska. Nie o to chodzi, by objęli mandaty, ale by przyciągnęli elektorat

Tymczasem w Eine Totalopposition. Chryja w Poznaniu. Nowoczesny Adam Szłapka żąda pierwszego miejsca na liście Koalicji Pełopejskiej. Rafcio Grupiński, intelektualista, odpowiada, że to on jest baronem poznańskim i to on będzie decydował o kolejności. A ma być taka: najpierw Grupiński, potem Waldy Dzikowski, a Szłapka ewentualnie trzeci na liście. Ciąg dalszy nastąpi, mamy popcorn.

Ten sam Poznań okazał się czarną dziurą vel trójkątem bermudzkim. Wiecie, takie miejsce, w którym znikają różne rzeczy i z którego już nie wracają. Aktualnie zniknęła Aśka Schmidt, obecnie znana jako Aśka Mihałka, bo wróciła do nazwiska panieńskiego. Zniknięcie Aśki wiąże się z tym, że nikt jej nigdzie nie chce donikąd wystawiać. Nie będziemy tęsknić.

WWarszawie też chryja, ale utajona. Chodzi o mecenasa zwanego Koniem. Po cichu ścierają się zwolennicy przygarnięcia Romana oraz przeciwnicy tej koncepcji. Zwolennicy

Słyszeliśmy od pewnej wiewiórki z PeŁo, że wcale nie chodzi o dawne poglądy i działalność Giertycha. Młodzież Wszechpolską by mu wybaczo-no, podobnie jak ministerialne ekscesy konserwatywne. Największy niepokój budzi to, że Roman zawsze gra tylko na siebie. A drugi Radek Sikorski naprawdę nie jest Platformie potrzebny.

WRomana zwanego Koniem bawił się dobrze niejaki Staszek Gawłowski. Wiadomo, każdy dzień z browcem w dłoni poza pudłem to jak dar od losu. Widziano także Mirka Drzewieckiego, ksywa Drzewko, dawną gwiazdę PeŁo. Mamy nadzieję, że tak jak Staszek jest obecnym, tak Miro to przyszły klient Romana. Gdyż jesteśmy złymi ludźmi.

Inni źli ludzie opowiadają, że miejsce na listach PeŁo miał wydeptać Romanowi człowiek zwany Złym Donaldem z Brukseli. Jednak w obecnych czasach to nie jest najlepsza rekomendacja u Grzegorza Szablozębnego. Liczymy więc na to, że tak jak inni protegowani Donalda mecenas Roman zostanie ludowcem.

Àpropos złych ludzi. Dobrze poinformowane wiewiórki z organów ścigania twierdzą, że w ramach naprawy państwa przyszedł czas na czesanie postaci z setki najbogatszych Polaków. To jest dobra wiadomość. Zła, że zaczynają od końca tej setki. Ale i tak będzie ciekawie.

dwaj panowie

Wracając do układania list Eine Totalopposition. Zaczyna przypominać poszukiwanie gwiazd do Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty. Po tym, jak Boguś Zdrojewski wypiął się na Grzegorza Szablozębnego, pojawiają się kolejne pomysły, kto mógłby pociągnąć PeŁo. Najnowsze propozycje to Jurek Owsiak i Martyna Wojciechowska. Nie o to chodzi, by objęli mandaty, ale by przyciągnęli elektorat. Numer ten przećwiczono, kiedy niejaki Olek Doba, zwany kajakarzem, doholował do Sejmu jakiegoś nołnejma, który objął po nim mandat.

Nie lepiej jest na prawo od szosy. Konfederaci siarscy też rozglądają się za końmi pociągowymi. I tęsknie zerkają w kierunku już to Maxa Kolonko, już to Wojciecha Cejrowskiego. Kolonko, który „mówi, jak jest”, nie mówi



gościli ostatnio na urodzinach u Romana. Rafcio Trzaskowski, Bronek Komorowski i tak dalej. Na razie jednak nie przeważają.

„nie”. Problem w tym, że mówi tak i konfederatom, i kukistom. W ogóle znany jest jako facet, który nie potrafi odmawiać. A najchętniej nie odmówiłby, gdyby ktoś mu zaproponował prezesurę TVP. Tylko tego akurat nikt nie proponuje.

Tymczasem u kukistów. Strzał w dziesiątkę. Ten zwrot nabiera nowego znaczenia. Wszystko dlatego, że Bezparyjni Samorządowcy zażyczyli sobie 10 jedynek na listach koalicji z kukistami. Teraz naczelny Paweł Kukiz musi to sobie przetrwać. Za pomyślność procesu trawienia trzymają kciuki w PiS, bo taki klub bardziej przydałby się w Sejmie niż Koalicja Polska Peezela albo inne Eselde.

Tymczasem na lewo od szosy. Podczas negocjacji między SLD a Wiosną pojawiła się delikatna kwestia podziału kompetencji w ramach kampanii wyborczej. Starsi czerwoni bracia zaproponowali, by cyfryzację zajął się Krzysztof Janik. Nie w sensie ministerstwem, tylko ogarnięciem komunikacji wewnątrz koalicji – może jakimś WhatsAppem albo



innym SIMPLE. Niestety, humory zwarzył sam Janik. Po pokazaniu zebranym swej ukochanej nokii 3210 wyznał, że on na razie stara się ogarnąć Internet, ale tylko przez parę minut dziennie.

Młodszy czerwony braciom z Wiosny nie będą oszczędzone żadne upokorzenia ze strony starszych czerwonych braci z SLD. Ale sami się wystawiają. Na przykład Dariusz Standerski, dyrektor programowy Wiosny, chodził i opowiadał, jak świetnie

mu się współpracuje z SLD. Skądinąd wiemy jednak, że Władka Czarzastego poznał osobiście dopiero tydzień temu, w korytarzu jednej ze stacji radiowych. A słów, które padły z ust Władka na temat Standerskiego za jego plecami, boimy się nawet zacytować.

Ludzie listy piszą. Organizacje też. Dostaliśmy ostatnio taki: „W ostatnim e-mailu, dotyczącym obserwacji zgromadzeń publicznych, wkradł się błąd, za który bardzo przepraszamy. Nasza ostatnia obserwacja odbyła się w Białymstoku, a nie w Bydgoszczy. Jeszcze raz przepraszamy i liczymy na Państwa wyrozumiałość. Z poważaniem, zespół Amnesty International”. Tyle w kwestii słowa na „w”. Ale nie chodzi nam o wyrozumiałość, lecz wiarygodność.

Przy okazji: pewnie łatwiej byłoby nam wziąć powyższą korespondencję na poważnie, gdyby nie to, że zaczynała się od zwrotu (uwaga, zachowujemy pisownię oryginalną): „Sznowni Państwo”. Dżkmy brdzo. ©©

REKLAMA

WAKACJE Z HISTORIĄ W TLE

Książki do kupienia na: www.xlm.pl



Paweł Lisicki

Fragment opowiadania „Nowa, wspaniała przyszłość” redaktora naczelnego „Do Rzeczy”. Cały zbiór opowiadań, wydany przez Wydawnictwo M, już jest w księgarniach

Jestem tutaj, żeby jasno i jednoznacznie zadeklarować: my, Polacy, naród polski, też byliśmy sprawcami. Może nawet większymi niż inni – na naszych oczach zabijano i mordowano naszych braci, a myśmy nic nie robili. Patrzyliśmy biernie lub współuczestniczyliśmy w zbrodni. Świadom hańby i niegodziwości, którą popełnili Polska i polski naród, nie śmiem błagać o wybaczenie. Błagam o samą możliwość błagania – tu głos mówcy załamał się, jakby nie był w stanie zachować spokoju.

„Płacz, on naprawdę płacz” – pomyślał Jerzy. I od razu poczuł satysfakcję. To było jedno z najlepszych przemówień, które do tej pory napisał. Pracował nad nim kilka dni. Każde słowo było właściwie dobrane, doszlifowane, wyczyszczone, pasowało do reszty doskonale. Czuł, że Robert Mrówka też jest zadowolony. Słychać to było po tembrze jego głosu, po tym, jak modulował dźwięk, jak starał się, niczym prawdziwy aktor dramatyczny, dać z siebie całą duszę.

– Naród polski musi otrzeźwieć i dojrzeć. Musi przepracować własne zbrodnie, nie wypierać się win. Tak, dosyć udawania, że Holocaust to obca zbrodnia, dosyć obciążania nią Niemców i Hitlera. Taka ucieczka przed odpowiedzialnością prowadzi na manowce. Dlatego teraz, w imieniu wolnej, radosnej, otwartej i proeuropejskiej Polski, śmiało biję się w piersi naszego narodu i wyznaję, że bardzo zgrzeszyliśmy.

Jerzy długo się wahał, czy użyć tej frazy. Z jednej strony idealnie pasowała mu do koncepcji. Jeśli prezydent miał nadać swojemu gestowi nadzwyczajne znaczenie, jeśli miał pokazać, że nie chodzi tu o zwykłe, przeciętne, jedno z wielu, sztafpowe wystąpienie, ale o coś przełomowego, coś, co wszyscy dostrzegą, na co zwrócą uwagę światowe media i zagraniczni dziennikarze, należało nadać słowom odpowiednią gravitas. A tego nie dawało się zrobić bez delikatnego choćby nawiązania do języka religijnego. Jerzy nie znosił tej pseudoromantycznej ckliwości, brzydził się nią i gardził. Jednak był też realistą. Był człowiekiem, który chciał osiągnąć właściwy efekt. Dlatego nic lepszego niż to „bicie się

Nowa, wspaniała przyszłość

w piersi naszego narodu i wyznawanie”, słowa jawnie pożyczone ze słownika kościelnego, nie przychodziło mu do głowy. Prawdę mówiąc, zanim je napisał, poszedł na konsultacje do abp. Józefa Żbika z Poznania, któremu dał w sekrecie tekst do sprawdzenia. abp. Żbik już rok temu zdobył się na akt radykalnej ekspiacji za polskie winy – podczas obchodów zbrodni w Jedwabnem pojawił się bez krzyża, za to z żółtą gwiazdą Dawida, i powiedział, że przyszedł tu jako potomek tych, którzy mogli Żydów mordować. Jako potencjalny zbrodniarz, twierdził, a jest nim każdy chrześcijanin, chciał w ten sposób przynaj-

mniej wyrazić swoją solidarność z ofiarami. Arcybiskupowi fraza Jerzego bardzo się spodobała.

– Tak trzymać, tak trzymać – poklepał Jerzego po ramieniu. – O to chodzi.

Od tej pory Jerzy nie miał wątpliwości, że przemówienie było trafione. Teraz patrzył tylko z ukosa na abp. Żbika, który podczas dzisiejszych uroczystości reprezentował cały episkopat, jak stoi z oczami wbitymi w ziemię i jak skutecznie oraz nieodwołalnie nadaje swojej twarzy wyraz żalu, smutku, bóleści i nieszczęścia. Tak samo próbowali wyglądać pozostali uczestnicy uroczystości, na czele z pre-



RYŚ MIROSLAW OWCZAREK

mierem Andrzejem Schitem, marszałkami Sejmu i Senatu oraz całą polityczną świtą. Jedynie Waldemar Kucza-Kamyczek, lider ludowców, mimo ogromnych wysiłków nie potrafił nadać swojej twarzy odpowiedniego skupienia. Najwyraźniej nie umiał zapanować nad rozlanymi, tłustymi rysami i nieco tępowym spojrzeniem, tak że to, co miało wyglądać na smutek, robiło wrażenie prostackiego zawadiactwa. Co gorsza, od czasu do czasu z najwyższym trudem zwalczał chęć ziewania. „Oby tylko żaden reporter tego nie dostrzegł” – pomyślał Jerzy. Kwietniowe południe było ciepłe, słoneczne, raz po raz po szerokiej tafli placu Zwycięstwa przelatywał lekki wiaterek.

– Tak, to nasza wielka wina – grzmiał dalej głos prezydenta. – I dlatego dzisiaj właśnie, w kwietniu 2021 r., na tym miejscu cierpienia postanowiłem wołać o pokutę. Inaczej niż nasi poprzednicy – tu powiódł znacząco wzrokiem dookoła, jakby dając do zrozumienia, że wśród obecnych zabrakło opozycji. – Nie będę się licytował i nie będę się wzbraniał przed zapłatą. Moralności nie można przeliczyć na pieniądze, a każde życie ludzkie ma wartość nieskończoną. Dlatego deklaruje, że Polska zapłaci tyle, ile zostanie uznane za stosowne. Koniec z obłąkańczą pedagogiką chwały. Koniec z chlubieniem się własną mocą i potęgą. Polacy dojrżeli do tego, by stawiać czoło smutnej prawdzie. Kto chce być prawdziwym Europejczykiem, ten dołączy do nas. Dołączy do nowej Polski. Dołączy do nowego narodu, który przyjmuje na siebie zbrodnie i niegodziwości, a nie pławi się w bezmyślnym i pustym samozadowoleniu.

W tym momencie prezydent Mrówa przerwał przemówienie i podszedł do stojących obok harcerzy z misami pełnymi popiołu, zagarnął z jednej nieco i posypał głowę najpierw sobie, a potem obszedł po kolei stojących. Wszyscy pokornie przyjmowali na siebie ten znak pokuty. Jeden tylko abp Żbik najpierw zgął się wpół, następnie zaś rzucił się dramatycznie na kolana i dał sobie posypać głowę, klęcząc. Twardo przy tym i stanowczo unikał wykonywania jakichkolwiek nieprzyjemnych i niewłaściwych gestów. Jerzy, który do najdrobniejszego szczegółu opracował scenariusz uroczystości, początkowo był w ogóle sceptyczny co do obecności arcybiskupa. Zgodził się ostatecznie, kiedy uzyskał zapewnienie, że nie pojawią się gesty ani symbole o charakterze chrześcijańskim. Dlatego arcybiskup na wszelki wypadek kazał sobie nawet wcześniej przywiązać prawą rękę

do ciała, żeby machinalnie i odruchowo nie wykonał znaku krzyża.

Prezydent Mrówa wrócił na swoje miejsce i dokończył przemówienie. – Postanowiłem, że jeszcze w tym 2021 r. w Warszawie powstanie wielki pomnik hańby narodu polskiego. Postawimy go na Krakowskim Przedmieściu, zamiast zużytego już nieco i właściwie niepotrzebnego pomnika księcia Józefa Poniatowskiego. Po powrocie do pałacu uroczyste ogłoszę otwarcie konkursu na pomnik, do którego zamierzam zaprosić pracownię architektoniczne z całego świata. Niech żyje Polska, niech żyje prawda! Niech żyją przyszłość i Europa! – zakończył.

...

Godzinę później Jerzy siedział przed komputerem i rozkoszował się efektami swojej pracy.

– Chodź, sama zobacz – uśmiechnął się do Agaty. Umówił się z nią najpierw w redakcji „Polityki Krytycznej”, ale ostatecznie zaprosił ją do domu, niewielkiej kawalerki, którą wynajmował na Żoliborzu.

– Dopiero wróciłem z uroczystości – tłumaczył – i nie dam rady przyjechać do centrum.

– Ale musimy się dziś spotkać. Obiecałam, że zrobię ci zdjęcia do artykułu, a już nie możemy czekać.

W ten sposób Agata znalazła się w jego mieszkaniu. Była o głowę wyższa od niego, długa, chuda, tyczkowata. Z trudem można było dostrzec jej biust, a biodra robiły wrażenie męskich. Jerzy mieszkał sam. Miało to swoje zalety, bo nikt mu nie przeszkadzał ani nie zawracał głowy, ale też oczywiste wady. Właściwie jedynym gościem, który śmiał naruszać spokój jego samotni, była siostra Maria, która raz po raz wpadała do niego i mówiła, że matka pyta, kiedy pojawi się u niej z narzeczoną. Z rodzicami przyjechali do Warszawy jako dzieci z Garwolina. O ile dla Jerzego od początku wszystko, co należało do przeszłości – kościół, Garwolin, stary cmentarz, rodzina – stało się bagażem i obciążeniem, o tyle siostra, przeciwnie, kultywowała pamięć i doskonale czuła się w roli mamy wielodzietnej rodziny.

...

No nieźle, nieźle – wyraźnie poczuł, że Agata jest pod wrażeniem. Faktycznie, już same tytuły na portalach mówiły za siebie. „Przełomowe wystąpienie prezydenta Polski. Robert Mrówa przeprosza za naród” – to był

tytuł z „Rzeczpospolitej”. „Prezydent wyznał winy narodu za Holocaust. Koniec polskiej niewinności” – bez rzucania okiem na winietę wiedział, że chodzi o redakcję z Czerskiej. Mieli prawo do zadowolenia i do triumfu. Wreszcie stało się to, na co tak bardzo pracowali. Prawda jest też taka, że oprócz abp. Żbika to z nimi Jerzy sekretnie konsultował treść przemówienia.

Jerzy przejrzał też portale zagraniczne. Wszędzie można było wyczuć nastrój zadowolenia i satysfakcji. „Polski prezydent bez wahania wyznał winy” lub „Koniec strategii wypierania zbrodni” – taki ton dominował. Na stronie BBC znalazł coś, co mu się spodobało najbardziej: „Odważna twarz nowej Polski. Kilka miesięcy po zwycięstwie Roberta Mrówy Polska przyznała się do winy za Holocaust”. Dalszy tekst utrzymany był w podobnym tonie: „Nowe władze w Warszawie nie zwalniają tempa. 49-letni Robert Mrówa, polski lewicowy prezydent, dotrzymał obietnic złożonych podczas kampanii. Od czasów przeprosin prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego to pierwszy tej rangi polski polityk, który wziął na Polskę odpowiedzialność za polskie zbrodnie. Uderzać musi, że wśród słuchających znajdował się abp Józef Żbik, jeden z przywódców polskiego Kościoła, który już wcześniej zaangażował się w walkę z katolicką antysemitką tradycją”.

– No, zdjęć to im zazdrościsz – Agata podeszła tak blisko, że mógł poczuć zapach i ciepło jej ciała. [...] – Podobają ci się? Ten pomysł z popiołem na głowach to też ja. Nazwałem to operacją „Środa Popielcowa”.

Z zadowoleniem przeczytał też wpis na blogu prof. Witolda Harumana, który tłumaczył sens budowy pomnika hańby. „Dosyć czasów, kiedy to narody w swej zbiorowej pamięci budowały jedynie pomniki chwały i zachowywały to, czym chciały się chlubić i co chciały pokazywać. Te czasy muszą się definitywnie skończyć. Budowanie pomników wielkości syciło poczucie dumy i godności własnej, a z tego wynikała gotowość do agresji i ciemienia innych. Dosyć. Bardzo dobrze, że prezydent Robert Mrówa jako pierwszy polski polityk zerwał z tą militarystyczną tradycją, wspierającą agresję i poczucie wyższości. Tak jak pamiętamy o bohaterach i zwycięzcach, tak musimy pamiętać o zdrajcach, tchórzach, sprzedawczykach. Skoro budowaliśmy pomniki tym pierwszym, to musimy też stawiać pomniki hańby, pamiętać o tym, jak bardzo naród nie zdał egzaminu. Nic

■ dziwnego, że prezydent wybrał do tego celu, do przeprowadzenia tej wielkiej lekcji wychowania obywatelskiego, pamięć o naszym udziale w Holokauście. Wspaniale. O to chodziło”.

Haruman uchodził powszechnie za prawdziwą gwiazdę, był wykładowcą nie tylko w Krakowie, lecz także w Princeton i na Harvardzie oraz w Oksfordzie. To on zorganizował słynną brukselską konferencję, drugą po paryskiej, podczas której pięciu badaczy oskarżyło Polskę o udział w Holokauście, a następnie w powszechnym akcie ekspiacji najpierw przeprosiło Niemców za to, że przez tyle lat niesłusznie przypisywano im winę, a następnie, szlochając i bijąc się z całych sił w piersi, Żydów, a nawet Rosjan, prawdziwych wyzwolicieli Polski spod nacjonalistycznej okupacji. To Haruman wygłosił wtedy najbardziej płomienne przemówienie. To on wołał, że nie może spać po nocach, bo wszędzie widzi duchy pomordowanych, którym stała się krzywda, i wydaje mu się, że tapla się we krwi. To on też wykazał, że zamiast mówić o niemieckiej okupacji i Generalnym Gubernatorstwie, należałoby mówić o niemiecko-polskiej republice, w której to część Niemców razem z ogółem Polaków dokonała straszliwej zbrodni. To czytając wystąpienie Harumana sprzed miesiąca, Jerzy wpadł na pomysł budowy pomnika hańby.

– Przynieść ci herbaty? – zapytał. Machnęła przecząco głową. [...]

– To zrobię sobie. I wiesz, zaraz muszę iść do Pałacu na kolejne uroczystości – damy Orła Białego naszym profesorom. A wieczorem do Teatru Powszechnego. Dziś premiera. Wystawiają „Jedwabne dwadzieścia jeden”.

– Dlaczego właściwie „Dwadzieścia jeden”? [...]

– Dwadzieścia jeden od dwudziestego pierwszego wieku. A Jedwabne, bo dziś Polacy są jeszcze gorsi, jeszcze bardziej obrzydliwi. Tak przynajmniej uważa reżyser.

...

Sala teatru była wypełniona do ostatniego miejsca. W samym środku siedział prezydent Mrówa. To Jerzy namówił go, żeby tu przyszedł.

– To musi być sprawnie przeprowadzona operacja, wielotorowo i wielostronnie – mówił na tajnym spotkaniu po zwycięstwie Mrówy, które odbyło się jesienią 2020 r. – Twoja kadencja to nie może być improwizacja. Wszystko precyzyjnie

zaplanujemy. Przejdiesz do historii jako Robert Wielki. Dlatego samo najmocniejsze nawet wystąpienie nie wystarczy – tłumaczył prezydentowi cel kwietniowych uroczystości. – Atakujemy na wszystkich frontach naraz. Tak żeby przeciwnicy nie byli w stanie się pozbierać. Trzeba ich zaszokować i zniszczyć, wtedy opór będzie słaby. Najpierw przemówienie. Ogłoszenie konkursu na pomnik hańby. Wręczenie Orderu Orła Białego pięciu profesorom nowej szkoły historii. Tego samego dnia wieczorem wielka premiera „Jedwabnego Dwadzieścia Jeden”.

– No wiesz, nie jestem pewien – Mrówa się wahał. – To dość szokujące. Pamiętaj, że wygrałem dopiero w drugiej turze, niewielką tak naprawdę większością. Już teraz antysemita podnoszą głowę. Zobacz, co się dzieje w Internecie. Piętnują mnie, krytykują. Może trzeba roztropniej, odpuścić trochę?

– Robert, ani ty, ani Andrzej jeszcze nigdy się na mnie nie zawiedliście. Nie zachowuj się jak Bronek przed laty. Masz rację, wygrałeś o włos. I gdybyśmy teraz powtórzyli głosowanie, to pewnie byś przerzucił. Jestem pewien, że po twoim wystąpieniu poparcie dla ciebie najpierw spadnie. Ale masz jeszcze cztery lata. Rozumiesz? Nie możesz czekać. Opór trzeba raz na zawsze złamać. A podstawą oporu jest poczucie własnej godności. Jak im to odbierzemy, wygrasz w cuglach. Więć dość wahania. Złamać oznacza naprawdę złamać, a nie paktować, zastanawiać się, cofać. Mówię, to musi być tak mocne, żeby ich zaszokować. Trzeba zrobić to tak, żeby im tchu zabrakło, żeby zrozumieli, że się z nimi nie będziesz liczyć.

Mrówa ustąpił. Może też dlatego, że zadzwonił do niego Schit i ostatecznie do całej koncepcji przekonał. Teraz Jerzy siedział dyskretnie w łóżu i czekał na występ. Przed teatrem niewielka grupka demonstrantów próbowała zakłócić premierę, ale nim zdążyli rozwinąć transparent, zgarnęła ich policja. [...]

Sztuka, musiał to przyznać, była początkowo nużąca i bez polotu. Raz po raz pojawiali się aktorzy i wygłaszali dość marne tyrady przeciw polskiemu nacjonalizmowi. Dopiero pod koniec coś zaczęło się dziać. W pewnej chwili grupka aktorów w koszulkach z Polską Walczącą zaczęła szybko biegać po scenie. Okazało się, że za pomocą sztachet zaganiają biednego Żyda do nóg uśmiechniętego esesmana. Potem w takt „Mazurka Dąbrowskiego” oraz „Deutschland, Deutschland über alles”

wspólnie katowali go na śmierć, co błogosławił stojący z boku, ubrany w pontyfikalne szaty biskup.

Nie mniej poruszenia wywołała scena zbiorowego gwałtu na żonie ofiary, najpierw zrobił to aktor grający Niemca, a potem reszta. Na końcu biskup porzucił krzyż, którym błogosławił zbrodnię, i dołączył do kolejki. W teatrze zapanała przejmująca cisza. Potem zerwały się brawa, dość nieliczne, które zderzyły się z okrzykami: „Hańba!”, „Podłość!”. Ogół publiczności czekał, jak zachowa się prezydent. Mrówa zrobił dokładnie to, co radził mu Jerzy – wstał, zaczął bić brawo głośniejsz niż inni i zawołał: – Wspaniale. Katharsis.

Jerzy długo ćwiczył z nim wymowę tego drugiego słowa, bo Mrówa z niejasnych powodów ciągle się mylił i mówił a to „karris”, a to „kathis”, a to „katarakta”. Za nic nie umiał wypowiedzieć skądinąd prostego „sis”. W pewnym momencie Jerzy był tak zrozpaczony, że nawet myślał o polskim odpowiedniku, ale „oczyszczenie” nie brzmiało równie poważnie i dobrze. Za bardzo kojarzyło się ze środkami czyszczącymi, z praniem i porządkami domowymi. Albo z czystkami. „Katharsis” było zatem idealne.

Jerzy był pewien, że jeśli Mrówa wypowie je mocno i głośno, to zostanie ono dostrzeżone też za granicą. Poszukiwał mocnego przesłania i „katharsis” je zapewniał. Dlatego pomyłki Mrówy doprowadzały go do szału. Wreszcie zdał sobie sprawę, że prezydent nigdy nie wypowie tego słowa we właściwy sposób. A pomyłka w tym przypadku mogła pociągać za sobą śmieszność. Wtedy Jerzy wpadł na pomysł, który okazał się, jak większość jego pomysłów, genialny: nagrał wcześniej Mrówę i teraz, kiedy prezydent wstawał i składał ręce do klaskania, siedzący obok minister Teodor Swój wcisnął jedynie mały guzik z napisem „wyciszenie” w kieszeni głowy państwa. Wszystko było pod kontrolą.

Wcześniej tego dnia przed Pałacem Prezydenckim [...], gdzie Jerzy poszedł, rozstając się [...] z Agatą, pojawiła się grupa przeciwników. Była większa niż ta później przed teatrem. Jerzy zgodził się skomentować protesty dla telewizji.

– Grupka radykalnych faszystów i neonazistów usiłuje zakłócić uroczystości. W chwili, kiedy prezydent Robert Mrówa wręcza najważniejszy polski order kilku niepokornym, walecznym, odważnym historykom reprezentującym to, co w polskiej tradycji najlepsze, pojawili się też mściciele. Nie

damy się zaszantażować dzieciom i wnukom szmalcowników. Polska wreszcie, jak mówił przed dwiema godzinami pan prezydent, dojrzała, wreszcie stanęła na wysokości zadania. Nikt nas z tej drogi nie zawróci. Mam poza tym nadzieję, a myślę, że wyrażam tu oczekiwania pana prezydenta, że wkrótce Sejm przyjmie ustawę o walce z mową nienawiści, którą opracowaliśmy, co pozwoli nam skutecznie zwalczać te patologiczne przejawy agresji, które tu przed Pałacem widzimy.

Jerzy był bardzo zadowolony. Z Mrówą ustalili, że tym razem on weźmie na siebie odium i ogłosi, że w Sejmie pojawi się ustawa o walce z mową nienawiści. Jerzy nie bardzo lubił wychodzić z cienia i występować publicznie, doskonale czuł się w roli szarej eminencji. [...] Sam wprowadził do Pałacu piątkę naukowców, na czele ze słynnym Janem Tomaszem Srosem. Prawdę powiedziawszy, ostatnio jego gwiazda trochę przybladła, wyraźnie wyprzedził go drugi badacz, Jean Graboś, który miesiąc temu ogłosił, że Polacy zamordowali co najmniej milion Żydów.

– Milion, powtarzam raz jeszcze, milion. Bandyci, dranie, kłamcy, oszuści – prof. Graboś przedstawił swoje ustalenia na konferencji brukselskiej. W pewnym momencie krzyknął tak głośno, jakby coś go zabiło. Wstał nawet, wszedł na stół, zaczął skakać i wyrzucać do góry ręce, wołał cały czas: „Mordercy! Mordercy!”, nawet kopnął przez nieuwagę siedzącą obok niego prof. Barbarę Keselring, był nie do zatrzymania, potknął się i padł tak, że złamał sobie rękę i uderzył mocno w oko. „Na sali była tak stężona atmosfera antysemityzmu – komentował później w »La Libre Belgique« – że moje zachowanie było klasyczną reakcją obronną. Nie miałem wyjścia. Wiem, że niektórzy uważają inaczej, ale naprawdę nie znają państwa kontekstu. Spojrzenia dochodzące z sali były tak nienawistne, syczenie, spoglądanie, przesuwanie palcami, gesty dłoni, ruchy oczu, to wszystko była jedna wściekła emanacja potworzonego antysemityzmu. Profesor Keselring ustaliła przecież wcześniej, że nie możemy mówić o żadnej wspólnocie ofiar, że śmierć Żyda miała charakter metafizyczny, a nie biologiczny, jak w przypadku gojów, i tak też było na tej sali. Starałem się przedstawić metafizyczny, a tym samym realny wymiar zagłady, niestety, stykałem się cały czas z atmosferą biologicznej wrogości, zewsząd otaczała mnie rasowa, fizyczna przemoc, unosiła się w powietrzu, napełniała powietrze, przedzierała się zewsząd”. Kiedy Jerzy

przeczytał ten wywiad, wiedział, że to jest to, czego szuka.

Od razu potem pojechał do prof. Grabosia do Brukseli i przekonał go, żeby razem z innymi przyjęli Orła Białego od Mrówy. Profesor z początku był nieufny, bał się, że Jerzy próbuje go wrobić w, jak to nazwał, „nacionalistyczną kabałę”, najbardziej nie podobała mu się nazwa orderu. Mówił, że orzeł biały to symbol ksenofobii. Ostatecznie dał się przebłagać, kiedy Jerzy obiecał, że Centrum Badań Prawdziwych nad Największą Zbrodnią dostanie rocznie pięć milionów na dalsze badania.

Jerzy odwiedził też pozostałych profesorów. Z wyjątkiem Harumana, który kategorycznie i stanowczo odmówił – „dopóki nie zobaczę nacjonalistów i ksenofobów w rezerwach, nic od tego państwa nie przyjmę” – nikt się nie opierał. Tylko Sros miał wątpliwość, czy to dobrze, że dostanie order razem ze wszystkimi innymi, w końcu, jak mówił, „byłem prekursorem i nikt tyle co ja nie wycierpiał”. Dowodził, że Graboś przyszedł na gotowe, a wcześniej tylko on niósł sztandar prawdy i walki z antysemityzmem. Ostatecznie jednak się zgodził. Jerzy dał słowo, że jego szczególną rolę jako prekursora prezydent Mrówa podkreśli w wystąpieniu w Pałacu.

Chwila, kiedy piątka profesorów stanęła razem z Mrówą do symbolicznego zdjęcia, była prawdziwym triumfem Jerzego. Żałował jedynie, że w Pałacu nie pojawił się abp Żbik, który tak dobrze sprawił się rano na uroczystościach, ale na jego obecność nie zgodzili się ani Sros, ani Keselring. Jerzy przekonywał ich, że arcybiskup będzie bez krzyża, że przyczepi sobie złotą gwiazdę, że w czasie uroczystości będzie wykonywać nieustannie gesty pokutne, jednak to ich nie przekonało.

– Arcybiskup to arcybiskup, zawsze jednak klecha. Co z tego, że bez krzyża i nasz, ale może to nieść fałszywy sygnał, może zniekształcić prawdę o zbrodniczym charakterze katolicyzmu – prof. Sros nie ustąpił ani na piędź.

Ostatecznie stanęło na tym, że Żbika do środka nie wpuszczono, pozwolono mu jednak być przed wejściem do Pałacu. Arcybiskup się zgodził i podczas wręczania przez Mrówę orderów siedział na dworze w pozycji lotosu. Tak naprawdę Jerzy miał z tym jeden problem: nie wiedział, jak pokazać, że Żbik jest arcybiskupem i znakiem pokutującego Kościoła, skoro profesorowie domagali się, żeby hierarcha nie miał na sobie żadnych religijnych emblematów.

Ostatecznie zgodzili się na fioletową czapkę bejsbolową na głowie, co od biedy, kiedy uprzedziło się fotografów, można było uznać za symbol religijny.

...

Po skończonych uroczystościach i otwarciu konkursu Jerzy odechnął. Widział, że udało mu się kompletnie rozbić przeciwników. Zauważył też, że coraz częściej zaczyna się o nim pisać i mówić jako o głównym strategu polityki schityzmu.

Rok wcześniej, wkrótce przed wyborami 2019 r., zadzwonił do niego telefon od profesora J., jego dobrego znajomego, który wkręcił go na wydział. Profesor zaprosił go jutro na kolację.

– Będzie kilku ludzi, których znasz – zachęcał.

– Ale dlaczego ja?

– Bo nikt tak jak ty nie potrafi dobrze definiować problemów i wyzwń. Jeśli nasi wygrają i rozgromimy kaczym, to będziemy potrzebować idei. Jasnego przesłania, misji, nie wiem, jak to nazwać. I pomyślałem o tobie. Wiesz, oni są bliższy zwycięstwa. Komisja Europejska ogłosiła, że liczy na to, iż nowy polski rząd po wyborach będzie wolny od nacjonalistów. Od tego zależy pomoc dla Polski. Inaczej zostanie wprowadzona procedura wykluczenia z Unii.

– Ale to bzdura, nie mogą tego zrobić – zachnął się Jerzy.

– I co z tego? Elektorat zawyje ze strachu. Pełna mobilizacja. Więc wygrana jest naprawdę w zasięgu ręki. I dlatego trzeba myśleć, co będzie potem. Bruksela za swoją pomoc domaga się od nich podjęcia radykalnych kroków. Radykalnych, demokratycznych posunięć. A wiesz, prochu to Schit i reszta nie wymyślą.

– Więc o to chodzi? Ja mam im dostarczyć idei? Dlaczego nie ty?

– Bo jestem ciężko chory. Od jutra idę na terapię i nie wiadomo, co z tego wyniknie. Schitowi poleciłem ciebie. Obserwuję cię od dawna. Jesteś najlepszy. Jedyny, który rozumie, o co toczy się gra. Nie zmarnuj tej szansy. Pokażę cię przyszłemu premierowi, pamiętaj.





– A jak nie wygrają? Mają niewielką przewagę – Jerzy się wahał.

– To pomóż im wygrać – uciął profesor J.

Po tej kolacji Andrzej Schit zrobił go swoim głównym doradcą. „Będiesz moim mózgiem” – powiedział mu, kiedy się rozstawali. Jerzego zaskoczyło, że tak łatwo i tak szybko przyszły premier powierzył mu tę funkcję. Może dlatego, że podczas kolacji punkt po punkcie pokazał, jak zdobyć w ostatnich tygodniach kampanii brakujących kilka punktów do zwycięstwa. Dwa tygodnie temu jakiś szaleniec zastrzelił z łuku prezydenta Szczecina. Media pisały o tym jako o zbrodni kryminalnej, a mordercę przedstawiały jako człowieka niezrównoważonego.

– To błąd, to tragiczny błąd – mówił z ogniem w oczach na kolacji Jerzy. – Nie umiecie dostrzec tego, co najważniejsze. Przecież prezydent Szczecina był nasz.

– I co z tego? – skrzywił się Schit. – Nie ma powiązania politycznego.

– Ono jest, tylko trzeba je umieć dostrzec. A jak nawet nie ma, to trzeba je stworzyć. Nowoczesny polityk kreuje i ustanawia rzeczywistość, on jej nie odkrywa. Zrozumcie, jesteście jak starożytni bogowie. Mając taką przewagę medialną, możecie ustanawiać nieistniejące. Wy mówicie, wasze media to podają, a przeciwnik, nim się otrząśnie, nim zbierze siły, będzie po wszystkim.

– Ale jak? Ładne słówka, tylko nic z nich nie wychodzi – Schit nie był przekonany.

– Oto jak!

I Jerzy przedstawił szczegółowy plan działań, który miał pozwolić zrobić ze szczecińskiego zabójstwa akt polityczny, więcej – atak na demokrację, na system wartości europejskich, godność człowieka. Wystarczyło, żeby od jutra codziennie wszyscy politycy opozycji ogłosili, że będą tę zbrodnię traktowali jak zamach polityczny. Głośno, codziennie, stanowczo, regularnie. Niech zadają pytania, niech snują podejrzenia, niech spekulują. Trzy tygodnie ciągłego powtarzania tej samej frazy wystarczy.

– I zawsze w każdym wystąpieniu muszą paść te słowa: zabiła go mowa nienawiści – ostatnie słowa Jerzy niemal wykrzyczał. Schit dał się przekonać. Nowa strategia przyniosła piorunujące efekty. Sondáže skoczyły do góry. Nic dziwnego, że to Jerzemu nowy premier powierzył przygotowanie planu wielkich zmian. [...]

– Nic się nie martw – profesor J. tłumaczył mu potem. – [...] Polska musi się wybić. Musi znowu trafić do pierwszej ligi. [...] Zo-

bacz, ze wszystkich ważnych polityków ostatnich lat nazwisko tylko jednego stało się synonimem programu i ideologii. No czyje?

– Oczywiście Zapatero

– Jerzy przypomniał sobie, jak kilka lat temu został zaproszony przez uniwersytet w Barcelonie na konferencję poświęconą nowej Hiszpanii.

– Właśnie, Zapatero. [...] Facet zmienił starą, zapyziałą, trącącą naftaliną katolicką Hiszpanię w symbol otwarcia, nowości. [...] I teraz słuchaj uważnie: nasz Andrzejek chce tego samego dla Polski. Tylko uważaj: on nie chce słyszeć, że jest polskim Zapatero. On chce, żeby to Polska dyktowała teraz warunki. Żebyśmy byli pierwszymi, którzy nadadzą kształt przyszłości.

Jerzy pokiwał głową. – OK. Czyli chodzi mu o taki polski – zawahał się chwilę – schityzm.

– Niezłe, schityzm – profesor J. odchrząknął. [...] – Tylko to musi mieć odpowiedni rozmach. [...] Polskie europejskie odrodzenie. Kaczym będzie jak frankizm, ale to za mało. Osądzimy ich, zorganizujemy wielkie procesy pokazowe, ale to za mało. Nie sądzę, żeby naprawdę udało się kogoś skazać, więc raczej powołamy komisję prawdy i pojednania. Będziemy ich przesłuchiwać, a potem z braku dowodów winy przebaczymy. Niektórych może przymkniemy. Na trochę. Tylko rozumiesz, to jest za mało.

– Tak, wiem. To jest za mało. Trzeba dokonać więcej. Trzeba przełamać polskość. Tak jak zrobili to we Francji po 1870 r. czy w Niemczech po 1945 r., musimy wymyślić polskość na nowo – Jerzy dobrze zrozumiał, jakie jest jego zadanie.

– Potrzebujemy czegoś naprawdę spektakularnego – do tego wystąpienia, pierwszego po wygranych wyborach w październiku 2019 r., przygotował się bardzo dokładnie. – Napoleon uczył, że bitwę wygrywa ten, kto w danej chwili zgromadzi we właściwym miejscu odpowiednio wielkie siły, żeby całkowicie przełamać wroga.

Wiemy, że oczekuje się od nas działań spektakularnych. Bruksela ma już dość. Mamy doprowadzić do sytuacji, w której powrót do władzy prawicy z definicji nie wchodzi w grę. Dlatego proponuję trzy miażdżące uderzenia, które raz na zawsze zniszczą taką polskość, jaką znamy. Przede wszystkim wielkie uroczystości ekspiacyjne za polski udział w Holokauście.

Rzucimy niewinną Polskę na kolana, zbrukamy ją, zdepczemy. Do tego potrzebujemy zwycięstwa naszego kandydata na prezydenta.

Teraz na to za wcześnie. Gdyby z taką ideą wystąpił obecnie premier, przegralibyśmy wybory prezydenckie. Najpierw Robert

Mrówka musi wygrać. Jeśli tak się stanie, to będzie musiał wykazać się potem odwagą. Taki akt przeprosin i wzięcia na siebie odpowiedzialności musi być na tyle znaczący i głośny, żeby już nigdy nikt nie mógł powiedzieć, że Polacy byli ofiarami.

Drugie uderzenie musi złamać kręgosłup Kościoła. Ostatnio i tak nie jest źle, z każdym rokiem czarni trącą zaufanie, stała i regularna działalność mediów podkopuje ich skuteczniej, niż to dawniej robiły, prymitywnie, komuchy. Dlatego sądzę, że sytuacja dojrzała do radykalnych decyzji. Wreszcie rzecz ostatnia to rodzina, pamięć pokoleniowa i siła, jaką stanowi ona w przekazie wartości kulturowych. Tu proponuję z kolei wprowadzenie do prawa tych zapisów, które nasz Rafał przyjął w Warszawie. Trzeba je rozszerzyć i wprowadzić w całym kraju. Również tego typu decyzji powinien towarzyszyć akt symboliczny: wielka Parada Równości na czele z prezydentem i premierem, być może połączona z konferencją międzynarodową.

Jerzy mówił jak natchniony, czuł, że to, co przedstawia, jest w pełnym tego słowa znaczeniu projektem, że formatuje przyszłość, że jego słowa, jeśli zostaną przekute w czyn, sprawią, iż Polski, z jej tradycjonalizmem, patriotyzmem i zapyziałością, już nigdy więcej nie będzie.

– No, brzmi to dość rewolucyjnie – Andrzej Schit podrapał się w głowę.

– Powiedziałeś, żeby przygotować projekt, który raz na zawsze pozwoli usunąć groźbę powrotu kaczystów lub innej prawicy do władzy. Rządy Tuska pokazały, że hydra zawsze może powstać na nowo, że nie wystarczy ją osłabić, ale trzeba wyszarpać jej korzenie, podstawy. To nie jest program na dziś, na 2019 r. Nie, w czasie kampanii w ogóle o tym nie mówimy. To jest program na jutro, kiedy będziemy mieli w rękę zarówno premiera, jak i prezydenta. Ale o taki program mnie prosiłeś. [...]

– Skąd pewność, że się uda? – Schit cały czas nie był przekonany.

– Powiem ci, o jakiej akcji myślę – Jerzy uśmiechnął się, pochylił nad stołem i wyciągnął papiery z leżącej przed nim

teczki. – Posłuchaj uważnie: „W dniu 30 listopada 2018 r. o poranku ponad 50 agentów organów ścigania wkroczyło do siedziby arcybiskupstwa Galveston-Houston w Teksasie. W specjalnej grupie operacyjnej, działającej na zlecenie prokuratury stanowej, byli policjanci, prokuratorzy i funkcjonariusze jednostki Texas Rangers. Arcybiskupem tej diecezji jest kard. Daniel DiNardo, przewodniczący Konferencji Episkopatu Stanów Zjednoczonych, która jest dzisiaj uznawana za najbardziej wpływową konferencję episkopatu w całym Kościele katolickim. Przedstawiciele organów ścigania dokonali rewizji w siedzibie kardynała DiNardo i zabrali dokumenty z tajnego archiwum kurii arcybiskupiej, które dotyczyły różnych przypadków wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych katolickich. Po przeprowadzonej rewizji archidiecezja Galveston-Houston wydała specjalne oświadczenie dla mediów, w którym potwierdziła gotowość pełnej współpracy z prokuraturą, gdy chodzi o ściganie nadużyć seksualnych popełnianych przez osoby duchowne”.

I drugi cytat: „Rewizja w kurii archidiecezjalnej Galveston-Houston w Teksasie przypomina spektakularne wydarzenie z Belgii, które miało miejsce 24 czerwca 2010 r. W tym dniu policja belgijska, na zlecenie prokuratury, dokonała bezprecedensowej akcji w niektórych instytucjach kościelnych. Funkcjonariusze organów ścigania – w ramach działań specjalnych o kryptonimie operacja Kościół – dokonali rewizji w urzędach archidiecezji mecheleno-brukselskiej oraz w domu kard. Godfrieda Danneelsa. Śledczych interesowały dokumenty związane ze skandalem pedofilskim. Przez organy ścigania zostały przejęte m.in. tysiące dokumentów będących w posiadaniu komisji kościelnej badającej przypadki wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych katolickich. Niezwykle bulwersującym elementem tej rewizji było częściowe rozbicie młotami pneumatycznymi dwóch grobów arcybiskupich w krypcie monumentalnej katedry św. Rumolda w Mechelen, w których rzekomo miały być ukrywane dokumenty związane ze skandalem pedofilskim. Prokuratorzy i policjanci rozpoczęli rewizję siedziby arcybiskupstwa mecheleno-brukselskiego 24 czerwca 2010 r. ok. godz. 10.30, gdy trwało comiesięczne spotkanie Konferencji Episkopatu Belgii, w którym brał także udział nuncjusz apostolski.

Przedstawiciele organów ścigania zabrali wszystkim telefony komórkowe i ogłosili, że nikomu nie wolno opuszczać gmachu. Przez cały dzień wszyscy biskupi belgijscy byli przetrzymywani w swego rodzaju areszcie domowym i zostali przesłuchani przez prokuratorów”.

– OK, tylko po co mi to czytasz?

– Żebyś zrozumiał, jak musimy to zrobić i na czym polega drugie uderzenie. To nie może być gadanie. Tu trzeba zaatakować z przyputem. Pierwszego dnia Mrówka wali po oczach z przeprosinami. Grzmoci się w piersi, że aż strach. Brudzi całą przeszłość. Rozumiesz: ogłasza, że cały ich zafajdany patriotyzm nic nie jest wart. Że ukrywali zbrodnie. Efekt: zaczynają się burzyć, wrzeszczą, krzyczą, że zdrada, że sprzedawczyk. Wyją i ujadają wściekle. Wtedy następnego dnia robimy wielką akcję antypedofilską. W Teksasie było 50 agentów. Wariant belgijski bardziej mi się podoba. Otaczamy wojskiem i policją siedziby kilkunastu wytypowanych biskupstw. Aresztujemy, przesłuchujemy. Jednocześnie rozbijamy grób prałata Jankowskiego i paru innych, co do których są podejrzenia. Nasi wrogowie są tak zszokowani śmiałością akcji, że nie wiedzą, co powiedzieć. Aresztujemy, tak jak w Belgii, wszystkich biskupów na konferencji. Cały czas we wszystkich mediach leżą zdjęcia dzieci, co do których możliwe, że były ofiarami księży pedofilów. Nawet kilka przypadków wystarczy. Jedna taka masowa akcja rozbija Kościół. Nikt ich nie będzie bronił, nikt nie stanie po stronie pedofilów. Śmiałość, śmiałość. Trzeciego dnia trzeci cios, trzecie uderzenie. Otwierasz wielki kongres w obronie praw mniejszości w Warszawie. Stajesz z Mrówką na czele tęczowego marszu. Ogłaszasz, że w szkołach należy wprowadzić obowiązkową edukację seksualną, żeby dzieci nigdy już nie dały się wykorzystywać.

– Czekaj, Jerzy, nie gnaj tak. Przecież to bez sensu. Jak to wprowadzam powszechną edukację seksualną? Jak to przymusować?

– Ano tak. Zrozum, robisz to dzień po pacyfikacji Kościoła. Wielka akcja policji sprawi, że oni wszyscy zostaną napiętnowani. Wyobrażasz sobie, że po takim zatrzymaniu, przesłuchaniu, po sprawdzeniu grobów i wywlekaniu ciała, po takiej wielkiej awanturze na cały świat chociaż jeden z klechów piśnie słówko? Że chociaż jeden się odważy bredzić o rodzinie, rodzinach itd.? Będą szczęśliwi, że chociaż przez chwilę o nich zapomniano.

– W Polsce to nie przejdzie. To nie USA ani nie Belgia. Ludzie staną w ich obronie. Zaczną się telefony, protesty. Prawicowe szmatławce będą wyć z wściekłości. Podżęgać tłuszcze. Jerzy, przecież to przepis na katastrofę.

– Mylisz się. Ta akcja będzie przygotowana precyzyjnie. Dzień po dniu będziemy podgrzewali nastroje. Dzień po dniu będziemy wcześniej sprzedawali kolejne historie. Doprowadzimy do tego, że ludzie będą coraz głośniej wołać o porządek. To tylko kwestia czasu i właściwie użytych środków.

– Taka akcja może wywołać masowe protesty. Ludzie wyjdą na ulice i nas pogonią. Akcja policji i służb przeciw Kościołowi na taką skalę nie przejdzie.

– Jeśli będzie dobrze przygotowana, to złamiemy im kark. To nie będzie przeciw Kościołowi, ale przeciw pedofilom. Mówię ci. Najpierw zrobimy przygotowanie artystyczne. A potem szach-mat. Nie musimy mieć nawet prawdziwych winnych. Wystarczy, że ich przesłuchamy, że pokażemy we właściwym świetle. Od tej pory ile razy któryś będzie się chciał odezwać i krytykować, zaraz zaczną się krzyki, że pedofil. Będziemy mieli ich w garści. Zrozum, Andrzej, trzeba to zrobić, jak mówię: wszystko jednocześnie. Żeby się nie zdołali podnieść. A na koniec wielkie boom z LGBT. Pierwszego dnia ludzie są oszołomieni, że się im zabiera pamięć i godność, drugiego są zrozpaczeni, bo wydaje im się, że świat się kończy, a trzeciego dajesz pozytywną odpowiedź, robisz marsz z udziałem kilku innych premierów, prezydentów, ogłaszasz, że Warszawa jest stolicą światowego postępu, przyszłości, że kto chce, ten może przylączyć się do ruchu, że być Polakiem od dziś to znaczy już coś innego niż wcześniej. Kto chce obciachu, kto chce plamić sobie ręce krwią bliźnich, ten niech to robi, ale ty pokazujesz inny kierunek, nową Polskę, szansę i nadzieję.

– Tylko wiesz, że takie przeprosiny będą nas bardzo dużo kosztować? To są setki milionów dolarów. Im przecież słowa Mrówki nie wystarczą.

– Wcześniej można się dogadać i zapłacić. I tak będziesz to musiał zrobić. Nawet te prawicowe gaduły, jak przyszło co do czego, zaczęły wymiękać. Andrzej, wygrasz i będziesz musiał płacić. Ale ja ci pokazuję, jak to przekuć w sukces. Zapłacisz, OK, ale wykończysz przy okazji wroga.

Od tej pory Jerzy codziennie pracował nad założeniami schityzmu.

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Środowiska zaangażowane w promocję postulatów ruchu LGBT twierdzą, że stanął pan na barykadzie walki z nimi. Piotr Pacewicz na łamach portalu OKO.press pisze: „Wiceminister z Opus Dei wypowiada wojnę IKEI. Ziobryści biorą homofoba na sztandary”. Czuje się pan „homofobem”?

MARCIN ROMANOWSKI: W rozumieniu George’a Weinberga, który wprowadził do dyskursu naukowego pojęcie homofobii, jest to irracjonalny lęk o podłożu społecznym i religijnym. Nie jestem więc żadnym homofobem. Z mojej przynależności do Dzieła [Opus Dei – przyp. red.] tłumaczyć się nie mam zamiaru ani obowiązku – tłumaczyć się powinni ci, którzy atakują mnie, stygmatyzują i próbują wyszydząć tylko dlatego, że staram się w swoim życiu kierować katolicką doktryną moralną i etyką chrześcijańską. Opus Dei nigdy nie wpływało, nie wpływa i nie będzie wpływać na zawodowe czy polityczne decyzje swoich członków. Co więcej, zasady Dzieła wprost tego zabraniają. Dostrzegam za to globalną ideologiczną ofensywę środowisk LGBT+, które nie cofają się przed niczym, by narzucać innym swój punkt widzenia. W Wielkiej Brytanii, w Londynie, 10-letnia dziewczynka była trzymana kilka godzin w osobnej sali i została zawieszona w prawach ucznia za sprzeciw wobec uczestnictwa w zajęciach z okazji „miesiąca dumy gejowskiej” w jednej ze szkół. Z innej szkoły, tym razem szkockiej, wyrzucono ucznia za słowa wypowiedziane podczas lekcji, że istnieją tylko dwie płcie. Widzimy i mamy świadomość, że zignorowanie tej ofensywy przez odpowiednie instytucje państw narodowych grozi niebezpieczeństwem wszystkim grupom społecznym i terrorem ideologicznym na niespotykaną dotąd skalę.

Poprawne politycznie to jednak nie jest, a niepoprawność polityczna już niejednemu politykowi w Europie zrujnowała karierę.

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS



Obawiam się, że pewnie nieświadomie sam uległ pan wszechobecnej narracji, w której za niepoprawność polityczną uważa się przestrzeganie prawa i stosowanie równej miary wobec wszystkich. Słynna sprawa drukarza z Łodzi pokazuje, że już i u nas karze się ludzi za to, że kierują się własnym sumieniem czy wyznaniem. A tak było właśnie w tym przypadku. Drukarz został skazany za odmowę

w czerwcu br. Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodny z ustawą zasadniczą. I dodam, że wniosek w tej sprawie skierował do TK minister Zbigniew Ziobro. Po ogłoszeniu wyroku TK minister sprawiedliwości prokurator generalny mówił, że przyjmuje wyrok z wielką satysfakcją i cieszy się, że jego „poglądy i argumenty zostały podzielone – wolność należy się wszystkim; nikt nie powinien pod hasłami

ideologii wśród pracowników i – jak widać – wykorzystując uprzywilejowaną pozycję pracodawcy, na forum wewnętrznym wysłał do nich wytyczne o charakterze agitacji światopoglądowej, w zarodku tłumiąc asertywną, a przy tym piękną literacko formę krytyki tych poglądów i sprzeciwu sumienia.

Majowa „odezwa” do pracowników Ikei była przykładem takiego niczym niesprowokowanego stręczenia ideologii przez firmę. Artykuł zatytułowany „Włączenie LGBT+ jest obowiązkiem każdego z nas” to typowa orwellowska manipulacja językowa, która służy raczej do opresji niż do adekwatnego opisywania świata czy formułowania jasnych poleceń, które w zgodzie z Kodeksem pracy i innymi aktami prawnymi mogą być wydawane pracownikowi.



Z dr. Marcinem Romanowskim,
wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Wojciech Wybranowski

Walczymy z ideologią, która atakuje wolność

wykonania usługi, która w sposób rażąco była sprzeczna z jego wewnętrznymi przekonaniami, wyznawaną religią. Nie odmówił z racji tego, że jest nietolerancyjny. Odmówił wykonania usługi, bo nie chciał się włączać w propagowanie idei, które są sprzeczne z jego sumieniem. Nie widzę tu racjonalnego pola do uderzenia w polski rząd – bo za co, skoro ten nie chce, by łamano prawo do wolności sumienia? Pozwalam sobie też przypomnieć, że przepis Kodeksu wykroczeń, na podstawie którego drukarz został pierwotnie skazany,

tolerancji używać aparatu państwa, by zmuszać innych do gwałcenia ich własnej wolności”. Ja mam w tej sprawie podobne zdanie i też się cieszę, że sprawiedliwości stało się zadość.

Głośno niedawno było o sprawie Ikei i zwolnieniu polskiego pracownika za to, że nie chciał samemu angażować się w promocję ideologii LGBT, powołał się na Pismo Święte...

Ikea jest jedną z firm, która w nieuzasadniony sposób wpisuje się w promowanie ściśle określonej wersji lewicowej

Mówi pan o fałszu i manipulacjach. Proszę o przykłady.

Proszę bardzo. „Włączenie LGBT+” do czego? Z czego „LGBT+” jest wyłączone? Jaka jest podstawa prawna sformułowania przez pracodawcę wyżej wymienionego „obowiązku”? Czy osoby definiujące się tym skrótem, stanowiące otwarty zbiór konfiguracji autodefinicji genderowych i preferencji seksualnych, były w Ikei dyskryminowane, a po opublikowaniu tego dokumentu już nie są? Czy podczas zebrań pracowniczych lub drogą mailową bądź w jakikolwiek inny sposób osoby zatrudnione w Ikei były pytane o samoklasyfikację – w ramach skonstruowanej nie tak dawno, a przebiegającej dorobkowi nauk biologicznych skomplikowanej siatki kilkudziesięciu płci i preferencji – w razie zaś „nieheteronormatywnej” odpowiedzi odmawiano im poszanowania praw pracowniczych? Trudno nie postawić pytania, jaka jest geneza aż takiej reakcji władz Ikei, czyli w postaci dokumentu reedukującego pracowników. Być może jest to kalka kulturowa ze Szwecji lat 40.? Wiadomo bowiem, że założyciel Ikei był sympatykiem partii wysyłającej homoseksualistów do obozów koncentracyjnych.

Instytut Ordo Iuris alarmował na łamach „Do Rzeczy”, że podobnych sytuacji bywa więcej. W kilku dużych firmach pracownicy, którzy nie chcieli angażować się w promocję homoseksualnego lobby, byli wzywani na rozmowy dyscyplinujące...

W mojej ocenie mamy tu do czynienia z naruszeniem zasady równości, zakazu dyskryminacji. Dochodzą do tego prawa

■ gwarantowane przez konstytucję, czyli wolność sumienia, wyznania i prawo do wyrażania swoich poglądów. Kierowane przez Zbigniewa Ziobrę Ministerstwo Sprawiedliwości dostrzega, że takie sprawy zdarzają się w Polsce coraz częściej. W samej Ikei proceder trwa co najmniej od kilku lat i dotyka coraz większej liczby osób, które z tego powodu zgłaszają się do prokuratury. Należy zwrócić uwagę, że Państwowa Inspekcja Pracy rozpoczęła kontrolę Ikei – pod kątem bezpieczeństwa i higieny pracy, prawa pracy, zawierania oraz rozwiązywania stosunków pracy oraz badań lekarskich i szkoleń BHP. Mamy nadzieję, że takie kontrole będą wszczynane w każdym tego typu przypadku. Resort sprawiedliwości monitoruje te i inne sprawy (m.in. głośny incydent we wrocławskiej fabryce Volvo) i nie pozostanie na nie obojętny. Zawsze będziemy opowiadać się za zagrożoną wolnością. Mamy do czynienia

dzieci”. Nie jest więc tak, że minister czy rząd torpedują wolę większości, wolę narodu, suwerena – właśnie wsłuchujemy się w ten głos, wiemy, czego chcą Polacy, i nie pozwolimy, by krzykliwa mniejszość próbowała usankcjonować prawem coś, czego obywatele w przygniatającej większości sobie nie życzą jako niezgodnego z ich przekonaniami czy wiarą.

Niedawno sąd nakazał jednemu z urzędów stanu cywilnego tzw. transkrypcję brytyjskiego aktu urodzenia dziecka, w którym jako rodzice wpisane były dwie kobiety. Czy pana zdaniem nie narusza to polskiego prawa, w którym w myśl konstytucji małżeństwo jest rozumiane jako związek kobiety i mężczyzny?

Transkrypcja polega na przeniesieniu treści zagranicznego dokumentu stanu cywilnego do polskiego rejestru. Transkrypcji podlegają dokumenty, które w państwie wystawienia są uznawane za dokumenty

alne. Ochrona tożsamości małżeństwa i rodziny opartej na trwałym związku mężczyzny i kobiety jest świadomym wyborem polskiego ustawodawcy, konsekwentnie realizowanym poprzez system prawny. Niedopuszczalne jest dokonywanie czynności zmierzających do obejścia pozycji prawnej małżeństwa, wynikającej z podstawowych zasad porządku prawnego RP, w szczególności w celu osiągnięcia skutku jednoznacznie zabronionego przez przepisy polskiego prawa.

Lobbyści ruchów LGBT coraz aktywniej wchodzą do szkół, w kilku miastach pozwoli im na to np. podobna do warszawskiej deklaracja LGBT+. Rodzice często skarżą się, że to narusza ich prawa, naraża dzieci na propagandę idei niezgodnej z ich zasadami. Jak mogą się bronić?

Jeśli chodzi o ochronę dzieci przed deprawacją, to bardzo ważna jest świadomość i zaangażowanie rodziców: powinni wiedzieć, jak mogą dbać o to, jakie treści są prezentowane ich dzieciom w szkole czy przedszkolu. Powinni też być poinformowani o tym, w jaki sposób mogą reagować w przypadku naruszenia ich prawa do decydowania o treści programów wychowawczych. W Instytucie Wymiaru Sprawiedliwości [placówka naukowa podlegała MS – przyp. red.] analizujemy rozwiązania, które pozwolą systemowo jeszcze lepiej chronić polskie dzieci przed skutkami indoktrynacji ze strony środowisk LGBT w szkołach. Myślę, że trzeba nad tym dalej pracować. Zapewniam, że wszelkie tego typu inicjatywy mogą liczyć na moje wsparcie.

Również w przestrzeni publicznej coraz więcej jest homopropagandy. Często zawiera ona też elementy walki z wiarą katolicką.

Przede wszystkim musimy pamiętać, że nie walczymy z ludźmi! Walczymy z ideologią, która atakuje życie, rodzinę, wolność, wprowadza brutalną ingerencję w prywatną sferę życia Polek i Polaków oraz wytwarza sztuczne konflikty. Dlatego uważam, że bardzo wartościowe są wszystkie inicjatywy samorządów, które kładą tamę narzucaniu ideologii LGBT za pomocą instytucji publicznych. Na pewno bardzo potrzebne jest szybkie i stanowcze reagowanie na wszelkie karalne działania noszące znamiona zgorszenia w miejscu publicznym, obrazy uczuć religijnych czy naruszania praw pracowniczych. Mogę zadeklarować, że w Ministerstwie Sprawiedliwości zajmę się wszystkimi tego typu zgłoszeniami. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bardzo potrzebne jest szybkie i stanowcze reagowanie na wszelkie karalne działania noszące znamiona zgorszenia w miejscu publicznym, obrazy uczuć religijnych czy naruszania praw pracowniczych

z wojną ideologiczną, kiedy osoby kierujące się swoim wyznaniem i sumieniem są atakowane, zwalniane z pracy. Minister sprawiedliwości prokurator generalny konsekwentnie stoi na straży wolności, czego wyrazem jest również zaangażowanie prokuratury po stronie zwolnionego pracownika Ikei.

Związany z ruchem LGBT portal Queer uzależał się ostatnio, że „wiceminister sprawiedliwości chce umożliwić adopcję dzieci przez pary homoseksualne”.

Polski system prawny nie przyznaje tzw. związkowi partnerskim praw rodzicielskich i nie umożliwia nadania takim stanom faktycznym atrybutu stanu regulowanego prawem. Konsekwencją takiego stanu prawnego jest niemożność uznania osoby płci żeńskiej niebędącej z natury rzeczą ojcem biologicznym dziecka za „ojca” lub nawet „rodzica”. Dodam tu jeszcze coś w moim przekonaniu bardzo istotnego. Z przeprowadzonego ostatnio przez CBOS sondażu „Stosunek Polaków do związków homoseksualnych” wynika m.in., że tylko co jedenasta ankietowana osoba (9 proc.) „przyzwoliłaby parom homoseksualnym na adopcję

stanu cywilnego i mają moc dokumentów urzędowych. Nie dokonuje się więc merytorycznej oceny aktów podlegających transkrypcji. Może jednak dojść do sytuacji, w której wykonanie transkrypcji będzie niemożliwe do pogodzenia z krajowym porządkiem publicznym. Kierownik urzędu stanu cywilnego ma obowiązek odmówić jej w przypadku, gdy byłaby ona sprzeczna z podstawowymi zasadami porządku prawnego RP. I to ma miejsce w sytuacji zagranicznych aktów, gdzie jako „rodzice” wpisane są osoby tej samej płci.

Czyli pana zdaniem to, że osoby pozostające w Polsce w jednopłciowych nieformalnych związkach partnerskich nie mogą adoptować dzieci, nie ogranicza ich praw obywatelskich?

Na mocy art. 18 Konstytucji RP jedną z podstawowych zasad porządku prawnego Rzeczypospolitej Polskiej jest zasada otoczenia ochroną i opieką małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, rodziny, macierzyństwa i rodzicielstwa. Z zasady tej wynika zakaz ustanawiania przez ustawodawcę jakichkolwiek innych form relacji zbliżonych do małżeństwa, a także adopcji dzieci przez osoby homoseksu-

PRENUMERATA 2019

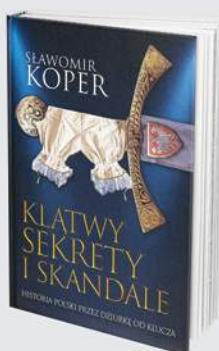
TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

SŁAWOMIR KOPER

„KŁATWY, SEKRETY
I SKĄDALE. HISTORIA POLSKI
PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA”

~~337~~ zł



139,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
198** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

KAMILA BARANOWSKA: Premier Morawiecki stwierdził, że wybór Ursuli von der Leyen na przewodniczącą Komisji Europejskiej daje nadzieję na nowe otwarcie w relacjach Polski z Unią. Będzie nowe otwarcie?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Jest na to szansa. Udało się odrzucić kandydaturę Fransa Timmermansa, który, ponosi odpowiedzialność za najpoważniejsze napięcia między Europą Wschodnią, w tym Polską, a Europą Zachodnią. To polityk, który na generowaniu tych napięć zbudował całą swoją polityczną karierę, i dlatego z naszego punktu widzenia tak ważne było, by to nie on stanął na czele Komisji. Ursula von der Leyen przed samym głosowaniem miała przemówienie lizusowskie wobec lewicy, starając się o jej głosy. To nie pomogło, bo lewica głosowała przeciw niej. Teraz dużo zależy od samej von der Leyen. Jako nowa przewodnicząca Komisji stanie bowiem przed wyborem: albo zechce te umizgi wobec lewicy kontynuować, licząc na to, że w końcu ją zaakceptuje, albo zechce się oprzeć na tych, którym zawdzięcza swój wybór. To drugie oznaczałoby zarzucenie krucjat wobec Polski i próbę uspokojenia sytuacji w Unii, zasypania podziałów. I w tym sensie jest to dla nas pewna szansa.

Jako współprzewodniczącą frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów spotkał się pan z nią, jeszcze zanim została wybrana. Jakie wrażenie na panu zrobiła?

To miła osoba, z którą się dobrze rozmawia i która rozumie wiele rzeczy, także tych istotnych dla nas. Miałem z nią około godzinne spotkanie w cztery oczy, z którego byłem zadowolony. Okazało się, że podziela nasze zdanie np. na temat odgórnego narzucania kwot imigrantów czy obowiązywania podwójnych standardów w sprawie praworządności i że dostrzega problem w napięciu między wschodem i zachodem Europy. Na spotkaniu z grupą EKR też wypadła dobrze. Od początku zdawaliśmy sobie jednak sprawę z tego, że jako kandydatka spotyka się ze wszystkimi grupami i w rozmowie z każdą z nich próbuje odpowiadać na oczekiwania.

W rozmowach z europosłami PiS przewija się ocena, że wybór von der Leyen był mniejszym złem.

Bo dla nas nie była to wcale łatwa decyzja, zwłaszcza po tym jej niefortunnym, adresowanym do socjalistów przemówieniu. Mieliśmy burzliwe posiedzenie grupy, gdzie podnoszono, że w jej wystąpieniu

Z prof. Ryszardem Legutko, europoseł PiS, przewodniczącym frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów
rozmawia Kamila Baranowska

Grupa Wyszehradzka chce coś znaczyć



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

nie było pół zdania skierowanego do nas – konserwatystów – że co innego mówiła na spotkaniu z nami, a co innego na sali plenarnej. W końcu uznaliśmy jednak, że otwieranie całego procesu raz jeszcze

byłoby zbyt dużym ryzykiem. Nie wiemy, kto byłby nowym kandydatem, a mógłby to być ktoś gorszy. Zwłaszcza że lewica wówczas złapałaby wiatr w żagle i stawiałaby coraz mocniejsze żądania.



Teraz też nie odpuszcza. Czy dwukrotne odrzucenie kandydatury byłej premier Beaty Szydło na szefową Komisji Zatrudnienia PE to zemsta za utracenie przez Polskę kandydatury Timmermansa na szefa Komisji?

Pamiętajmy, że podczas posiedzenia Rady Europejskiej w Brukseli nie tylko utracono kandydaturę Franza Timmermansa, lecz także odrzucono całą formułę Spitzenkandidat, czyli kandydata wiodą-

cego – formułę ukochaną przez Parlament Europejski i europejskie partie. Lewica jest wściekła i rozhuśtana emocjonalnie, a nas obarcza bezpośrednią odpowiedzialnością za rozmontowanie systemu, który dawał jej gwarancje wpływu na obsadę stanowisk w Unii. Politycy lewicy doskonale zdają sobie sprawę, że nastroje w Europie nie są im przychylnie. Tyle tylko, że racja w tej sprawie jest po naszej stronie, bo formuła Spitzenkandidat jest nie do obrony.

Dlaczego?

Bo w traktatach nie ma o tym mowy. To formuła ograniczająca Radę Europejską, a w traktatach nie ma mowy o jakimkolwiek ograniczeniu Rady. Nie powinno zatem być tak, że Parlament Europejski czy partie europejskie wskazują jakichś kandydatów i później tylko z ich grona Rada może wybierać szefa Komisji Europejskiej. To jest niebezpieczny mechanizm, bo utrwała układ, który od wielu lat mamy w Parlamencie Europejskim. Dobrze się stało, że to zakwestionowano w Radzie. Wszyscy wskazani wcześniej wiodący kandydaci odpadli i trzeba było wybrać innego, kompromisowego kandydata. To spowodowało wściekłość polityków głównych partii europejskich. Duża część dostała, mówiąc kolokwialnie, małego rozumu. To się potem odbiło na nas, a konkretnie na prof. Zdzisławie Krasnodębskim, którego nie wybrano na wiceprzewodniczącego PE, i na pani premier Beacie Szydło, której nie wybrano na szefową jednej z komisji.

Czy zakwestionowanie formuły Spitzenkandidat będzie miało jakieś długofalowe skutki? To wstęp do zwiększenia roli Rady Europejskiej?

Na to liczę. Znam i obserwuję Parlament Europejski od wielu lat i jestem zdania, że to najgorsza instytucja do sterowania polityką europejską. Większość w Parlamencie jest dogmatyczna, nie ponosi żadnej odpowiedzialności politycznej i nieustannie zgłasza absurdalne żądania. To, co się stało, jest krokiem w dobrą stronę, a stało się to również z naszym udziałem. Widać, że Grupa Wyszehradzka żyje i chce coś znaczyć. Socjaliści robili wszystko, by złamać premiera Słowacji, ale on się jednak nie dał. To pokazało, że jeśli kraje regionu chcą, to potrafią współdziałać i być skuteczne. Nic dziwnego, że po stronie zachodniej wywołało to tak dużą irytację. Dotąd zawsze było tak, że Europa Środkowo-Wschodnia słuchała ważniejszych i podporządkowywała się im, zadowolając się jakimiś mało znaczącymi paciorkami, ■

■ takimi jak funkcja przewodniczącego Parlamentu albo Rady.

Może mimo wszystko lepsze takie funkcje niż żadne?

Korzyści z tego nie było żadnych. Politycy piastujący te funkcje byli całkowicie uzależnieni od tych, którzy ich na tych stanowiskach umieścili. I całkiem sporo osób, w tym także sporo mediów, kupowało narrację pt. „Jak Polska jest doceniana?”, bo na przykład Jerzy Buzek jest przewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Tymczasem w rzeczywistości nikt nie traktował go zbyt poważnie, aż żal było czasem patrzeć, jak był upokarzany. Teraz po szczycie Rady Europejskiej okazało się, że nie chcemy już tych paciorków, lecz politycznego mięsa, że chcemy się liczyć, ale tak naprawdę, a nie tylko w narracji dla rodzimych mediów.

złość, nie popierała na początku naszych kandydatów, ale przez to sama się zakiwała. Bo efekt jest taki, że mamy dziś Parlament Europejski opanowany przez lewicę. EPP, choć wygrała wybory, ma we władzach mniejszość. To dobrze pokazuje paradoks dzisiejszej Unii – podczas gdy społeczeństwa europejskie przesuwają się na prawo, Parlament Europejski przesunął się na lewo.

Konflikty i napięcia są więc nieuniknione.

Będą narastać. Dużo jest teraz w rękach Ursuli von der Leyen. Zobaczymy, jakich doberze sobie współpracowników i co zrobi z Timmermansem.

A co może zrobić?

Niepisana, ale przestrzegana dotąd zasada jest taka, że jeżeli komisarz zostaje na drugą kadencję, to dostaje inną

z naruszeniem prawa unijnego przez Polskę. Jak to odczytywać w kontekście zachodzących właśnie w Komisji zmian?

Próbuje jeszcze rzutem na taśmę zemścić się na Polsce za to, co go spotkało. Timmermans to człowiek niezwykle próżny i pyszałkowaty, z ego wielkości gigantycznego balona. Był przekonany, że ma wszystko załatwione i będzie szefem Komisji, i nagle się okazało, że jednak nie. Element psychologiczny w tym wypadku jest istotny. Mamy też przy okazji kolejny dowód na upadek dobrych obyczajów w instytucjach unijnych. Skoro odbyły się wybory i jesteśmy w trakcie wyłaniania nowych władz, to w cywilizowanych instytucjach w takim okresie przejściowym nie podejmuje się żadnych ważnych decyzji.

To pokazuje, że Timmermans łatwo tego tematu nie odpuści. Nawet jeśli formalnie będzie musiał zajmować się czym innym.

Gdyby przestrzegano ściśle reguł, to sprawa przestrzegania praworządności w Polsce powinna być już poza jego zasięgiem. Jednak rzeczywiście może być różnie. Jest coś takiego jak Kolegium Komisarzy, na którym oni się spotykają, naradzają, coś ustalają. I są komisarze, którzy w tym kolegium mają więcej do powiedzenia, i tacy, którzy mają mniej albo wcale. Na przykład pani Bieńkowska nie była komisarzem, z którym się specjalnie liczone. Timmermans z pewnością nie będzie siedział cicho i będzie próbował swoje zdanie narzucać, nawet jeśli to będzie dotyczyło spraw, którymi nie powinien już się zajmować. I tutaj dużą rolę do odegrania będą mieli komisarze z Europy Środkowo-Wschodniej, którzy będą mogli go skutecznie powstrzymywać. Dlatego ważne jest, by komisarzami zostali politycy silni. Obawiam się jednak, że Parlament Europejski będzie chciał temu właśnie zapobiec, przeciągając przesłuchania i starając się utracić kandydatów, których nie będzie akceptował, np. tych z włoskiej Ligi czy z PiS. Co prawda Parlament nie ma możliwości odrzucenia takiej kandydatury, ale może dać negatywną opinię, co spowoduje długotrwałe przepychanki i naciski na zmianę kandydata.

W mediach już ukazywały się teksty ostrzegawcze, co się stanie, gdy w Komisji pojawią się komisarze z Ligi czy PiS. Nikt nawet nie udaje, że ten skład powinien być jakkolwiek zróżnicowany. Cel jest jasny – doprowadzić do sytuacji, by w Komisji nie było osób, które mogą mieć inne zdanie i które mogłyby to inne zdanie skutecznie forsować.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Timmermans z pewnością nie będzie siedział cicho i będzie próbował swoje zdanie narzucać, nawet jeśli to będzie dotyczyło spraw, którymi nie powinien już się zajmować

Na razie nie mamy ani paciorków, ani mięsa. Skoro to m.in. głosy PiS przesądziły o wyborze pani von der Leyen, to zasadne wydaje się pytanie, co udało się wynegocjować w zamian?

To nie jest pytanie do mnie, negocjacje personalnie dotyczące komisarzy toczą się na poziomie rządowym. Wiem, że były pewne obietnice. Co z nich wyniknie, dowiemy się niebawem.

Pojawiły się też głosy, że błędem strony polskiej było powtórne wystawienie premier Szydło na szefową Komisji Zatrudnienia i narażenie się na dwukrotną porażkę. To było dość upokarzające.

To bzdurne głosy. Nie może być mowy o wypadku przy pracy. Przed każdym głosowaniem mieliśmy zapewnienia, że pani premier zostanie wybrana. Za drugim razem były to już gwarancje wyższego szczebla i też zostały złamane. Przecież absurdalne z naszej strony byłoby wystawianie kogokolwiek bez gwarancji powodzenia. Na naszych oczach ujawniło się właśnie w polityce europejskiej zupełnie nowe zjawisko – kłamstwo. Dotąd, kiedy na coś się umawiano, coś obiecywano, to takich umów dotrzymywano. Teraz kłamali, mówiąc, że będą popierać, a potem robili co innego. O ile rozumiem wściekłość lewicy, która widziała już Timmermansa w roli szefa Komisji, o tyle dziwię się Europejskiej Partii Ludowej, która chcąc zrobić nam na

tekę. Tak więc jeśli wiceprzewodniczący Timmermans dostanie swoją tekę, to inną niż dotąd, a więc nie powinien już się zajmować praworządnością w Polsce. Chyba że pani von der Leyen ulegnie czymś wpływom i chcąc przypodobać się lewicy, mu na to pozwoli.

Może być tak, że nowa szefowa KE będzie chciała się uwiarygodnić w oczach europejskich polityków i tym bardziej Polsce nie odpuści. Na razie zapowiedziała, że nie będzie żadnych kompromisów w sprawie przestrzegania praworządności.

Nie da się wykluczyć takiego scenariusza, zwłaszcza że jeszcze przed jej wyborem w prasie europejskiej pojawiły się opinie-pogróżki, by uważała, bo może zostać wybrana głosami populistów, na przykład z Polski. To był jasny sygnał, że wybór m.in. głosami PiS będzie wyborem, który nie zostanie do końca zaakceptowany i będzie traktowany jako wręcz kompromitujący. Jednak to, jak zachowa się Ursula von der Leyen, będzie zależało także od tego, jak poszczególne rządy, w tym Grupa Wyszehradzka, będą swoją grę prowadzić. Bo na dobrych relacjach z przywódcami państw będzie jej zależało.

Tymczasem Timmermans nie zasypia gruszek w popiele. Poinformował właśnie, że Komisja przechodzi do drugiego etapu procedury związanej

Stare i nowe, czyli remont przy ul. Elżbietańskiej

The Old and the New, that is renovation at Elżbietańska Street

Oblacki kompleks klasztorny przed remontem

Gdańsk to miasto magiczne, pełne znaków, pomników i symboli kultury. W obraz ten świetnie wpisuje się kompleks klasztorny kierowany przez Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej, przy ul. Elżbietańskiej 9. Teraz kultura i tradycja zderzają się tu z nowoczesną funkcjonalnością

Bogata historia naszego kraju zawiera w sobie elementy piękna, rozwoju, architektury i sztuki, a jednocześnie naznaczona jest zdarzeniami dramatycznymi, wojnami, cierpieniem. Gdańsk to miejsce wyjątkowe pod kątem tej mieszkanki. Przyciąga nas tu nie tylko bogata baza zabytków, lecz także sklepy z „duszą”, urocze restauracje i kawiarnie oraz niespotykana nigdzie indziej oferta wydarzeń kulturalnych i duchowych.

Nic więc dziwnego, że jeden z wyjątkowych obiektów Gdańska doczekał się istotnego odświeżenia zarówno w warstwie materialnej, jak i funkcjonalnej. Od 2016 r. trwa remont i konserwacja kompleksu klasztornego pw. św. Józefa w Gdańsku. To знаменне miejsce, pomnik historii, a także pomnik ofiar

niehumanitarnych systemów, po brutalnym podpaleniu kościoła wraz z setką chroniących się tu azylantów przez „wyzwoleńcza” Armię Sowiecką w 1945 r.

Remont wsparty środkami unijnymi z EFRR w ramach PO-IIIŚ 2014-2020 nadał obiektowi na powrót elegancki charakter; a wyposażenie świątyni odrestaurowano. Niewykorzystywany do tej pory budynek dawnego kapitułarza przebudowano, stwarzając w nim przestrzeń do rozwoju życia kulturalnego. – Przy tworzeniu naszego ośrodka przyświeca nam misja łączenia tego, co stare, piękne i tradycyjne, z nowoczesnością, świeżymi pomysłami i kulturalną odpowiedzią na potrzeby społeczeństwa – wyjaśniają inicjatorzy projektu, oblaci z Gdańska, na www.elzbietańska.pl. Otwiera się nowy rozdział historii tego miejsca.

Krzysztof Zieliński

Gdańsk is a mesmerising city, full of signs, monuments and cultural symbols. A monastery complex run by the Missionary Oblates of Mary Immaculate at 9 Elżbietańska Street, where culture and tradition clash with modern functionality, perfectly agrees with this vision of the city.

A rich history of our country contains both elements of beauty, development, architecture and art, as well as dramatic events, wars, suffering. Gdańsk is a truly exceptional place, a silent witness of this melting pot. Not only are we captivated by the lavish number of monuments, but also bewitching shops, charming restaurants and cafes, in addition to impressive offer of cultural and spiritual events not likely to be found anywhere else.

Therefore it is not surprising that one of the outstanding objects of Gdańsk got itself a massive renovation both on the material and functional level. A monastery complex dedicated to saint Joseph has undergone a major refurbishment since 2016. It is a significant place, a Historic Monument, as well as a Monument to the Victims of Inhuman

Systems – after a brutal arson of the church together with a hundred of asylum seekers inside by the ‘liberation’ Soviet Army in 1945.

A renovation supported by the EU funds (ERDF OPIaE 2014-2020) has reinstated the building’s previous elegant character and restored equipment of the church. An old Chapter house, formerly unused, also has been refurbished and now constitutes a space for development of the cultural life. ‘While creating our centre we aim at combining the old, beautiful and traditional with modernity, new ideas and a cultural response for the society’s needs’ explain initiators of this project, the oblates from Gdańsk, at www.elzbietańska.pl. A new chapter in the history of this place begins.

Krzysztof Zieliński

POIS.08.01.00-00-1036/16-00 pn. „Zachowanie i udostępnienie zabytku o wyjątkowej wartości artystycznej - zespołu klasztornego pw. św. Józefa w Gdańsku - poprzez prace konserwatorskie i renowację”



Fundusze Europejskie
Infrastruktura i Środowisko

Unia Europejska
Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego





Podczas wizyty Ursuli von der Leyen w Polsce (25 lipca) premier Mateusz Morawiecki podał nazwisko polskiego kandydata na unijnego komisarza. Jest nim Krzysztof Szczerski, szef gabinetu prezydenta FOT. JERZY DUDEK

Walka o teki



*Dominika Ćosić
z Brukseli*

Jaka będzie Komisja Europejska pod przewodnictwem Ursuli von der Leyen? Na co może liczyć Polska?

Zastanawiając się nad kształtem nowej Komisji Europejskiej i miejscem w niej Polski, trzeba cofnąć się do szczytu w Brukseli na przełomie czerwca i lipca. Podczas kilkudziesięciogodzinnego maratonu kilka razy pojawiały się punkty zwrotne. Pomijając opis tej dramaturgii, najważniejszym pytaniem jest to, czy pojawienie się kandydatury von der Leyen było sprytnym manewrem Niemiec, które po to wcześniej straszyły Fransem Timmermansem, by ugrać swoje. Logicznym wyjaśnieniem wydawałoby się, że Timmermans miał służyć jako straszak będący elementem negocjacji. Za kandydaturę Timmermansa mocno optował jednak Martin Schulz, który zresztą był jednym z autorów mechanizmu Spitzenkandidaten. Zdając sobie sprawę, że osoba Manfreda Webera (kandydat EPP) nie przejdzie z powodu zdecydowanego

sprzeciwu Emanuela Macrona, forsował właśnie Timmermansa. Kanclerz Merkel nie chcąc ryzykować kryzysu w rządzie, przystała na Holendra.

Nie jest jednak prawdą, że pomysł wysunięcia Ursuli von der Leyen na szefową KE narodził się dopiero 1 lipca w Brukseli. Nazwisko niemieckiej minister obrony pojawiało się już kilka tygodni wcześniej jako alternatywa dla Webera. O tym, że von der Leyen nie wywołała entuzjazmu niemieckich socjalistów, świadczy natomiast, że głosowali oni przeciwko niej w Parlamencie Europejskim.

PRÓBA SIŁ

Dlaczego jednak Polska i pozostałe kraje Grupy Wyszehradzkiej nie protestowały przeciwko von der Leyen? Przede wszystkim dlatego, że wcześniej cała czwórka oświadczyła, iż nie zgodzi się na Timmermansa. Zatem po odrzuceniu jego kandydatury V4 po pierwsze – poczuła ulgę, po drugie – nie wypadało jej protestować przeciw kolejnemu kandydatowi. Bardziej zastanawiające jest to, dlaczego Polska i trzy pozostałe kraje zgodziły się na zaburzenie równowagi geopolitycznej. Przecież wśród pięciu najważniejszych osób w nowym rozdaniu nie ma nikogo z naszej części

Europy lub też z krajów, które weszły do UE po 2004 r. Już po szczycie mówił się, że ceną tej zgody ma być stanowisko wiceprzewodniczącego KE dla przedstawiciela jednego z krajów V4.

Po raz pierwszy kobieta została wybrana na szefową KE i po raz pierwszy od lat szefostwo Komisji przypadło politykowi z Niemiec. W historii KE był tylko jeden Niemiec, jej pierwszy przewodniczący. Co ciekawe, jego współpracownikiem był ojciec Ursuli von der Leyen, która wychowała się w Brukseli. Znajomości meandrów unijnych nie dziedziczy się jednak w genach i wielu komentatorów wypomina następczyni Junckera niewielkie doświadczenie na forum unijnym. Jest to widoczne zwłaszcza w zestawieniu z samym Junckerem, przez kilkanaście lat premierem Luksemburga, przez lata przewodniczącym strefy euro i politykiem doskonale znającym mechanizmy unijne. Politykiem zwanym przez lata ostatnim Mohikaninem integracji europejskiej, mającym sprecyzowane poglądy na przyszłość UE.

Tego niestety nie można powiedzieć o jego następczyni, co pokazały choćby debaty z europosłami. Po spotkaniach, które w ramach zdobywania głosów Ursula von der Leyen odbywała z frakcjami politycznymi, mówiono, że każdej grupie mówiła

i obiecywała co innego. Cóż, kampania, bo tym de facto był cykl spotkań, rządzi się swoimi prawami. Trudno zatem powiedzieć teraz, jaki faktycznie kurs będzie chciała obrać nowa przewodnicząca. Wiele zależeć będzie od tego, kim będą komisarze i jaką strukturę będzie miała nowa KE.

Jednak zależy to także ponownie od Parlamentu Europejskiego. Zgodnie z zasadami każdy z krajów członkowskich ma zaproponować swojego kandydata na komisarza oraz portfolio, które miałyby mu przyspaść. Najpierw szef Komisji będzie się musiał zgodzić na poszczególne nazwiska i teki, a następnie w PE odbędą się wysłuchania chętnych i głosowanie. A historia pokazuje, że przegłosowanie kandydata na komisarza nie jest czystą formalnością.

W przypadku ekipy Ursuli von der Leyen europosłowie będą chcieli pokazać swoją pozycję i siłę. Fakt, że niemiecka polityk została wybrana na stanowisko tylko dziewięcioma głosami przewagi, pokazuje, że PE nie będzie jej sprzymierzeńcem. Przeciwno niej byli Zieloni, mimo że na finiszu próbowała ich zachęcić proekologiczną agendą. Podobnie jak część socjalistów, z niemieckimi posłami na czele. Po prawej stronie również nie zyskała poparcia, poza ludźmi z partii Brexit Nigela Farage'a, przeciw niej głosowała także większość nowej frakcji Tożsamość i Demokracja, której rdzeniem są Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen i Liga Matteo Salvini. Ten ostatni pomimo oficjalnych zaprzeczeń prowadził negocjacje z von der Leyen. Nie chcąc zrazić do siebie lewej strony, Niemka nie spotkała się oficjalnie z frakcją eurosceptyczną. Rozmowy były jednak prowadzone według schematu: poparcie w głosowaniu w zamian za dobrą tekę dla Włoch. Jako że skończyły się najprawdopodobniej fiaskiem, Liga zapewne zagłosowała przeciw niej. Pisze „zapewne”, bo głosowanie było tajne.

KOBIETY POSZUKIWANE

Jaka będzie nowa komisja? Von der Leyen oświadczyła, że chce, by połowę składu jej ekipy stanowiły kobiety. Giełda nazwisk powoli rusza. Francja chce na przykład funkcję komisarza ds. konkurencji lub środowiska – nazwiska kandydata na nie jeszcze nie podaje, choć są spekulacje, że może będzie to negocjatorka i współorganizatorka szczytu klimatycznego w Paryżu. Hiszpania chciała mieć ważną tekę gospodarczą, ale kiedy podczas szczytu na szefa unijnej dyplomacji został wybrany

Josep Borrell, do niedawna minister spraw zagranicznych Hiszpanii, a przedtem szef PE, te marzenia zostały przekreślone. Portugalia jest zainteresowana polityką regionalną. Nie wiadomo jeszcze, czym zainteresowana będzie Grecja, ale wiadomo, kto będzie kandydatem na komisarza – to obecny rzecznik prasowy KE, Margaritis Schinas (w przeszłości dziennikarz, a potem europoseł). Kandydatem Łotwy będzie ponownie Valdis Dombrovskis, a Słowacji – Maroš Šefčovič. Węgry proponują byłego ministra sprawiedliwości.

Pierwszym wiceprzewodniczącym prawdopodobnie znowu będzie Frans Timmermans, który dostanie tę funkcję na otarcie łez pomimo tego, że jego partia jest w Holandii w opozycji. Pytanie, czy Timmermans ponownie będzie się zajmować praworządnością. Bardzo rzadko się zdarza, by komisarz miał ponownie to samo portfolio, ale nie takie rzeczy się już w Brukseli zdarzały. Wiceprzewodniczącą będzie także Spitzkandidatin liberałów, obecna duńska komisarz, Margot Vestager.

A co z Polską? Mówi się, że ceną za poparcie dla von der Leyen było istotne stanowisko w nowej Komisji Europejskiej. Jeszcze przed szczytem ważny niemiecki polityk mówił mi, że Polska jako duży kraj o dobrych prognozach ekonomicznych i dynamicznie rozwijającej się gospodarce powinna mieć ważne portfolio gospodarcze i dotychczasowy kolizyjny kurs z KE nie stoi na przeszkodzie. Zresztą do tej pory Polska miała ważne teki: politykę regionalną (Danuta Hübner), budżet (Janusz Lewandowski) i rynek wewnętrzny (Elżbieta Bieńkowska).

Jak będzie teraz? Z moich rozmów wynika, że brane pod uwagę są m.in. nauka i badania, energia oraz rolnictwo. Ta pierwsza teka to oczywiście przyszłość Unii, rozwój. Rolnictwo – zwłaszcza teraz, gdy negocjowana będzie Wspólna Polityka Rolna w ramach wieloletnich ram finansowych – jest dla Polski bardzo ważnym obszarem. Co do energii, to po poprzednim unijnym szczycie, kiedy to Polska sprzeciwiała się zbyt ambitnej polityce klimatycznej, wydawało się, że szanse na energię osłabły, nie zostały jednak pogrzebane. Mój rozmówca twierdzi, że polski komisarz mógłby liczyć jednocześnie na stanowisko wiceprzewodniczącego KE. To się potwierdzi w ciągu najbliższych tygodni.

POLSKI KOMISARZ

A kto nim będzie? Przez kilka miesięcy wymieniane były te same nazwiska:

Konrad Szymański, Krzysztof Szczerski, Jerzy Kwieciński, Jadwiga Emilewicz, Adam Bielan, mówiło się także o Tomaszu Porębie. Wszyscy są w kręgach unijnych kojarzeni. Mocną kandydatką była Anna Fotyga. – Jest bardzo dobra merytorycznie, cieszy się dobrą opinią, ale przede wszystkim w jej przypadku mamy pewność, że dla niej najważniejszy będzie interes Polski, a nie sympatia innych komisarzy – mówi mi jeden z ważnych polityków PiS. To prawda, bo Fotyga jako szefowa podkomisji ds. obrony i bezpieczeństwa była naprawdę bardzo dobrze oceniana w PE, co oznacza, że europosłowie powinni zaakceptować jej kandydaturę. Problem w tym, że sama niespecjalnie chciała startować na to stanowisko.

Podczas wizyty Ursuli von der Leyen w Polsce premier Mateusz Morawiecki podał nazwisko polskiego kandydata na komisarza. Jest nim szef gabinetu prezydenta Krzysztof Szczerski. – Nasza propozycja została wypracowana w dialogu z prezydentem Andrzejem Dudą – powiedział premier Mateusz Morawiecki po spotkaniu z szefową KE.

Teoretycznie komisarz powinien być neutralny i nie powinien faworyzować swojego kraju, zwłaszcza w dziedzinie, którą się zajmuje. Praktyka pokazuje jednak, że większość komisarzy, przede wszystkim z tzw. starej Europy, doskonale pamięta, skąd pochodzi. Tym bardziej że decyzje w KE są podejmowane kolegią, zatem komisarze decydują nie tylko w kwestiach, które im oficjalnie przypadają. Wszyscy komisarze musieli np. wyrazić zgodę na uruchomienie art. 7 wobec Polski, nie tylko Frans Timmermans. Równie istotne jak teka, o ile nie istotniejsze, jest więc to, by komisarz był nie tylko dobrze przygotowany merytorycznie i znał języki, lecz także by potrafił umiejętnie walczyć o interes Polski, zawiązując sojusze z innymi komisarzami i pamiętając, że jest przedstawicielem Polski. Ważne jest także to, kim otoczy się w KE komisarz, czy będzie to zespół merytorycznych ekspertów.

Biorąc pod uwagę polityczną atmosferę w Parlamencie Europejskim, można się spodziewać, że wysłuchanie, zwłaszcza kandydatów z Polski, Węgier czy Włoch, będzie dla nich bardzo trudne i przypominać może polityczną krucjatę przeciw tym krajom.



Święto „pięciu króli”



Piotr Semka

Grzegorz Schetyna abdykował z roli przywódcy opozycji. Teraz królów jest pięciu

Oprócz Schetyny są Władysław Kosiński-Kamysz z PSL i „trzech króli” lewicy – Włodzimierz Czarzasty z SLD, Robert Biedroń z Wiosny i wreszcie Adrian Zandberg z Lewicy Razem. Najbliższe dwa i pół miesiąca kampanii będą ich świętem, nadzieją i niekiedy walką o polityczne przetrwanie.

Jak przeprowadzą kampanię?

KRÓLEWSKIE STRATEGIE

Zacznijmy od lewicowej trójki – Włodzimierza Czarzastego, Roberta Biedronia i Adriana Zandberga. Od tygodnia prezentują się razem, tak jakby się lubili i działali wspólnie od lat. Właśnie starają się wykorzystać incydenty w Białymstoku do spolaryzowania sceny politycznej na swoich warunkach. Adrian Zandberg natychmiast podjął styl szantażu moralnego: „Gdy w życiu publicznym pojawia się przemoc, są tylko dwie strony i można albo stanąć po stronie tych, którzy biją, albo stanąć w obronie tych, którzy są bici”.

Jak takie hasła mają służyć bezpośredniej polityce, pokazał Michał Sutowski z „Krytyki Politycznej”, który wyraził nadzieję, że zajęcia z Białegostoku to „może być początek mentalnego przełomu, który otworzy oczy obojętnym dotychczas frakcjom opinii publicznej, traktujące

ludzkie prawa dla mniejszości jako »cudze problemy«”.

Robert Biedroń był wśród pierwszych polityków, którzy moralnym sprawcą zajęli ogłosili Kościół katolicki. Koalicja lewicy zapowiedziała już całą serię wieców „Stop nienawiści”, które mają się odbyć w wielu miastach Polski. Lewicowi trzej królowie zjechali do Białegostoku już nazajutrz po zajściach, by zapowiedzieć na sobotę 27 lipca marsz przeciwko przemocy (później zdecydowano się na organizację wiecu w niedzielę). Widać więc, że nowo powstająca koalicja postanowiła całą sprawę wykorzystać do wypromowania swojego nowego brandu. Jednocześnie można już zauważyć, że agresywny antyklerykalizm będzie znakiem firmowym nowej formacji. Organizatorzy parad równości już zapowiadają kolejne imprezy w miastach Polski. Nietrudno przewidzieć, że lewica będzie się starała wykorzystać zarówno te pochody, jak i ewentualne zajęcia z kibicami jako wehikuł propagandowy. Kolejnym postulatem lewicy będzie aborcja na żądanie. Czarzasty, Biedroń i Zandberg wiedzą, że Koalicja Obywatelska nie posuwa się tak daleko i łatwo im będzie przedstawiać się jako ugrupowanie, które ma odwagę przeciwstawić się Kościołowi. Na całość idzie lider SLD. Na łamach „Faktu” głosi: „Najpierw przyzwyczajmy ludzi, że związki partnerskie to nie jest samo zło, że nie niszczą tkanki społecznej i polskiej rodziny. Potem łatwiej będzie o kolejne kroki, o równość małżeńską z adopcją”.

To skupienie się na hasłach obywatelskich wynikać będzie także z tego, że w dziedzinie polityki socjalnej trudno lewicy przebić PiS. Na dodatek kandydaci lewicy są raczej mało znani, więc lansowa-

na będzie bardziej marka niż nazwiska.

Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że trzej królowie lewicy spychają na dalszy plan brak najważniejszego ustalenia. Czy cała formacja wystartuje w ramach listy SLD czy też utworzy koalicję wyborczą? W tym ostatnim wypadku trzeba będzie przekroczyć próg 8 proc., co jest możliwe, ale jednak stwarza pewne ryzyko. Można też się zastanawiać, w jakim stopniu trzej tak różni liderzy będą w stanie uzgodnić rozkład miejsc na listach.

Są już pierwsze konflikty o personalia. Niekiedy bywają paradoksalne. Jak twierdzi „Fakt”, Wiosna Biedronia sprzeciwiać się ma staraniom SLD o miejsce na liście w Warszawie dla Moniki Jaruzelskiej. Powód? Według ludzi Biedronia córka generała „prezentuje poglądy PiS”.

I wreszcie ostatnia niewiadoma. Włodzimierz Czarzasty wciąż unika odpowiedzi, czy Robert Biedroń wejdzie na listy i zrzeknie się brukselskiego mandatu. Można przypuszczać, że lider Wiosny stanowić będzie dla koalicji lewicy największe obciążenie. Zandberg z kolei może okazać się dogmatyczny przy układaniu programu lewicy.

Przewodniczący PO to jedyny monarcha w tym gronie, który nie musi drzeć o przekroczenie progu wyborczego. Schetyna to wręcz podręcznikowy przykład czystego technologa sprawowania władzy. Wiele wskazuje, że niezależnie od nastroju dołów PSL to on podjął decyzję o odepchnięciu ludowców z koalicji. A już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego decyzją Włodzimierz Czarzasty został wygnany z koalicyjnego raju. Schetyna uznał, że nie ma szans na wygraną w październiku. A w związku z tym podjął decyzję, że woli

klub, w którym wszystkie jedynki będą do dyspozycji jego partii, słabutkiej Nowocześniejszej i być może paru samorządowców.

Piotr Zaremba na łamach „Plusa Minusa” dziwił się niedawno, że Schetyna tak bezrefleksyjnie złożył obietnicę podtrzymania socjalnych podarunków PiS. Jednak lider Platformy mógł po prostu przyjąć rady polittechnologa Jakuba Bierzyńskiego, który radzi opozycji pogodzić się z blisko terminową porażką, poczekać na moment, gdy PiS załamie się pod ciężarem świadczeń, i wtedy dopiero sięgnąć po władzę. Jeśli przyjmujemy, że wrocławski polityk przyjął taką „przetrawnikową” taktykę, to nie dziwi dosyć pośpiesznie sprokurowana szóstka Schetyny. Sama PO nie traktuje tego planu zbyt serio, bo właśnie kolanem wcisnięto do niej postulat bezpieczeństwa, który faktycznie czyni z szóstki siódmkę.

Nie widać też żadnej ideowej konsekwencji. Schetyna zapowiadał, że partia w tej kampanii ma iść centralnym, umiarkowanym kursem. Wystarczyły jednak awantury w Białymstoku, by jeden z ideologów PO, Bartłomiej Sienkiewicz, obciążył Kościół moralną winą za zajścia, a Barbara Nowacka weszła w agresywnie antyklerykalny ton.

Coraz bardziej błady staje się projekt wprowadzania na listy samorządowców. Już miesiąc temu Rafał Dutkiewicz, były prezydent Wrocławia, ogłosił, że nie startuje z list PO. Teraz kandydowanie wykluczył prezydent Sosnowca Arkadiusz Chęciński. Im bliżej będzie zamknięcia list, tym takich deklaracji prezydentów miast może być więcej. Faktycznym problemem Schetyny jest stan kadr partii. W ciągu ostatnich trzech lat ciągłej nerwowej mobilizacji przeciwko PiS partia podzieliła się na wielkiego Schetynę, mocno trzymającego lejce władzy, i grupę młodych zagończyków, którzy realizowali się w kolejnych demonstracjach antypisowskich. Schetyna na to pozwalał, wołając, by Bartosz Arłukowicz, Sławomir Nitras czy Cezary Tomczyk spalali się w wygrażaniu Kaczyńskiemu niż w walce o wysadzenie go z siodła. Z kolei nieco starsze pokolenie pamiętające jeszcze Donalda Tuska – Andrzej Halicki, Radosław Sikorski czy Janusz Lewandowski – zostało przez Schetynę wypchnięte do Brukseli.

Podobno złośliwy przydomek – Tęczowy Władek – mocno dopiekl Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszu, ostatniemu królowi w naszej talii. To dlatego z taką mocą i tyle razy podkreśla, że PSL idzie własną drogą i jest jak najdalej od

przechyłu w lewo. Tyle że to dla PSL nowa sytuacja. Złośliwi wskazują, że gdyby nie porażka w maju, nikt by sobie w obozie zielonej koniczynki nie zawracał głowy wycieraniem tęczy barw z logo partii. W obecnej kampanii ludowcy rozpaczliwie szukają jakichś wyrazistych cech tożsamości, które odróżniałyby ich od rywali.

Oto w jednym z niedawnych wywiadów Piotr Zgorzelski, jeden z czołowych ludowców, ogłasza: „Sukmana chłopska nie jest skrojona ani na miarę Schetyny, ani Kaczyńskiego, bo oni gloryfikują rządy sanacji”. Można się zastanowić, kogo mają ująć te słowa. Przecież ani Platforma, ani PiS nie czynią z kultu Piłsudskiego jakiegoś podstawowego elementu tożsamości. Ponadto kogo ma oburzać „gloryfikacja rządów sanacji”? Przecież pamięć o brutalnej pacyfikacji chłopskich protestów przed wojną jest wśród Polaków znikoma.

Kolejny pomysł na nowy wizerunek PSL to image zdroworozsądkowej trzeciej siły. Jak głosi Władysław Kosiniak-Kamysz, radykałów z prawicy nie zatrzymają radykałowie z lewicy. Posłanka Urszula Pasławska mówi z kolei: „Na naszych sztandarach nie ma i nie będzie żadnych propozycji światopoglądowych. My jesteśmy umiarkowani, a Polacy chcą normalności”.

Brzmi pozornie atrakcyjnie, ale w wypadkach konkretnych sporów światopoglądowych skazuje ludowców na rolę milczącego świadka. Przykładem takiej sytuacji była wizyta Władysława Kosiniaka-Kamysza w studiu TVN. Gdy z emfazą ogłosił, że nie spodobało mu się umieszczenie postulatu związków partnerskich w programie Koalicji Europejskiej, prowadząca rozmowę natychmiast zaczęła przypierać gościa do muru, czy w ogóle jest przeciwko związkom partnerskim. Lider ludowców wyl się w bardzo nieczytelny sposób. Parę dni potem rzecznik PSL Jakub Stefaniak wyskoczył z opinią: „Ja bym głosował za związkami partnerskimi”. Czym w takim razie PSL różni się od KO?

Niewiele też wzmocni ludowców grupa konserwatywnych uciekinierów z PO czy bardzo osłabiony Kukiz'15. Bezpartyjni samorządowcy już ogłosili, że nie wejdą z PSL w sojusz.

NIKT NIC NIE WIE

Nad tą kampanią wisi jakieś przekleństwo braku wiedzy wszystkich uczestników gry, co tym razem może pomóc, a co zaszkodzić. W wyborach samorządowych niespodziewanie wielkie

miasta zmobilizowały się przeciwko PiS. W eurowyborach dla odmiany też dość niespodziewanie zmobilizowała się wieś. Kto zmobilizuje się w październiku?

Jeden proces jest już widoczny. Coraz ostrzejsza jest wymiana strzałów między lewicą a koalicją obywatelską. Czarzasty mści się za podanie mu czarnej polewki. Biedroń nigdy za Schetyną nie przepadał, a Zandberg nie cierpi platformersów z przyczyn ideowych. Z kolei Platforma nie może być neutralna wobec lewicy, bo to z jej elektoratu trójka lewicowych królów będzie wyłuskiwała swoich wyborców. Czy w tej sytuacji może dziwić, że nikt nie wspomina już o wspólnej liście do Senatu?

Gdy doszło do zajść w Białymstoku, Grzegorz Schetyna zagrzmiał, że: „Ta przemoc to efekt trwającej od czterech lat propagandy nienawiści, pobłażania przemocy”. Ten show szybko zepsuła rzeczniczka SLD Anna Maria Żukowska, kaśliwie przypominając: „Ta przemoc była obecna także za rządów Platformy i wcześniej. Przemoc nie zrodziła się wraz z rządami PiS. Roberta Biedronia pobito w 2010 r. w Warszawie”.

Jeszcze zabawniej było parę dni potem, gdy prezydent Białegostoku z ramienia PO Tadeusz Truskolaski zablokował Marsz przeciwko Nienawiści, nie chcąc ułatwiać lewicy wejścia na rolę jedynego obrońcy LGBT. Cała sprawa pokazuje, że platformersi nie wahają się używać swej władzy administracyjnej, aby podcinać nogi konkurencji z lewicy.

Jednak białostockie wydarzenia muszą niepokoić także PiS. Każda przemoc na ulicach będzie skutkiem akcji opozycji iść na konto rządzącej partii. Wystarczy jeden ostry incydent, by liberalne media mainstreamu mogły rozpętać moralną panikę. Już teraz byliśmy świadkami starć pomiędzy ekologami protestującymi przeciwko eksploatacji węgla a policją. Marzeniem lewicy jest wciągnięcie w te konflikty na masową skalę młodzieży i rozhuśtanie nastrojów w czasie kampanii.

Jeśli lewica wraz z ruchami LGBT będzie szukała okazji do zderzeń – to wybory się spolaryzują, ale nie na dotychczasowych zasadach. Wytworzyć się może oś sporu SLD, Wiosna, Razem przeciw PiS. Najbardziej tracą na tym Platforma i PSL.

Każdego najbardziej wytrąca z równowagi to, czego nie sposób wcześniej przewidzieć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, ANNA ABAKO/EAST NEWS, JAN BIELECKI/EAST NEWS, MAREK KUWAK/REPORTER



Łukasz Warzecha

Entuzjaści autonomicznego transportu uparcie ignorują problemy, które z niego wynikają. Nie tylko prawne, lecz także etyczne. Powinni poczytać Stanisława Lema

W fenomenalnym opowiadaniu o pilocie Pirxie pt. „Rozprawa” bohater kilku Lemowych książek dostaje ofertę dowodzenia statkiem „Goliat”, który ma odbyć rejs na trasie Ziemia – pierścienie Saturna – Ziemia. W pobliżu Saturna mają zostać umieszczone sztuczne satelity. Pirx dowiaduje się, że jego ukrytym zadaniem ma być wystawienie opinii o załodze. Będzie to bowiem załoga nowego rodzaju – w jej składzie znajdują się tzw. nieliniowcy, czyli sztuczni ludzie, w zamierzeniu doskonalsi i odporniejsi niż homo sapiens. Jeśli przejdą test pomyślnie, to prawdopodobnie zaczną zastępować ludzi na pokładach statków kosmicznych.

Haczyk w tym, że Pirx nie wie, kto z jego sześciuosobowej załogi jest „nieliniowcem”. Podczas rejsu próbuje tego dociec, co nie jest łatwe. Jeden z niełudek sam wyjawia mu swoją naturę. Kolejny ujawnia się w okolicznościach skrajnie dramatycznych: jako drugi pilot, w momencie trudnego i połączonego z nagłymi problemami przelotu przez Szczelinę Cassiniego, próbuje podjąć manewr, który musiałby zabić wszystkich obecnych na pokładzie ludzi. „Nieliniowiec” Calder, gdyby zrealizował swój plan, powróciłby na Ziemię i dowiódł swojej przydatności. Kosztem ludzi.

Fantastyka? Coraz mniej. Jeśli uznać, że Calder był kimś w rodzaju automatycznego, inteligentnego pilota, podejmującego samodzielne decyzje, to przecież nad czymś takim – oczywiście nie w humanoidalnej formie – pracują od paru lat bardzo intensywnie koncerny samochodowe. W różnych formach, mniej lub bardziej całościowych, tego typu systemy są już instalowane. Najbardziej znanym producentem samochodów, wyposażonych w stosunkowo zaawansowany system samodzielnego sterowania, jest Tesla. Firma, która przez wielu uznawana jest bardziej za twór zgrabnego PR Elona Muska niż wydolne



rynkowo przedsiębiorstwo, a którą jej właściciel skutecznie wywindował do statusu ikony transportowej nowoczesności.

ZAUFĄĆ TECHNOLOGII?

Faktycznie, samochody Tesli w określonych warunkach są w stanie prowadzić się same w trybie autopilota. Polegają przy tym na licznych czujnikach i nawigacji satelitarnej. W sieci można znaleźć dziesiątki filmów, na których zrelaksowani kierowcy tesli siedzą w fotelu z założonymi rękoma, a samochód bez ich udziału pokonuje kolejne kilometry.

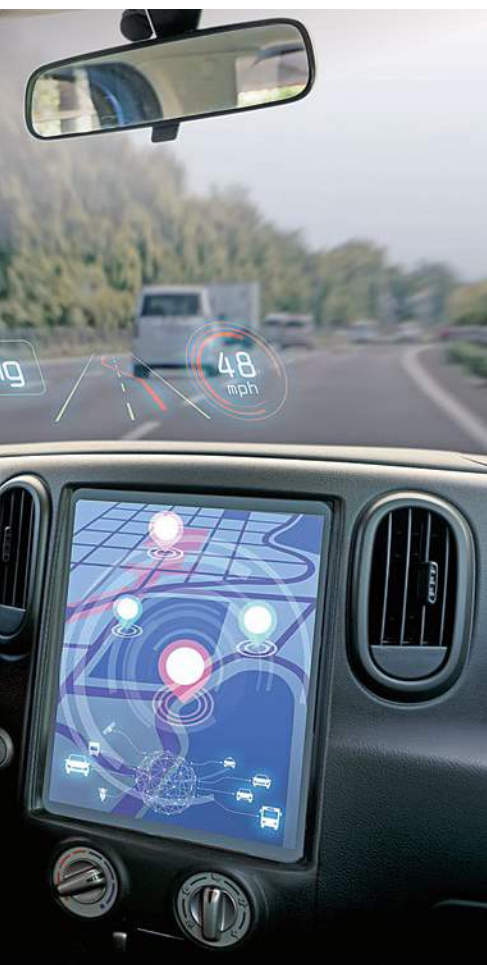
Tesle w trybie autopilota miały już jednak wypadki. Także ze skutkiem śmiertelnym. Pierwszy wypadek tesli na autopilocie – i prawdopodobnie w ogóle pierwszy wypadek ze skutkiem śmiertelnym w samosterującym się samochodzie – miał miejsce na Florydzie w 2016 r. 40-latek jechał teslą S drogą stanową numer 27, gdy jadąc z naprzeciwka ciężarówka zaczęła skręcać w lewo, przecinając jego pas ruchu. Tesla nie rozpoczęła hamowania. Wjechała z pełną prędkością pod naczepę, po czym toczyła się dalej, uderzając w słup energetyczny i ogrodzenie. Kierowca zginął na

miejsku. Dochodzenie wykazało, że system autopilota, nie odróżnił białej naczepy, przemieszczającej się w poprzek toru ruchu tesli, od tła jasnego nieba.

Można było mieć poczucie déjà vu, gdy bardzo podobny wypadek zdarzył się w tym roku, również na Florydzie. 50-letni tym razem kierowca włączył autopilota 10 sekund przed zderzeniem. Jego pojazd z prędkością 110 km/godz. wbił się pod naczepę ciężarówka – w sytuacji niemal identycznej do tej sprzed trzech lat. Śledztwo, podobnie jak w innych tego typu wypadkach, prowadziła Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu (NTSB). Po ogłoszeniu wstępnych ustaleń akcje firmy Muska spadły o ponad cztery punkty. Kolejny raz głośno pytano o przydatność systemu autopilota Tesli.

Tutaj dochodzimy do sedna problemu: wężła fałszywych nadziei na złudne „stuprocentowe bezpieczeństwo”, możliwości technologicznych, odpowiedzialności za wypadki i relacji między coraz bardziej samodzielną technologią a człowiekiem, o czym pisał Lem.

Wbrew kuszącej handlowej nazwie autopilot Tesli nie jest w instrukcji pojazdu



FOT. ADRIAN STOK

Po polskich drogach jeździ już sporo aut wyposażonych w systemy teoretycznie mające zwiększyć bezpieczeństwo. Znamy, którego samochód japońskiej marki wyposażony jest w system samoczynnego hamowania przed przeszkodą, opowiada, że jechał dość wolno wąską, podmiejską, krętą ulicą. Z naprzeciwka, na zakręcie, nadjeżdżał inny pojazd. System, pracujący w oparciu o kamery, uznał z niewiadomych powodów, że ten pojazd jedzie na czołowe zderzenie, i wdrożył awaryjne hamowanie. Samochód mojego znajomego stanął niemal w miejscu. Szczęśliwie nic nie jechało za nim, bo z całą pewnością doszłoby do wypadku. Jednocześnie znajomy przyznaje, że ten sam system już kilkakrotnie uratował go przed stłuczką.

Podobne systemy mają być w Europie obowiązkowe od 2022 r. Trudno sobie wyobrazić, żeby do tego czasu zostały doprowadzone do perfekcji. W dodatku jasne jest, że koszt tej operacji producenci aut przerzuca na klientów, żeby jednak nie odstraszyć ich nagłym drastycznym wzrostem cen, będą się starali spełnić wymagania jak najmniejszym kosztem, czyli instalując systemy jak najprostsze, a zatem i najbardziej zawodne. Rychło może się okazać, że to, co miało ratować życie, będzie mieć odwrotne skutki.

Technologiczni sceptycy przedstawiają taki oto klasyczny dylemat. Samochodem jedzie kierowca z rodziną. Jadący z naprzeciwka samochód zjeżdża na jego pas. Kierowca ma wybór: albo jechać na czołowe zderzenie, albo ominąć drugi pojazd, zjeżdżając na pobocze, którym idzie kobieta z dziećmi, albo zjechać na drugie pobocze i uderzyć w drzewo. W pierwszym przypadku zabije zapewne siebie, rodzinę i kierowcę drugiego auta. W drugim – uratuje siebie, rodzinę i kierowcę w drugim samochodzie, ale zabije kobietę z dziećmi. W trzecim zapewne zginą on i jego rodzina, inni przeżyją. Na decyzję ma ułamki sekund, ale jakakolwiek ona będzie, obciąży jego sumienie i on za nią ewentualnie odpowie. Jeśli przeżyje. Jednak co zrobi system automatycznego kierowania? Czy naprawdę chcemy, żeby w takiej sytuacji o naszej lub czyjejś śmierci decydował komputer zaprogramowany przez jakiegoś anonima? A jeżeli potem się okaże, że człowiek dostrzegłby możliwość ratunku tam, gdzie komputer jej nie widział? A jeśli ten drugi samochód również poruszał się jako pojazd autonomiczny i z powodu błędu komputer skierował go na lewy pas drogi? Dodajmy do tego zaawansowaną

sztuczną inteligencję, czyli systemy, które się „uczą”, a więc nie programuje się w nich każdej sytuacji, a jedynie pewne ogólne reguły – i dostajemy skalę niepewności oraz etycznych wątpliwości. W razie błędu takiego systemu faktycznie trudno przypisać odpowiedzialność komukolwiek – nawet autorowi kodu.

„WIZJA ZERO”

Można powiedzieć, że to wszystko pytania czysto teoretyczne. Jednak życie bywa zaskakująco skomplikowane i bogate. Nie można uznać po prostu, że to nieistotne wątpliwości. Czy pogodzimy się z tym, że za błędy komputerów w autonomicznych pojazdach nikt nie odpowiada? Że linijka kodu, napisana nie wiadomo przez kogo, może zdecydować, że zginą nasi bliscy? Jak wyznaczyć granicę między tym, co tylko pomaga, ale nie zastępuje człowieka, a tym, co może przejąć inicjatywę, tak jak drugi pilot Calder w „Rozprawie” Lema?

Za fascynacją autonomicznym transportem stoi groźne w istocie marzenie o całkowitym bezpieczeństwie, o tzw. wizji zero, gdy w wypadkach drogowych nikt nie będzie ginął. Z jakichś powodów zwolennicy tego podejścia nie wyciągają wniosków z historii lotnictwa. Stosowane tam systemy są nieskończenie bardziej rozbudowane i zaawansowane niż te, które mają mieć zastosowanie w samochodach, a przecież nie wyeliminowały katastrof. Ba, wciąż zdarzają się takie, których przyczyną są te właśnie mechanizmy, by wspomnieć tylko katastrofy boeingów 737 MAX, spowodowane najprawdopodobniej nieprawidłowym działaniem systemu, mającego zapobiegać przeciągnięciu. To, co miało ratować, zmieniło się w śmiertelną pułapkę.

Złudzenie, że można całkowicie wyeliminować wypadki – nie tylko w ruchu drogowym – za pomocą czujników i algorytmów, jest groźne w dwojaki sposób. Po pierwsze, bo uzależnia od technologii, zarazem rozmywając odpowiedzialność. Tymczasem odpowiedzialność za swoje czyny jest jednym z podstawowych mechanizmów funkcjonowania społeczeństwa. Po drugie – oduczy ludzi mierzenia się z ryzykiem. To jak w przypadku dzieci nadopiekuńczych rodziców, którzy na etapie nauki chodzenia zakładają im specjalne kaski: gdy się okaże, że ryzyko trzeba jednak podjąć, ludzie nie będą do tego zdolni.

Zwolennicy technologicznego szaleństwa i uszczęśliwiania ludzkości powinni zdecydowanie sięgnąć po Lema.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

prezentowany jako system autonomicznego kierowania samochodem, ale jedynie jako zaawansowany system wspomagający, wymagający nieustannej uwagi kierowcy. I to rodzi pytanie o możliwości podobnych systemów oraz ich awaryjność w sytuacji, gdy mają się one niedługo stać obowiązkowym wyposażeniem nowych samochodów sprzedawanych w Europie. Systemy te mają między innymi wspomagać hamowanie przed przeszkodą, rozpoznawać ją, a także – co budzi największe kontrowersje i sprzeciw – uniemożliwiać kierowcy jazdę z prędkością wyższą niż dozwolona przez czas dłuższy niż kilkanaście sekund.

FANTAZJA A REALIA

Już dziś niektóre marki instalują podobne systemy w swoich samochodach, ale ich działanie nie budzi zaufania. Na przykład system rozpoznawania znaków drogowych działa kiepsko w warunkach słabej widoczności. Z kolei wskazania GPS mogą być w tej kwestii mało dokładne albo nie obejmować tymczasowych ograniczeń czy zmian w układzie dróg. Może się okazać, że w kluczowym momencie system odetnie nam gaz i przyczyni się do wypadku.



Agnieszka Niewińska

Akiko Miwa od Tokio i Nagano wolała Harklową koło Nowego Targu. Odkąd sprowadziła się tu 30 lat temu, nikogo już nie dziwią grupy turystów z Kraju Kwitnącej Wiśni przemierzające Gorce

– Na początku nie miałam planu, żeby prowadzić pensjonat, ale potem pomyślałam, że trzeba z czegoś żyć – wspomina Akiko Miwa. FOT. PIOTR GUZIK/FORUM



Podhale po japońsku

Wysiadając z autobusu w Harklowej, trzeba zadrzeć głowę. Za szeregiem domów i szumiącym Dunajcem jest wzniesienie. Spośród porastających je drzew wyłania się Villa Akiko, dom i pensjonat Akiko Miwy, Japonki, która na Podhale sprowadziła się 30 lat temu, w 1989 r. Podczas spaceru w Gorcach wyszła na polanę, która zdobyła jej serce. Odszukała właściciela i ją kupiła.

Aby dojść do domu Akiko, trzeba maszerować z dołu 40 minut – kamienistą drogą, której trzy dekady temu jeszcze nie było. – Kiedy kupowałam polanę, nie zastanawiałam się nad tym, że nie ma do niej dojazdu. Myślałam o tym, że chcę tu zamieszkać – śmieje się dziś Akiko. Drogę żłobiła w żłobie, utwardzała za pomocą kamieni. – Tu były lawiny błota – wspomina, kiedy terenowe auto, którym wyjechała

mi na spotkanie z córką Nobu i wnuczkami Alicją i Michaliną, mozolnie wspina się pod górę.

Rzut oka z tarasu Akiko daje odpowiedź na pytanie, co ją w tym miejscu tak urzekło. Na wprost jest widok na słowackie Tatry. Nieco po lewej na Jezioro Czorszyńskie i Pieniny.

Na swojej polanie żyje blisko natury. Tak blisko, że najcenniejsze rośliny, których nasiona sprowadza z Japonii, musi chronić przed jeleniami, które na jej grządkach urządzają sobie uczty. Kiedyś miała kury, ale te z kolei znalazły się w zainteresowaniu kun, lisów i jastrzębi.

WODOROSTY I PAPROĆ Z LASU

Wolny czas najchętniej spędza z książką na tarasie. Woli żyć wolniej. Nie tęskni za gwarem miasta. Ten już zna. W Japonii

mieszkała w Tokio i okolicach Nagano. Z zawodu jest nauczycielką. – Chciałam coś w życiu zmienić, uczyć się czegoś nowego, szukałam nowego miejsca i tak dotarłam do Polski. W Japonii społeczeństwo jest bardzo hierarchiczne, życie płynie utartym torem. Kiedy, mając 45 lat, zastanawiałam się nad swoją przyszłością, myślałam o tym, że czeka mnie nuda – opowiada.

O jej przyjeździe do Polski można powiedzieć wszystko, ale z pewnością nie to, że się nudziła. Pierwsze lekcje polskiego pobierała na miesięcznym kursie w Warszawie. Na wspomnienie tego, jak trudna jest nauka naszego języka, aż łapie się za głowę. Przez kolejny rok uczyła się w Krakowie. Tam pokochała polską kuchnię. – Najpierw zjadałam się fasolką po bretońsku, potem krupnikiem, żurkiem – wylicza.

Z budową na swojej polanie ruszyła, choć nie miała doświadczenia w takich inwestycjach. Najęła ekipę góralską, którzy postawili willę w stylu góralskim. – Projekt zamówiłam u architekta, który mówił po japońsku. Na początku nie miałam planu, żeby prowadzić pensjonat, ale potem pomyślałam, że trzeba z czegoś żyć – wspomina.

W czasie, kiedy powstawała góralska willa, do Akiko dołączyła dwójka z trójki jej nastoletnich dzieci – syn Ryo i córka Nobu. – Kiedy przyjechałam, budowa trwała. W tym czasie mieszkaliśmy w domu, który znajdował się jeszcze wyżej. Mama mówiła, że będziemy mieszkać w górach, ale jak przyjechałam, to się zdziwiłam. Nie sądziłam, że będzie to na czubku góry – wspomina Nobu.

Pierwsi goście do Villi Akiko przyjechali w 1993 r. Od tego czasu coraz częściej na ścieżkach Górców można było spotkać turystów z Japonii. Akiko odwiedzali rodzina, krewni byłego męża, przyjaciele z Japonii, Japończycy pracujący w Polsce, a także Polacy szukający spokojnego miejsca na wypoczynek. – Nie ma mnie w serwisach bookingowych, goście dowiadują się o mnie pocztą pantoflową. Wiele rodzin przyjeżdża tu od lat, a piątka tych, którzy u mnie gościli, zbudowała sobie domy w Harklowej. To miejsce ma dobrą energię i czuje to każdy, kto tu przyjeżdża – mówi Akiko.

Gotuje po japońsku. Kiedy podziwiam panoramę Tatr z jej tarasu, krząta się w kuchni, by za chwilę przynieść tsukimi udon – zupę z makaronem udon, jajkiem, dymką, wodorostami, grzybami shiitake i paprocią z podhalańskiego lasu, którą sama zbiera. Swoim gościom pokazuje, że kuchnia jej kraju to nie tylko sushi.

POLAK ZŁOTA RĄCZKA

Przez lata Akiko Miwa wrosła w lokalną społeczność. Założyła polsko-japońskie stowarzyszenie „Tęcza”. Organizowała wiele wydarzeń przybliżających mieszkańcom Podhala Japonię – Święto Kwitnącej Wiśni, Święto Latawca, pokazy origami, parzenia herbaty, zakładania kimono, warsztaty ceramiki, kaligrafii, układania polnych kwiatów. Organizowała koncerty, podczas których na scenie polscy muzycy spotykali się z japońskimi. Polana przed jej willą wciąż jest miejscem wymiany kulturowej między Japończykami a mieszkańcami Podhala. – Tu widać, jak grupa z Japonii uczy się tańców góralskich – pokazuje w telefonie nagranie, na którym Japoń-

czycy tańczą z ubraną w tradycyjne stroje podhalańską młodzieżą. Na następnym widać, jak górale próbują swoich sił w tańcach japońskich.

W ubiegłym roku Akiko Miwa została odznaczona przez cesarza Japonii Orderem Wschodzącego Słońca. Jest również honorowym członkiem Polskiego Centrum Jiu-Jitsu Goshinryu – japońskiej sztuki walki. Przyznano jej też Medal Honorowy za Zasługi dla Województwa Małopolskiego.

Jednak, jak mówi, jej największym bogactwem są ludzie, których ma wokół siebie. – W Harklowej zostałam bardzo serdecznie przyjęta, nawiązałam wiele przyjaźni. Jak mam jakiś kłopot, to wiem, do kogo dzwonić – mówi i przytacza jedną z historii. – 1 stycznia, sobota po południu, wolny dzień, wszystko zamknięte, a w pensjonacie zabrakło wody. Akurat gościłam u siebie 30 osób. Już chciałam ich przeproszać i oddawać pieniądze, ale pomyślałam, że spróbuję poszukać pomocy. Zjechałam na dół i uprosiłam hydraulika z elektrykiem, żeby przyjechali sprawdzić, co się zepsuło. Mróz minus 20 stopni, a my musieliśmy wyciągnąć 60-metrową rurę. Okazało się, że szwankuje pompa, tylko gdzie w wolny dzień kupić nową? Zadzwońłam do Zygmunta, który sprzedaje pompy, ale akurat był na granicy. Zapropnowałam, żeby jego pracownik, który ma klucz do sklepu, wydobył pompę. Wszystko udało się załatwić, hydraulik z elektrykiem zainstalowali pompę i znów miałam wodę. Bardzo im wszystkim dziękowałam, za to że pomogli mi w wolny dzień. Zygmunt odparł na to: „Akiko, dla ciebie wszystko!” – wspomina Japonka z Harklowej i dodaje, że w polskich mężczyznach lubi to, że wiele rzeczy potrafią zreperować sami. – W Japonii trzeba wzywać fachowców, a tu każdy potrafi coś naprawić.

Przyjaźnie Akiko Miwa nawiązała też w urzędach, bankach, biurach doradztwa podatkowego. – W Polsce sprawy urzędowe są bardzo skomplikowane. W Japonii dokumenty do księgowego składa się raz w roku, w Polsce co miesiąc. Żeby zrozumieć polski system podatkowy, wiele razy prosiłam w biurze podatkowym o wyjaśnienia. „Nie rozumiem, nie rozumiem” – powtarzałam. Podobnie było z ZUS. W urzędzie, jak chciałam coś załatwić, to musiałam wracać kilka razy. Zawsze brakowało jakiegoś dokumentu, a jak go przynosiłam, to się okazywało, że brakuje innego. Teraz proszę urzędnika, by od razu wypisał, co będzie mi potrzebne. Na początku nie rozumiałam,

dłaczego w banku kasjerzy we wszystkich okienkach mają przerwę o tej samej porze. Proponowałam im, żeby na przerwę chodzili po kolei, a nie na raz, bo ludzie w kolejce czekają – śmieje się na wspomnienie tych sytuacji. – Dzięki tym rozmowom wszędzie mam przyjaciół. Jak przychodzę, pomagają, nawet wypełniają ze mną dokumenty.

W Polsce zdziwiły ją nie tylko urzędowe obyczaje. – W Japonii nie zdarza się odwiedzić kogoś bez zapowiedzi, a tutaj sąsiad potrafi przyjść niespodziewanie z jakąś sprawą albo po prostu w odwiedziny. Teraz to już jest dla mnie normalne. Sama też tak robię, choć jak wybieram się do koleżanki, to staram się chociaż upewnić, czy jest w domu – mówi Akiko. – Byłam też zaskoczona tym, że jak ktoś zaprasza na wesele, to zaproszenie doręcza osobiście, a nie wysyła pocztą. W ogóle górale na pewne tematy częściej rozmawiają ze sobą twarzą w twarz, a nie przez telefon.

Dlaczego akurat Polska? – pytam. – Interesowały mnie małe kraje socjalistyczne – Rumunia, Czechosłowacja, Polska. Dużo czytałam o polskiej historii, o Oświęcimiu. W moich żyłach płynie krew Ajnow, to mała grupa etniczna zamieszkująca północną Japonię. Ajnowie są dziś ginącym narodem. Byli uciskani, niszczeni. I może dlatego tak mnie interesowała historia Polski – wyjaśnia Akiko.

WNUKI W POLSCE I W JAPONII

Akiko od czasu do czasu odwiedza Japonię, ale zawsze wraca na swoją polanę w Harklowej. W jej domu język japoński miesza się z polskim. W salonie na półkach stoją rzędy książek w języku Kraju Kwitnącej Wiśni, ale na stoliku znajdują także przygody Koziółka Matołka. Nawet pies Lord jest dwujęzyczny.

W Polsce korzenie zapuściło dwoje dzieci Akiko, oboje mają polskich małżonków. Nobu skończyła liceum w Nowym Targu. Zajął jej to pięć lat, bo przez rok na lekcję chodziła jako wolny słuchacz i uczyła się języka. Maturę z polskiego zdała na piątkę. Ma czwórkę dzieci. Syn Akiko – Ryo – jest technikiem dentystycznym, mieszka w Warszawie z żoną i dwójką dzieci. Najstarsza Shino została w Japonii, gdzie wychowuje trójkę dzieci, ale w jej życiu Podhale także odegrało dużą rolę. – Męża Japończyka poznała tutaj – w autobusie do Zakopanego – śmieje się Akiko. I dodaje: – Jak patrzę na moje życie, to myślę, że wszystko prowadziło mnie tutaj, do Harklowej.

O lwach i ludziach



Piotr Gociek

Nowa wersja „Króla Lwa” budzi podziw – taki sam jak oglądanie skomplikowanej sztuczki cyrkowej

Film Jona Favreau wszedł do kin 25 lat po animowanym oryginale, który do dziś pozostaje jedną z uwielbianych bajek Disneya wszech czasów. Ten sam reżyser trzy lata temu przedstawił widzom (z wielkim sukcesem) nową wersję „Księgi dżungli”. Obydwa przedsięwzięcia łączy to, że choć reklamowane są jako live-action remake, to tak naprawdę klasycznego kina aktorskiego w nich brak, bo to, co widzimy na ekranie, jest niemal w całości efektem ciężkiej pracy specjalistów od efektów komputerowych. Nadal więc są to animacje, tyle tylko że teraz CGI.

W kinie pokazać można już wszystko. Większy kłopot jest z tym, co właściwie pokazywać. Współczesna popkultura cierpi na brak nowych historii do opowiedzenia.

Opowiada więc na nowo historie stare. Nic w tym złego, od zarania kultury masowej tak właśnie się działo. Lubimy piosenki, które już znamy. Nie oznacza to jednak, że nad każdą powtórką z rozrywki trzeba od razu cmokać.

Pół roku temu zachwalałem czytelnikom „Do Rzeczy” nowy film o Mary Poppins. Był to moim zdaniem ciąg dalszy (remake) doskonały. Główne punkty opowiadanej historii się nie zmieniły, emocjonalne wektory również, całość jednak opowiedziano po nowemu, z wielkim biglem, zabawnie i z zupełnie nowymi numerami śpiewno-tanecznymi. Wcześniej ciepło pisałem o nowej „Księżce dżungli”. Film Favreau podobał mi się nawet bardziej od oryginalnej animacji z 1967 roku, bo przywracał opowieści surowość literackiego oryginału.

Dla „Króla Lwa” nie znajduję wytłumaczenia. Przyglądając się genialnej cyfrowej podróbce rzeczywistości i obserwując, jak pracownicy odtwarzano kolejne kadry poprzedniego filmu tylko po to, żeby wyglądało „jak w rzeczywistości”, przypomniałem sobie przedsięwzięcie z zupełnie innej bajki. Gus van Sant, reżyser „Buntownika z wy-

boru”, nakręcił w roku 1998 film „Psycho” (polski tytuł „Psychol”), który był nową wersją słynnej „Psychozy” Alfreda Hitchcocka. Van Sant, wielki fan oryginału, zatrudnił nową obsadę, załadował do kamery kolorową (zamiast czarno-białej – jak w oryginale) taśmę i nakręcił klasyczny film na nowo, to znaczy na staro, bo po prostu skopiował arcydzieło Hitchcocka. Można bawić się i tak, ale na pytanie „po co” nikt jeszcze nie udzielił przekonującej odpowiedzi.

PODRÓBKĄ DOSKONAŁĄ

Nowy „Król Lew” jest taką właśnie podróbką doskonałą (starożytni Grecy mieli nawet specjalne słowo, którym określali monety podrobione tak dobrze, że aż dopuszczone oficjalnie do obiegu). Spory toczony w Internecie czy w mediach przez purystów dotyczą kwestii trzeciorzędnych: czy w danym kadrze jakaś postać była trochę przesunięta w stosunku do ujęcia z kreskówki, czy potrzebnie tu usunięto jakieś słowo, a tam dodano linijkę do doskonale znanego scenariusza. Podróbką, dodajmy, która może być niekomfortowa, bo jest coś głęboko nienaturalnego w obserwo-



FOT. MATERIAL PRACOWE

te historie zdążyli już poznać i pokochać właśnie dzięki temu, że były bajeczne, że były kpiarsko narysowane, że były umowne, że były... cudowne po prostu (może nie wszystkie, ale większość – tak). Dosłowność filmów „live-action” tę cudowność zabija, aktorski konkret odbiera oglądanym na nowo znanym postaciom miejsce w naszej wyobraźni i w fantastycznym świecie, w którym słonie latają za pomocą uszu, dżiny z lampy nie tylko spełniają życzenia, lecz także mają nie lada charakter, a lwy, surykutki i guźce gawędzą sobie swobodnie niczym starzy kumple przy kieliszku.

Tymczasem skala disneyowskiej rewolucji jest większa, niż zauważamy, skupiając się na pojedynczych premiach. To, co rysowane, musi ustąpić filmom „live-action”. Zasada jest złota, bo pieniądze szerokim strumieniem wartko płyną do księgowych imperium Disneya. Niektóre przedsięwzięcia okazują się mniej zyskowne, niż szacowano, ale ważny jest efekt skali. Lista „odświeżonych” klasyków liczy już kilkanaście tytułów, a drugie tyle pojawi się na ekranach w najbliższych latach.

Tylko w tym roku oprócz „Króla Lwa” obejrzelśmy nowe aktorskie wersje „Dumbo” i „Aladyna”. Wcześniej były to „Kopciuszek”, „Piękna i bestia”, dwa filmy o Alicji w Krainie Czarów, a także „Czarownica” (wariacja na temat „Królewnej Śnieżki”) czy wspomniana wcześniej „Księga dżungli”. Ta ostatnia zresztą była z kolei drugim remakiem w ciągu minionego ćwierćwiecza, bo całe to szaleństwo zaczęło się od umiarkowanego sukcesu zupełnie innej „Księgi dżungli” w roku 1994 (któż pamięta ten film z Jasonem Scottem Lee i młodzieńką Leną Headey). Swego czasu (lata 1996 oraz 2000) sporo szumu narobiły aktorskie wersje opowieści o Cruelli De Mon i jej psich ofiarach („101 dalmatyńczyków” oraz „102 dalmatyńczyki”).

Teraz o tym, co nadchodzi: dopiero co wielkie emocje wzbudził pierwszy zwiastun aktorskiej superprodukcji „Mulan” (kto powiedział, że recyklingowi wolno poddawać jedynie animacje odpowiednio stare), której premiera planowana jest na wiosnę roku 2020. A w kolejce czekają już „Zakochany kundel”, „Miecz w kamieniu”, „Mała syrenka”, „Dzwonnik z Notre Dame”, „Lilo i Stich”,

„Pinokio”, nowy film o dalmatyńczykach, kontynuacja „Czarownicy”, a mówi się także o kolejnych „Piotrusiu Panie”, „Herkulesie” i „Pocahontas”. Główną atrakcją tego ostatniego filmu ma być obsadzenie w roli głównej prawdziwej Indianki.

SMUTEK POSTĘPOWCÓW

Tu dochodzimy do kolejnego zagrożenia związanego ze zmianami w disneyowskiej klasycie. Oczywiście zarobienie grubych pieniędzy jest celem podstawowym, od dawna uważam także, że technologiczna zmiana ma na celu dostosowanie klasyki koncernu do wyzwań technologicznych XXI w. – rozpowszechniona virtual reality będzie rozrywką, której potrzebne są światy „live-action”, by użytkownik mógł się w nich zanurzyć.

Dorobek Disneya jest jednak także od dawna bombardowany przez rewolucjonistów politycznej poprawności, którzy klasyczne bajki oskarżają o seksizm, rasizm, homofobię i tak dalej. Koncern ulega, ale na szczęście pomału i punktowo, bo wie, że gwałtowny zwrot oznaczałaby finansową katastrofę. Przeciętny widz na szczęście wciąż w dużym stopniu rządzi światem rozrywki za pomocą swego portfela, choć głośna radykalna mniejszość (dominująca jednak w mediach i wśród politycznych elit) próbuje za niego ustalić, co ma mu się podobać i z jak bardzo postępowego powodu.

To oczywiście postępowców bardzo smuci. „Za odświeżeniem formy nie idzie rewizja wyobrażeń dotyczących praw natury ani relacji społecznych, w tym roli i statusu kobiet” – pisał o nowym „Królu Lwie” na łamach „Wyborczej” Piotr Guszowski. „Bo to, czego 25 lat temu mogliśmy nie dostrzec, dziś już powinno razić. Nala wydaje się odważniejsza, sprytniejsza, ba, za każdym razem wygrywa pojedynki z Simbą, a mimo to łwie znów czekają na wybawcę z bujną grzywą”. Patriarchalizm, antyfeminizm, konserwatyzm – to najważniejsze zdaniem współczesnej lewicy kłopoty z klasyką Disneya. Plus, rzecz jasna, nowy dogmat na nowe czasy – brak ołtarzy ku czci LGBT.

Oczywiście ten ostatni atak dowodzi, że warto dodać do oceny nowego „Króla Lwa” ekstra gwiazdkę – może i dziełko niepotrzebne, ale niepotrzebne w imię normalności.



★★★★★
REŻ. JON FAVREAU
„KRÓL LEW”
(„THE LION KING”)
USA 2019,
ANIMOWANY

waniu „prawdziwych” zwierząt zachowujących się jak bohaterowie animacji, którzy przecież z kolei byli bajkowymi zwierzętami poddanymi daleko posuniętej antropomorfizacji.

Zachowanie oryginalnych piosenek pogłębia zamieszanie i wcale nie chodzi o zmiany w aranżacjach. To wszystko po prostu się nie składa. Osobno efekty CGI są genialne. Osobno muzyka jest znakomita. Osobno scenariusz wciąż porusza te same struny, które poruszał tekst sprzed ćwierć wieku. A jednak wszystko to połączone razem pozostawiło mnie nieporuszoną, zimną i nieco skonfundowaną.

Nieżyjący już znakomity krytyk filmowy Roger Ebert napisał kiedyś świetną tyradę przeciwko manii kręcenia filmów 3D. Po co nam dodatkowe sztuczki przypominające, że widzimy obraz trójwymiarowy – argumentował – skoro z samej konstrukcji naszych organów wzrokowych to właśnie wynika, w którym obraz zamienia się w odpowiednio plastyczny i głęboki, jest przecież nasz mózg.

Mam bardzo podobne odczucia po obejrzeniu serii ostatnich disneyowskich przeróbek animowanej klasyki. Myśm



Tomasz Rowiński

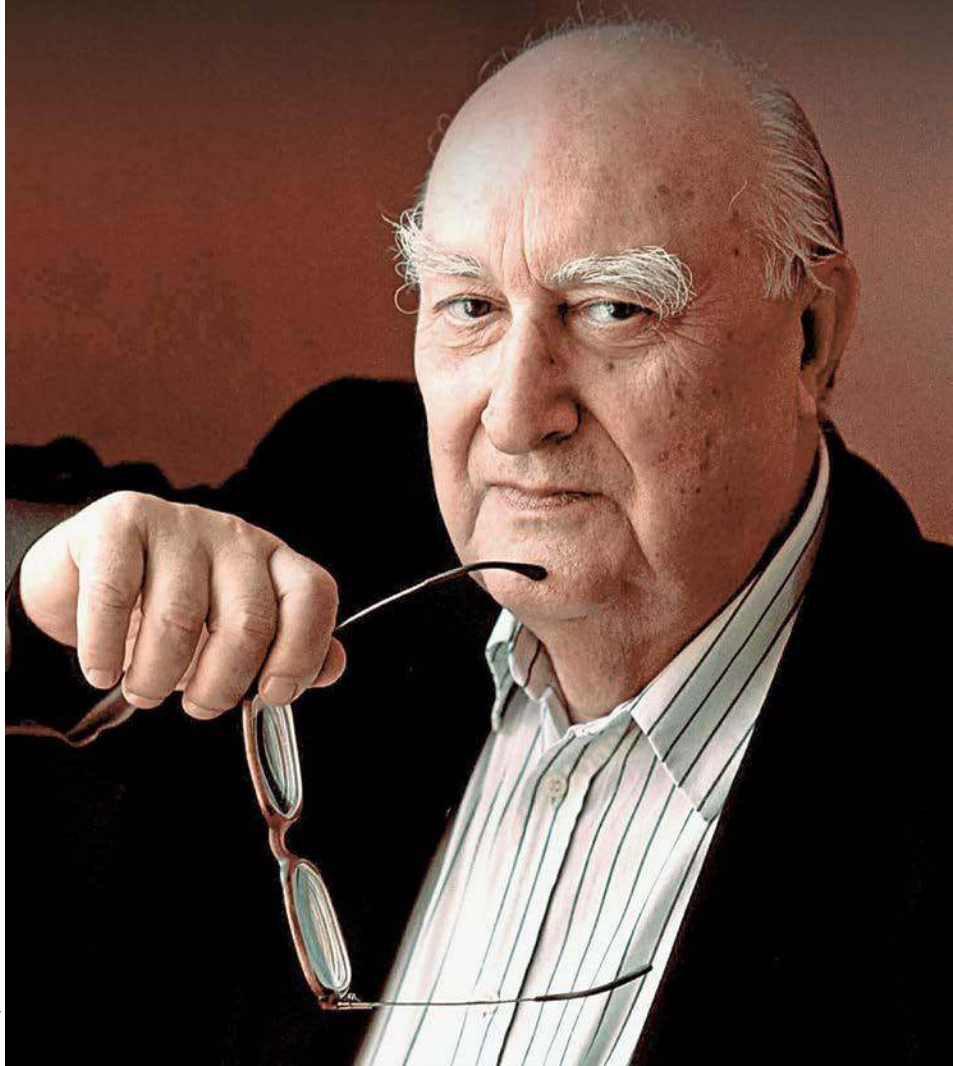
Historia literatury zna wiele przypadków autorów, którzy odnieśli sukces, a potem całkiem przepadli. Czy książki zmarłego niedawno Andrei Camilleriego przetrwają jego śmierć?

Pamiętam, że kiedy pierwszy raz trafiła w moje ręce książka Andrei Camilleriego „Miesiąc z komisarzem Montalbano”, nie miałem pojęcia, co to za pisarz ani co to za książka. Z trudem przypominam sobie nawet, skąd się ona wzięła w moim plecaku w czasie którejś z wakacyjnych włóczęg. Akurat to, że książka ta była moją towarzyszką podczas jakiejś włóczęgi, zapewne w połowie pierwszej dekady obecnego stulecia, pamiętam dość dobrze.

Nasuwa mi się inne wspomnienie i wytłumaczenie trochę dziwnego faktu, że poznałem Camilleriego zupełnie od zera, nie podążała na nim – dla mnie – żadna sława. Po prostu same opowiadania rzeczywiście zachwyciły mnie w tamtym czasie swoją błyskotliwością, lekkością, ironią i tym zabawnym połączeniem, jakim jest postać komisarza Montalbano. Policjant-humanista w polskim kontekście dowcipów o milicjantach (a potem policjantach) to dość zabawne samo w sobie.

Aha, co z tym wspomnieniem i wytłumaczeniem. Około 2005 r. tygodnik „Polityka” pozbywał się ze swojego portfela wydawniczego prowadzonej przez Marcina Króla „Res Publici Nowej”. Sam trochę w tej „Res Publice” stażowałem, trochę po prostu bywałem, a potem angażowałem się w reanimację pisma w zmienionych już warunkach. Ale to inna historia. Wiele już nie dodając, powiem, że księgozbiór redakcji szedł wówczas w ręce ludzi związanych z piśmem i tak pośród różnych tytułów przypadło mi w udziale zabranie ze sobą właśnie „Un mese con Montalbano”. Po lekturze na czas jakiś stałem się nawet „apostolem” tej książki, sięgnąłem też po podobne w formule „Pomarańczy komisarza Montalbano”, a potem po powieści traktujące o jego perypetiach. Te pozycje jednak mnie nieco rozczarowały, nie było w nich owej wysokiej kondensacji iskrzącej błyskotliwości, suspensu, „twista”

Ojciec komisarza Montalbano



FOT. OLIVIERO FERRELLA

w rozwiązaniu. Przygody Montalbano rozciągnięte w powieści wydawały mi się tylko opowiadaniem rozsmarowanym na zbyt wielu kromkach, by posłużyć się powiedzonkiem Tolkiena. Potem dopiero zdałem sobie sprawę, że to nie był spadek formy, ale sytuacja zupełnie odwrotna – wydaje się, że Camilleri, przynajmniej takie jest moje zdanie, znalazł właściwą formę literacką dla swojego bohatera. Pierwsze zbiory opowiadań ukazały się bowiem już po kilku powieściach takich jak „Pies z terakoty” (1994), „Złodziej kanapek” (1996), „Głos skrzypiec” (1998) czy „Wycieczka do Tindari” (2000).

CZŁOWIEK SKRAJNEJ LEWICY

Powiedzmy coś wreszcie o samym autorze. Andrea Camilleri urodził się w Porto Empedocle na Sycylii, 6 września 1925 r., zmarł 17 lipca 2019 r. Swoich sił w literaturze próbował już w latach 40. XX w., gdy debiutował jako poeta. Ukończył studia na Akademii Sztuk Dramatycznych, potem pracował jako reżyser teatralny, chętnie zajmował się w tym czasie tekstami Luigi Pirandella i Samuela Becketta. Sam Camilleri we wspomnieniach pisze, że jego rodzice byli odległymi znajomymi Pirandella. Warto od razu dodać, że pewne stałe punkty twórczości Pirandella pojawiają się także w opowieściach o komisarzu Montalbano. Jako przykład można podać pojawiające się drzewo oliwne, które pomaga myśleć słynnemu detektywowi.

W latach 70. Camilleri zetknął się z kryminałem jako formą literacką, współtworzył włoski serial będący ekranizacją powieści Georges’a Simenona opowiadającej o przygodach komisarza Maigret. Seria ta cieszyła się ogromną wręcz popularnością, ostatni jej sezon w roku 1972 oglądało średnio 17,5 mln widzów. Potem przez 20 lat był Camilleri dyrektorem filmowym Akademii Sztuk Dramatycznych. Swoją pierwszą powieść „Il corso delle cose” wydał w roku 1978, a w roku 1980 pojawiła się druga książka pt. „Un filo di fumo”. Nie zdobyły one jednak wtedy sławy. Może dlatego, że nie było w nich komisarza Montalbano?

Z przymrużeniem oka mogę powiedzieć, że jest przynajmniej jeden powód, dla którego dobrze się stało, iż nie wiedziałem nic o Camillerim, gdy zaczynałem czytać jego książki. Chodzi o jego polityczne zaangażowanie. Był ateistą i zawsze popierał polityczne ruchy skrajnej lewicy. Od roku 1945, czyli zaraz po wojnie, należał do partii komunistycznej, a w dalszym

życiu angażował się w lewicowe inicjatywy, szczególnie te bardziej radykalne. Do samego końca też – szczególnie gdy był już osobą powszechnie znaną we Włoszech – wypowiadał się na temat bieżącej polityki. Nie tak dawno wyrażał zbulwersowanie, gdy partia, która rozpoczęła swoje istnienie jako Liga Północna, powróciła do władzy w 2018 r. w nowym przebraniu jako – jak mówił – twardy, populistyczny ruch. W wywiadzie dla „Guardiana” Camilleri wyraził nawet opinię, że lider Ligi, Matteo Salvini, dziś premier Włoch, przypominał mu zwoleńników Benita Mussoliniego, ukazując „tę samą faszystowską arogancję, tę samą zadowoloną reprezentację władzy”. Cóż, zapewne każdy, kto choć trochę był prawicowcy, musiał dla Camilleriego wyglądać jak faszysta z lat 20. i 30. Dobrze znamy ten odczuwający język także z polskiego dyskursu publicznego.

WŁOCH I SYCYLIJCZYK

Przejdźmy wreszcie do postaci samego komisarza, który przyniósł Camilleriemu ogromny sukces. Pisarz swoją pierwszą powieść napisał, gdy miał 53 lata, ale gdy ukazał się pierwszy odcinek przygód Montalbano – była to powieść „Kształt wody” – miał już 69 lat. Był to rok 1994, rozgłos jako autorowi historii kryminalnych udało mu się uzyskać dwa lata wcześniej, gdy opublikował osadzony w realiach XIX-wiecznych Włoch „Sezon łowiecki”. Jednak tam jeszcze nie było Montalbano. Być może ten pierwszy sukces skłonił Camilleriego do podążenia starą tradycją twórców książek kryminalnych i wykreowania stałego bohatera. Doyle, Christie, Simenon i wielu innych miało swoich komisarzy, inspektorów czy detektywów.

Camilleri też ma swojego. Nazwisko Montalbano zostało zaczerpnięte od nazwiska prawdziwego autora powieści kryminalnych Manuela Vázquez Montalbán, który również – a jakże – miał swojego detektywistycznego „superbohatera”: Pepe Carvalho. Literacki Montalbano ma coś zresztą wspólnego z Pepe Carvalho – są to upodobania kulinarne, na stronach książek Camilleriego co chwila można spotkać opisy – głównie – sycylijskiej kuchni.

Książki Camilleriego stały się być może lepszą promocją Sycylii niż powieści Maria Puzo o tamtejszej mafii, która jednak nadaje tej wyspie nie najlepszą sławę. Dzisiaj po Sycylii można odbyć wycieczkę śladami Montalbano, choć samo miasteczko, w którym dzieją się jego przygody, jest całkowicie fikcyjne – nie ma niestety

żadnej Vigaty. Pytany o swoją sycylijską tożsamość Camilleri mówił: „Zawsze powtarzam, że jestem włoskim pisarzem, urodzonym na Sycylii, żyjącym w Europie. Przez całe życie robiłem, co w mojej mocy, by nie wprowadzać podziałów pomiędzy Włochami a Sycylią. Oczywiście jest wiele różnic, ale Włochy same w sobie są dość specyficznym krajem. Palermo różni się od Neapolu, który jest zupełnie inny niż Wenecja... Północny zachód Włoch nie jest podobny do północnego wschodu ani centrum do południa. Mamy różne dialekty, inne jedzenie, inny sposób myślenia, ale wszyscy jesteśmy Włochami!”.

Mimo tego włoskiego patriotyzmu w swoich powieściach posługiwał się mieszkanką literackiego języka włoskiego i sycylijskiego dialektu, czego rzecz jasna żaden z nas, czytelników tłumaczeń, nie mógł dostrzec. A jest to jeden z tych elementów, które uczyniły Camilleriego sławnym we Włoszech. Co do samych opowieści realizują one znane powszechnie tradycje narracji detektywistycznych, sam pisarz, puszczając oko do czytelników, w jednym z wywiadów wskazywał na konieczną schematyczność kryminału. „Wszystkie powieści Montalbano składają się ze 180 stron, zapisanych na moim komputerze i podzielonych na 18 rozdziałów po 10 stron”. Dość dobrze oddaje to ducha klasycznego kryminału, który w znacznej mierze jest nieustannym, niemal rytualnym odtwarzaniem kilkunastu możliwych schematów historii kryminalnej oraz ich możliwych wariacji lub połączeń. Tak pisali autorzy, których cenił Camilleri (Raymond Chandler, Dashiell Hammett, Giorgio Scerbanenco, Manuel Vázquez Montalbán, Georges Simenon), choć wiadomo, że czytał wiele, również współczesne książki z nurtu kryminału skandynawskiego.

POWRÓT DO VIGATY

Czy książki Camilleriego przetrwają jego śmierć? Pisał bardzo dużo od chwili, gdy odniósł sukces, jednak autorów, którzy odnieśli sukces, a potem całkiem przepadli, w dziejach literatury była niezliczona ilość. Intuicja podpowiada mi – czyli mogę się całkiem mylić – że nie uda się Camilleriemu wejść do panteonu. Jednak, choć już z biegiem lat odsprzedałem lub oddałem prawie wszystkie książki pisarza, jakie trafiły w moje ręce, „Miesiąc z komisarzem Montalbano” wciąż jest na półce. A właściwie już ją na nowo opuścił i leży obok mnie. Czas na spotkanie po latach z mieszkańcami Vigaty.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Ojczyzna da się lubić?



★★★★★
REŻ. PHILIPPE DE CHAUVERON
„I ZNOWU ZGRZESZYLIŚMY, DOBRY BOŻE!”
(„QU'EST-CE QU'ON A ENCORE FAIT AU BON DIEU?”)
FRANCJA 2019

wyst. Christian Clavier, Chantal Lauby, Ary Abittan

Roku Pańskiego 1980 komik Coluche ogłosił, że chce zostać prezydentem Francji. Hasło „Może nie będzie lepiej, ale na pewno śmieszniej” spodobało się wielu ślimakożercom, co wzbudziło panikę w sferach oficjalnych. Zawodowi politycy rzucali gromy na uzurpatora, który nie wytrzymał nerwowo i na ostatniej prostej wycofał się z wyścigu. 15 lat później Jan Pietrzak dotrwał do końca kampanii i w nagrodę otrzymał 1,12 proc. głosów.

Dzisiaj czasy mamy inne, przyjazne trefnisiom. Ukraińcy bez wahania powierzyli swój los gwiazdzie kabaretu, tylko czekać, jak w ich ślady pójda inne nacje. Jaś Fasola z pewnością nie byłby gorszym premierem Wielkiej Brytanii niż Theresa May. Kanclerz Niemiec Steffen Möller wprowadziłby do

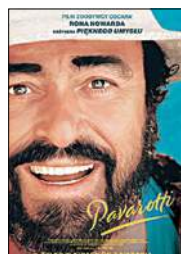
szkół język polski jako przedmiot obowiązkowy. Idealnym kandydatem na następcę Macrona wydaje się zaś Christian Clavier. O sztuce przywództwa wie sporo: zagrał dwóch francuskich superbohaterów – Napoleona i Asteriksa. Poza tym nie boi się iść pod prąd.

Komedia „Za jakie grzechy, dobry Boże?” wychwalała ideę multi-kulti, gdy Europę paraliżował lęk przed wzbierającą falą (pseudo)uchodźców. Sequel wypada uznać za odpowiedź na bunt żółtych kamizelek i próbę przekonania rodaków (a przy okazji reszty świata), że z V Republiką nie jest aż tak źle, jak się wydaje.

Pomysł, by personifikacją Francji uczynić parę obrzydliwie bogatych burżujów, usiłującą nadażyć za duchem epoki, znowu się sprawdza, podobnie jak ogry-

wanie narodowych i rasowych stereotypów. Państwo Verneuil, dzieląc się wrażeniami z egzotycznego wojażu, broń Boże, nie chcą nikogo urazić, ale popełniają faux pas za każdym razem, gdy otworzą usta. Spokojna starość nie jest im pisana. Wydanie córek za Izraelitę, Algierczyka, Chińczyka i Murzynę stało się zarzewiem kolejnych kryzysów. Zięciowie-mięczaki zamierzają prysnąć za granicę, bo nad Loarą i Sekwaną mają ciągle pod górkę.

Ten koncept trąci fałszem (prawdziwi imigranci bynajmniej nie kwapią się do powrotu do Azji i Afryki), lecz narzekactwo faktycznie jest narodowym sportem Francuzów. Wyśrubowane podatki, strajki, uliczne zadymy, rozdęta biurokracja, chamscy kelnerzy, fatalny klimat – słuchając malkontentów, trudno pojąć, jakim cudem ów „kraj nierobów i zazdrośników” jeszcze funkcjonuje. Rzecz jasna, film zmierza do krzepiącej konkluzji: dzieci Marianny mają powody do dumy. Mieszkają w raju, który z wrodzonej przekory lubią nazywać piekłem. Łączą ich poczucie humoru, słabość do kulinariów, skłonność do zabawy i patriotyzm wyrażający się w hasło: „Amerykanie nie będą się tu panoszyć!”. Vive la France! ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PAVARTTI”

Ron Howard, spec od kina wysokobudżetowego (ratował film o Hanie Solo), gładkiego („Kod da Vinci”) i hollywoodzkich biografii („Piękny umysł”, „Wyścig”), przedstawia obszerne dokumentalne o słynnym włoskim tenorze. Oprócz bliskich oraz przyjaciół i współpracowników artysty przez ekran

przewijają się plejada znakomitości od Bono i Steviego Wondera do księżnej Diany. Oczywiście dla José Carrerasa oraz Plácido Domingo także starczyło miejsca. ©© **Piotr Gociek**

• „Pavarotti”, reż. Ron Howard, USA/Wielka Brytania 2019, dokumentalny

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- „Szybcy i wściekli: Hobbs i Shaw”, reż. David Leitch, USA 2019
- „Yuli”, reż. Iciar Bollain, Hiszpania 2018
- „Wilk w owczej skórze 2”, reż. Vladimir Nikolaev, Rosja 2019
- „Kraina szkła”, reż. Jeppe Vig Find, Dania 2018

Randka pod zegarem

Na tym świecie tylko trzy rzeczy są pewne: śmierć, podatki oraz film Woody'ego Allena pojawiający się w kinach w porze letniej kanikuły. Mało brakowało, by ta świecka tradycja w tym roku wygasła: reżyser znalazł się na celowniku mściciela spod znaku #Me-Too, zaś premierę komedii „W deszczowy dzień w Nowym Jorku” zablokowano. W rezultacie możemy oglądać ją jako pierwsi w Europie, a czy i kiedy trafi na amerykańskie ekrany, Bóg jeden raczy wiedzieć.

Trochę mi żal Janeków, bo film numer 48 Allenowi się udał. Być może powrót do rodzinnego miasta podzielał łagodząco, w każdym razie stężenie cynizmu i mizantropii jest tu cokolwiek niższe

niż w „Na karuzeli życia” czy w „Nieracjonalnym mężczyźnie”. Bohaterom – jak zwykle – buzie się nie zamykają. Króluje styl vintage. Nawet studenci są snobami: wielbią kinową,

muzyczną i literacką klasykę, wolny czas spędzają w muzeum. Na szczęście mają też ludzkie cechy. Gatsby, wystylizowany na Oscara Wilde'a, nałogowo oddaje się hazardowi. U Ashleigh (fenomenalna Elle Fanning) erotyczne pobudzenie objawia się czkawką. Allen wbija szpile filmowcom i dziennikarzom („każda gazeta to brukowiec”), kpi z hipokryzji starych i buntu młodych, lecz gdy przybiera romantyczne pozy, jest mało wiarygodny. Nie z nami te numery, Woody! ☺☺

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. WOODY ALLEN
„W DESZCZOWY DZIEŃ W NOWYM JORKU”
(„A RAINY DAY IN NEW YORK”)
USA 2019

wyst. **Timothée Chalamet, Elle Fanning, Selena Gomez**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POWRÓT ARCYDZIEŁA

Wznowienie jednego z najważniejszych polskich filmów powstałych w ostatnim półwieczu – pięknie obmyślonej, cudnie zagranej i hipnotyzującej „opowieści o »Dziadach« Adama Mickiewicza”, jak sam zatytułował swe zmagania z wieszczem i polską historią Tadeusz Konwicki.

Nakręcony w roku 1989 film był ostatnim w karierze reżyserskiej autora „Małej apokalipsy” (rozpoczętej, przypomnijmy, „Ostatnim dniem lata” w 1958 r.). Konwicki był, rzecz jasna, postacią przerastającą swe filmy – scenarzysta („Faraon”, „Jowita”, „Austrija”), pisarz („Kronika wypadków miłosnych”), spiritus movens klasycznych dzieł polskiej szkoły filmowej. „Lawa” w podobny sposób przerasta inne kinowe dokonania polskich twórców z czasów transformacji ustrojowej i szerzej, ostatniej dekady XX w. Film Konwickiego się nie zestarzał, nietypowa forma kolażu broni się znakomicie, robota aktorska jest wysmienita, a materiał do przemyslenia – pozostał.



wyst. **Gustaw Holoubek, Artur Żmijewski, Teresa Budzisz-Krzyżanowska**

★★★★★
REŻ. TADEUSZ KONWICKI
„LAWA”
POLSKA 1989,
DYSTR. FILMOSTRADA

KURIER NIE DOJECHAŁ

Długo wyczekiwana ekranizacja wspomnień Jana Nowaka-Jeziorańskiego satysfakcjonuje tylko częściowo. Świetny jest Philippe Tokiński w głównej roli, dobra obsada ról drugoplanowych i kilka zapadających w pamięć scen (łapanka i egzekucja uliczna w Warszawie, odwrót niemieckich wojsk przekraczających Wisłę ze skradzionym dobytkiem, fragment perypetii Nowaka w Polsce, gdy próbuje dotrzeć do Warszawy). Reszta jest przeciętna i cierpi na „brak zawartości kina w kinie”. Nie wiadomo też do końca, o czym właściwie miał to być film: o tym, że powstanie warszawskie musiało wybuchnąć, o walce wywiadów aliantów i Rzeszy, czy może jeszcze czymś innym. Wysła opowieść o tym, że za Niemca było ciężko, tylko w niektórych miejscach zdradzająca kinowy pazur Władysława Pasikowskiego. Cała historia prosi się o dobry serial. Obyśmy doczekali. ☺☺



wyst. **Philippe Tokiński, Patrycja Volny, Julie Engelbrecht**

★★★★★
REŻ. WŁADYSŁAW PASIKOWSKI
„KURIER”
POLSKA 2019,
DYSTR. KINO ŚWIAT

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „DR. MARIO WORLD”

Logika „powrotów do klasyki” to marketingowa kura znosząca złote jajka. W jej hodowli przoduje zwłaszcza Nintendo, którego przełomowe tytuły ukazywały się w latach 80. i 90. Minęło zatem w sam raz tyle, aby pokolenie graczy, które na nich wyrosło, zdążyło za nimi zatęsknić,

a nowe ich nie znało. Jednym z nich jest wydany 29 lat temu „Dr. Mario”, gdzie popularny hydraulik zamienia się w lekarza, który za pomocą dobie-ranych kolorystycznie pigułek walczy z wirusami. Co nowego? Grafika, zróżnicowane poziomy i animacje. Co po staremu? Ten sam satysfakcjonu-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jący system symetrycznej układanki podobnej do wszelkiej maści „Candy Crushów”. ☺☺

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Logiczna
- **Platforma:** Android/iOS
- **Producent, dystrybutor:** Nintendo
- **Klasyfikacja PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W narodowej szulerni

Powieść można zacząć, jak Pan Bóg przykazał: „Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całym Rosieńskim nad inne szanowany”. Albo bardziej wprost: „Ogary poszły w las”. Wiem na pewno, że nie warto, zanim przejdzie się do rzeczy, przez osiem stron opowiadać, o czym książka traktować będzie i kim to był czy nie był jej główny bohater. A na dodatek zatytułować ten wstęp: „Jaśniej nie można”, co dowodzi jedynie dobrego samopoczucia autora, gdyż „jaśniej” z pewnością można było.

Z tego pierwszego, wstępnego rozdziału czytelnik powiadomiony zostanie, że protagonistą opowiadanej przez Włodzimierza Boleckiego historii będzie niejaki Ignacy Chadźkiewicz, znany najbardziej jako szuler, stąd i rzecz cała. Cytuję: „Jest – w najbardziej widocznej warstwie utworu – o szulerni. W głębszej o graczach. Ale jest w niej jeszcze wiele innych warstw”. I rzeczywiście to te istniejące w „Chacku” „inne warstwy” decydują o wartości tej bardzo interesującej książki, o czym jednak przekonałem się dopiero po uporaniu się z „rozbiegówką” powieści, a ta dłuży się podobnie jak wstęp. Później, na szczęście, jest już z górki, i tak już do końca.

Tytułowy „Chack” [1756–1820 (?)] wsławił się, poza szulerką, awanturnictwem, miłosnymi podbojami i, co nas dziś najbardziej interesuje, szpiegostwem uprawianym na rzecz Rosji, Francji, zdaje się, że i Anglii. Jednak przede wszystkim był agentem targowicy. Sprytnym, cwany łajdakiem.

W do obłędu wtedy popularnego faraona grywał z takimi jak on sam oszustami, ale możliwymi tamtego świata, arystokratami, duchownymi, oficerami. A za pieniądze zdradzić gotowy był każdego.



FOT. TOMASZ CZELIŃSKI

Można rzec, ot, kanalia, gdyby nie to, że z otoczenia wyróżniają go fantazja, wyobraźnia, pewien rozmach w działaniu. Jednak czym kierowali się w swoim postępowaniu Stanisław Szczęśny Potocki czy Franciszek Ksawery Branicki? Dobrem ojczyzny? Nie brakowało zmoskwiałych nędzników, którzy by nawet taką tezę poparli. „Dziś [...] nikt uczciwy nie zaprzeczy, że to Szczęsnemu Potockiemu Polska zawdzięcza losu swego najbardziej pożądaną odmianę. To, co było częścią bazgraniną i mamieniem ogółu w niesławnej plancie 3 maja, ziściło się dzięki jego odważnemu czynowi w mieście Targowica skutecznemu. Mieszkańcy kraju naszego stokrotnie większe przywileje podróżowania zyskali, większe i obfitsze interessa czynić mogą niżli w dawnej Rzeczypospolitej, dzięki nieskończonym możliwościom i tolerancji w Imperium Rosyjskim, a i porządek społeczny, jako i wojsko, banki, szkoły, także jurysdykcja, wyższy poziom cywilizacji w Rosji bez dwóch zdań dziś przedstawiają”.

Coś się państwu kojarzy? Bo jeśli tak, to nic dziwnego. Dobrze, że przeciwstawę dla takich słów stanowi na przykład sławne zdanie Jakuba Jasińskiego, które damom biadającym w Wilnie nad zgiloty-

nowaniem Ludwika XVI odpalił wprost: „Z całym uszanowaniem, ale gdy Polakom wolność, honor i majątki odjęto, to jejmość panie milczały, a teraz panie płaczą, że króla o trzysta mil stąd ścięto?”.

Gatunkowo „Chacka” trudno zakwalifikować gdziekolwiek, bo są w nim elementy powieści, a także cytaty z pamiętników (także i tych nieistniejących) i dialogi przeniesione z dawnych relacji w zupełnie inne rejony, a wreszcie i fragmenty, w których autor zwracając się bezpośrednio do czytelnika, opowiada mu o sobie samym. Tak jak wtedy, gdy przywołuje swoją rozmowę z prof. Jerzym Łojkiem na temat Chadźkiewicza, ale i jego towarzystwa z Tulczyń, i życiorysów postaci, którymi Łojek interesował się podczas pisania „Dziejów pięknej Bitynki”, o Zofii Wittowej-Potockiej. Otóż prof. Łojek, przepytując przyszłego profesora – Boleckiego – zapytał go, co ostatnio czytał z literatury bardziej współczesnej, XX-wiecznej.

„– Jerzego Jerzewskiego »Agresję 17 września 1939« – odpowiedziałem bez namysłu.

Może mi się wydawało, że spojrział na mnie uważniej, ale zapytał beznamiętnie, przekładając jakiś maszynopis.

– No i co, ciekawa?

– Dla mnie rewelacyjna. Zmieniła moje wyobrażenie o klęsce Polski w drugiej wojnie światowej.

– Aż tak? Ciekawe... A kiedy wyszła?

– Chyba w ubiegłym roku. Mogę sprawdzić.

– Będę wdzięczny. Muszę ją przeczytać”.

Rozmowa toczyć się musiała w roku 1979, może 1980. „Agresja 17 września 1939” była wtedy przebojem drugiego obiegu wydawniczego. Wydał ją podziemny Głos, a autor skrył się za pseudonimem Leopold (nie Jerzy) Jerzewski. Był nim oczywiście Jerzy Łojek. ©



★★★★★

**WŁODZIMIERZ
BOLECKI**
„CHACK. GRACZE.
OPOWIEŚĆ
O SZULERACH”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pieśń zapaśnika

Wierzę w zapasy i wierzę w Stany Zjednoczone Ameryki – wyznaje główny bohater debiutanckiej powieści Gabe’a Habasha. Potężny to debiut, piękna proza, książka napisana wściekle dobrze, pełna gniewu, zacieklności i uporu – tak jak jej narrator.

Stephen Florida wszystko w swoim życiu podporządkował jednemu celowi. „Chodzi o to, żeby skierować resztę życia na właściwe tory za pomocą tego, co osiągnę, mając dwadzieścia dwa lata. Żeby następne pięćdziesiąt lat przebiegło pod tym znakiem” – tłumaczy. Nie jest to jakiś wielki cel, żadne tam mistrzostwo świata czy olimpijska kwalifikacja. Chodzi o triumf w zapasach „w czwartej, międzyuczelnianej lidze NCAA w wadze stu trzydziestu trzech funtów”. Stephen obiecał to swojej zmarłej babci, ale przede wszystkim obiecał to sobie. Temu celowi podporządkował wszystko. Nikt nie trenuje i nie pracuje tak jak on. „Uporządkowałem świat, nie mając zmarszczek i w pełni kontrolując swoje ciało: użyłem go jako narzędzia, żeby rozdeptać wszystkich matolów” – przechwala się na kartach książki.

Wyczytałem w amerykańskich recenzjach, że to jedna z najlepszych książek o sporcie, jakie napisano. Odpowiadam: jest świetna, ale wcale

nie o sport w niej chodzi, tylko o trzy inne ważne rzeczy. Na ile jesteśmy w stanie kontrolować własne życie? Ile wysiłku i koncentracji oraz poświęcenia wszystkiego innego wymaga sukces (nawet drobny)? I po trzecie – czy ceną płaconą za to wszystko musi być absolutna samotność?

Florida to bowiem nie tylko „wściekły byk” zapasów z Dakoty Północnej, lecz także przede wszystkim człowiek boleśnie samotny, walczący ze sobą, ze swoimi słabościami i odrzucający w tej walce wszystko. Nawet zadurzonej w nim dziewczynie sugeruje, że nie mogą uprawiać seksu, bo nie chce pozwolić swemu ciału na utratę energii i sportowej koncentracji. Rodziny odrzucać nie musi, gdyż takowej nie posiada. Sam przeciw sobie, sam przeciw światu, sam przeciw wszystkim. Czy warto? Co właściwie jest jego celem? Czy przypadkiem nie jest to przypowieść o poszukiwaniu perfekcji w dowolnej dziedzinie życia i koniecznych (właśnie: czy na pewno koniecznych) kosztach?

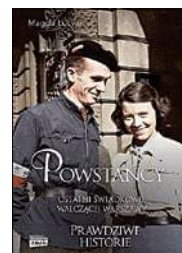


★★★★★
GABE HABASH
„NAZYWAM SIĘ STEPHEN FLORIDA”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Dawno żaden debiut nie sprawił mi tyle przyjemności w lekturze. Gabe Habash już zdobył własne osobne miejsce we współczesnej amerykańskiej literaturze. Jeśli potwierdzi talent kolejnymi książkami, to będzie to miejsce wśród największych. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Sanitariuszka z Mokotowa, młody bojownik Szarych Szeregów, który zabił swego pierwszego Niemca, gdy miał 15 lat, ostatni generał powstania i inni – zbiór rozmów z żyjącymi jeszcze uczestnikami zrywu z sierpnia 1944 r.



MAGDA ŁUCYAN
„POWSTAŃCY”
ZNAK HORYZONT

Raport najniebezpieczniejszej kobiety podziemia, czyli najsukuteczniejszej żołnierki w Oddziale Likwidacyjnym Komendy Głównej AK. Jej wojenne wspomnienia to zarówno niezwykle świadectwo, jak i pasjonująca lektura.



IZABELLA HORODECKA
„SZYBKO I SKUTECZNIE”
ART STUDIO ANABAZA

Dziesięć opowiadań z warszawskiej Republiki Gruzów. Opowieści o tych, którzy po powstaniu nie opuścili stolicy i ukrywali się w ruinach do chwili nadejścia Armii Czerwonej. Spisane z talentem przez jednego z ocalałych.



WACŁAW GLUTH-NOWOWIEJSKI
„NIE UMIERAJ DO JUTRA”
MARGINESY

Przewodnik warszawski Jerzy Pytko proponuje nostalgiczną podróż fotograficzną po historii stolicy, uzupełniając prace zmarłego ojca, niestrudzonego dokumentatora, o własne zdjęcia i krótkie szkice historyczne. ©©



poleca Piotr Gociek

JERZY PYTKO, LEOPOLD J. PYTKO
„WARSZAWA. OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA”
SKARPA WARSZAWSKA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jo Nesbø „Nóż”** (Wydawnictwo Dolnośląskie) – 12. powieść o Harrym Hole’u, który znów tkwi po uszy w kłopotach, także osobistych.
2. **Jojo Moyes „Kolory pawich piór”** (Między Słowami) – jedna z wcześniejszych powieści autorki bestsellerowych „Zanim się pojawiłeś” i „Kiedy odszedłeś”.
3. **Andrzej Pilipiuk „Karpie bijem”** (Fabryka Słów) – nowy tom opowiadań mistrza krótkiej formy. Ekscytujący fanów, bo powraca Jakub Wędrawycz!
4. **Michel Houellebecq „Serotonina”** (W.A.B./GW Foksal) – nowa powieść największego pisarza XXI w. Ponury obraz kryzysu duchowego Zachodu.
5. **Katarzyna Grochola „Zranić marionetkę”** (Wydawnictwo Literackie) – autorka „Nigdy w życiu” tym razem po raz pierwszy napisała kryminał.

(Najchętniej kupowane tytuły prozatorskie na Bonito.pl)



Czterdziestolatek

Stał się w branży muzycznej tym, czym w modzie są adidas, w branży spożywczej coca-cola czy ptasie mleczko, czym dla rodziców są pampersy, a dla kierowców jeepy czy CPN-y (całkiem niedawno słyszałem, jak ktoś mówił na stację paliw cepeen). Czterdzieści lat temu, w lipcu 1979 r., japońska firma Sony wypuściła na tamtejszy rynek

pierwszy przenośny odtwarzacz kasetowy, nazywając go Walkman TPS-L2.

Ludzie potrzebowali chwili, by zakochać się w niebieskim (by pasował do dżinsów) urządzeniu, ale gdy nowy sposób słuchania muzyki chwycił, walkman stał się urządzeniem pożądanym na całym świecie, Sony nie nadążało z produkcją,

a własne „walkmany” zaczęła produkować konkurencja japońskiego giganta. Melomani w PRL długo musieli liczyć na rodzinę mieszkającą na Zachodzie. Dopiero w 1987 r. Zakłady Radiowe im. Marcina Kasprzaka w Warszawie wypuściły pierwsze polskie walkmany – Kajtki.

Walkman zmienił sposób obcowania z muzyką. Zrobił z tego coś bardziej intymnego. Odtąd to, czego słuchasz, mogło być wyłącznie twoją sprawą (i co najwyżej ludzi z najbliższego otoczenia – słuchawki walkmanów przepuszczały na zewnątrz znacznie więcej dźwięku niż te współczesne).

Nie było akumulatorów wielokrotnego użytku, „paluszki” szybko się rozładowywały, więc czasem słuchało się muzyki w zwolnionym tempie, bo żal wyrzucać, skoro jeszcze działają. Baterie nierzadko też się rozlewały i urządzenie trzeba było zawziąć czyścić.

Walkman przetrwał długo. Przez 21 lat seryjnej produkcji Sony sprzedało ok. 220 mln tych urządzeń (liczba wszystkich sprzedanych podróbek jest zapewne wielokrotnie wyższa). Jego następca – discman (oryginał również od Sony) na płyty CD – m.in. ze względu na rozmiary nie zrobił już takiej kariery.

Kaseciaki nie mogły przeżyć cyfrowej rewolucji, odeszły razem z całym analogowym światem. Została nazwa wykorzystywana przez Sony już w „nowej rzeczywistości” dla odtwarzaczy plików MP3. Walkman musiał ustąpić miejsca nowemu, ale ostatecznie nie przegrał. Nie pamiętam już swojego pierwszego odtwarzacza MP3, a trzask zamykanej w moim czerwonym Kajtku kasety zapamiętam już chyba na zawsze. ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Lekcja dla Tysona

To moja muzyczna podróż [...] z dedykacją dla tych, których już nie ma, i dla tych, którzy jeszcze są i będą” – tłumaczy Michał Urbaniak. W ramach obchodów 75. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego wydał album „Dla Warszawy z miłością”.

Płytę otwiera fragment piosenki „Czerwony autobus” w wykonaniu Chóru Czeja. Po 15 sekundach wkracza dudniący beat, a raper Stuntman wykrzykuje „Freedom”. W następnym utworze słyszymy po angielsku „Powstanie Warszawskie wszystko zmieniło”, smyki napędzają jazzowo-funkową pulsację, a wokalista James D-Train Williams rozpoczyna lekcję historii dla zachodniego słuchacza. Każdy element tej opowieści ma tu swoje miejsce, ale też zawiera przesłania

zrozumiałe w kontekście całości (motywy powstańczych piosenek, standardy czy pojedynek „Chopin vs. Paganini”). Muzyka jest atrakcyjna, a w wersji słownej nie koncentruje się na przeszłości, lecz na współczesnym przesłaniu.

Urbaniak do studia zaprosił wybitnych amerykańskich muzyków: Marcusa Millera, Davida Gilmore’a, Michaela Patchesa Stewarta czy Lenny’ego White’a. Nie zabrakło rodzimej reprezentacji: córka Mika, Marcin Pospieszalski, Marek Pędziwiatr czy Patrycja Zarychta.

„Urodziłem się w Warszawie. W przeddzień wybuchu Powstania Warszawskiego moja mama Irenka wywozła mnie do Piotrkowa. Być może uratowała mi życie. Potem stałem się warszawskim łodzianinem” – opowiada Urbaniak. ©

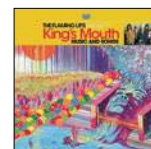


★★★★★
**URBANIAK
„FOR WARSAW
WITH LOVE”
MUZEUM
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO**



★★★★★
**AFRICA EXPRESS
„EGOLI”
AFRICA EXPRESS**

Damon Albarn (Blur, Gorillaz) dotarł do Johannesburga. Elektroniczne jamy udanie mieszają się z tamtejszym folklorem, a gwiazdy (m.in. Zolani Mahola, Gruff Rhys, Moonchild Sanelly) dodają piosenkom tanecznego luzu. Parno i seksownie.



★★★★★
**THE FLAMING LIPS
„KING'S MOUTH”
BELLA UNION,
WARNER BROS.**

Piętnasty album amerykańskich surrealistów opowiada o monarsze, w którego gigantycznej głowie znajdują się galaktyki. Narratorem jest Mick Jones (ex-The Clash). Muzycznie są to psychodeliczne ballady złożone z barokowych dźwięków i odgłosów bawiących się dzieci. ©

Postaw na komfort podróży

Nowa Toyota Camry



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



rentis
Smart way to rent a car



+48 720 200 500



www.rentis.pl



info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

MARCIN MAKOWSKI: Wicepremier Jacek Sasin potwierdził już wizytę prezydenta Donalda Trumpa w Polsce. Ma ona trwać od 31 sierpnia do 1 września. Czy pani również może oficjalnie przekazać takie ustalenia?

GEORGETTE MOSBACHER: To nadal nie jest oficjalna informacja, ale mogę powiedzieć, że idziemy do przodu. Zazwyczaj Biały Dom nie potwierdza wizyt wcześniej niż 30 dni przed terminem, ale pracujemy nad umówieniem wszystkiego na wspomniane daty.

Czyli dwa pełne dni?

Część 31 sierpnia i 1 września z wyłotem po ceremonii rocznicy wybuchu II wojny światowej. Do jakiego państwa, w tej chwili jeszcze nie wiadomo. Zwracam uwagę, że jeśli wszystko dojdzie do skutku, to znacznie więcej, niż pierwotnie planowano. Jestem osobiście zaskoczona, że mówimy o półtora dnia, bo pod uwagę brano tylko jedno popołudnie, 1 września.

Czy w agendzie znajdują się jedynie tematy historyczne czy nastąpi część dalsza negocjacji, które prezydenci rozpoczęli niedawno w Waszyngtonie?

To oczywiście nieuniknione, ponieważ dokumenty podpisane w USA wymagają dalszej pracy. Nie zdziwiłabym się, gdyby ogłoszono postęp w kwestiach, które były na agendzie wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Białym Domu.

Minęło już wystarczająco dużo czasu, aby spojrzeć na te negocjacje z dystansu. Niektórzy politycy w Polsce stwierdzili, że niewiele z nich wynika, a Ameryka jedynie „popisywała się” przelotem myśliwców F-35, bo chce je nam drogo sprzedać. Jak to wyglądało z pani perspektywy?

Zacznę od myśliwców. Nie jest prawdą, że kogokolwiek do czegoś zmuszamy – istnieje długa lista oczekujących na ich zakup. Chciałabym, aby Polacy zrozumieli, że to nie jest dla Ameryki zwykła transakcja handlowa. Idę o zakład, że koszty wyszkolenia i wysłania żołnierzy za ocean, gdzie będą stacjonować przez dziewięć miesięcy z dala od rodziny i przyjaciół – jeśli ujmemy je tylko od strony matematycznej – przewyższają zyski z zakupu F-35.

Tyle że Donald Trump jasno podkreślał podczas konferencji prasowej, że Polska zapłaci za budowę baz, a cała operacja będzie dla USA bezkosztowa.

Oczywiście, że tak, bo bazy są w Polsce, więc nie da się usprawiedliwić przed amerykańskim podatnikiem opłacania czegoś,



Z Georgette Mosbacher,
ambasador USA w Polsce

rozmawia Marcin Makowski

Nie chcę być niepotrzebnie prowokacyjna

co zostaje w innym państwie na stałe. Wracając jednak do przelotu F-35 nad Białym Domem – tutaj nie chodziło o popisy, ale o coś więcej. Okazanie szacunku, który prezydent Trump żywi wobec Polaków, którzy zainwestowali we własne bezpieczeństwo i rozwój. Szczególnie dzisiaj, po raz pierwszy od czasów II wojny światowej, kwestia bezpieczeństwa jest wyjątkowo istotna, bo zagrożenie płynie jednocześnie ze strony dwóch rosnących potęg.

Mogłaby je pani nazwać po imieniu?

Chodzi o Rosję i Chiny. Na naszych oczach tworzy się nowa dynamika globalnego bezpieczeństwa, a Polska jest na jej czele. Sami rozumiecie – czy to ze względu na historię, czy ze względu na bliskość możliwego agresora – że nie da się oszczędzać na bezpieczeństwie, a wojna potrafi się rozprzestrzeniać, nawet jeśli po-

czątkowo jest odległa. My również, dlatego silna Polska oznacza silną Amerykę. Łączą nas wspólne wartości i my je traktujemy poważnie.

Owszem, wartości są istotne, ale choćby w przypadku relacji polsko-chińskich jest jeszcze inna, pragmatyczno-biznesowa perspektywa. Chiny chcą w Polsce inwestować, budować nowy jedwabny szlak, pomagać przy Centralnym Porcie Komunikacyjnym oraz infrastrukturze 5G. Będziemy musieli wybierać między Ameryką a Państwem Środka?

Nie wiem, czy to uczciwe tak stawiać sprawę. Proszę spojrzeć na sprawę chłodno: w chińskim prawie widnieje zapis, że każda chińska firma jest zobowiązana do dzielenia się wszelkimi dostępnymi technologiami oraz informacjami z rządem. Oczywiście Ameryka niepokoi się o rozwój chińskiej technologii 5G, np. w Polsce, ale ze względów bezpieczeństwa, a nie



Dzisiaj jesteście najszybciej rosnącą gospodarką Unii Europejskiej. Wasz wybór jest zatem prosty: czy chcecie iść dalej w tym kierunku, czy dokonać regresu? O to ostatecznie chodzi.

Wróć jeszcze do pieniędzy. Powiedziała pani niedawno, że współpraca energetyczna jest „filarem relacji polsko-amerykańskich”. Patrząc na nią sceptycznie, trudno zauważyć partnerstwo. Wy sprzedajecie LNG, my kupujemy. Czy można zrobić coś więcej, choćby w dziedzinie budowy reaktorów jądrowych?

Sądzę, że bezpieczeństwo i współpraca energetyczna będą jednymi z ważnych elementów wystąpienia prezydenta Trumpa w Polsce. Jako Ameryka w całości wspiera polskie dążenie do budowy cywilnych reaktorów jądrowych i robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zaspokoić te ambicje. Mogę powtórzyć moją wypowiedź raz jeszcze, bezpieczeństwo energetyczne i dywersyfikacja energetyczna są filarem naszej współpracy, szczególnie jeśli wiąże się z nią uniezależnienie Polski od rosyjskiego gazu. Owszem, sprzedajemy Warszawie coraz więcej LNG, ale głównie dlatego, że w ciągu najbliższych kilku lat staniemy się dominującym dostawcą, dzięki coraz nowocześniejszej i opłacalnej technologii. USA zaczęły mieć możliwość konkurencyjności na globalnym rynku z Katarą i Rosją. Z naszej perspektywy, z wyjątkiem Moskwy, która używa gazu jako broni politycznej, nie ma znaczenia, od kogo Polska go kupuje. Chcemy jedynie, aby cały region stał się niezależny energetycznie, a przez to bardziej stabilny, dostatni i bezpieczny.

biznesowych. Jeśli chodzi o inwestycje innych chińskich firm, które nie zagrażają bezpieczeństwu Polski, to nie widzę problemu.

Chciałbym jednak, aby odpowiedziała pani wprost: czy Polska będzie musiała wybierać?

Ujmę to tak – Ameryka już wybrała. Wybraliśmy wolność i demokrację zamiast centralistycznego rządu, który funkcjonuje w Chinach. Jesteśmy w stanie walczyć i bronić swobód, których tam nie mają. Polska również będzie musiała stanąć przed tym dylematem. Po roku mieszkania w Warszawie mam przeczucie, że to będzie prosty wybór. Polacy czują instynktownie, bo żyli w państwie komunistycznym, czym się kończy ucieczka od wolności. Nie mogę sobie wyobrazić, aby ponownie skrzył się w tym kierunku, a właśnie taki „pakiet” otrzymuje się od Chin.

Potwierdzam, że do września 2019 r. wymagania dotyczące zniesienia wiz będą spełnione i będziemy w stanie nominować Polskę do programu Visa Waiver

Tyle że pieniądze, które popłynęłyby do Polski szerokim strumieniem, nie wyznają żadnej ideologii.

Tutaj się nie zgodzę, sądzę, że pieniądze mają swój wymiar ideologiczny, w zależności od tego, skąd pochodzą. Są również rzeczy, których za nie się nie kupi, np. wspólne wartości, które po 30 latach poprowadziły Polskę od ruin komunizmu ku niesamowitemu rozwojowi.

W tym celu mogą pomóc wspomniane elektrownie jądrowe, ale pytanie, jak mocno Stany Zjednoczone chcą się zaangażować w Polskę? Czy mówimy o całym procesie projektowania, budowy, dostawy potrzebnych izotopów czy tylko o sprzedaży technologii?

Porozumienie o współpracy w zakresie energetyki nuklearnej zostało podpisane niespełna dwa miesiące temu. Utworzenie programu energetyki nuklearnej do celów cywilnych to wielki i drogi projekt, dlatego trudno mówić w tej chwili o szczegółach. Podpisane przez nas w czerwcu porozumienie oznacza, że obie strony są gotowe na ściślejszą współpracę. Ameryka pragnie pomóc w każdy dostępny sposób.

Ministerstwo Energii zapowiedziało, że do 2040 r. możemy się spodziewać budowy

■ sześciu reaktorów w Polsce. Czy to realny termin i cel?

Tak, to wykonalne, a Polska mocno się w ten plan zaangażowała. Trudno powiedzieć, jak będzie wyglądała sytuacja w kraju pod względem regulacji prawnych, ale technicznie ten termin da się zrealizować.

Pozostając w temacie współpracy bilateralnej: Czy prezydent Donald Trump zamierza ogłosić ulokowanie stałego dowództwa dywizji w Polsce?

Nie, w tej chwili nie będzie takich zapowiedzi, ale Ameryka wyśle dodatkowy tysiąc żołnierzy do Polski i zobowiązuje się, że zawsze będzie ich tyle samo pod bronią, a mowa o 5,5 tys. osób wraz ze sprzętem na zasadzie rotacyjnej. Sądzę jednak, że sytuacja ewoluuje w kierunku ustanowienia stałego dowództwa dywizji.

Czy wspomniany już Centralny Port Komunikacyjny, jak zaznaczają niektórzy amerykańscy dowódcy, może pomóc przy podjęciu tej decyzji w kontekście zwiększenia możliwości logistycznych Polski?

Zobaczmy. Polska w szybkim tempie pokonuje obecnie dystans dzielący ją od zachodnich standardów infrastrukturalnych. Nie muszę chyba dodawać, że możliwość szybkiego przemieszczania się ma dzisiaj fundamentalne znaczenie dla skuteczności wojska. Dlatego, widząc ten kierunek rozwoju, który przyjmuje Warszawa, wysyłamy na flankę wschodnią coraz liczniejsze siły.

Zmierimy nieco temat. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, powiedziała pani, że wizy dla Polaków zostaną zniesione do końca 2019 r., albo możemy pisać o pani, co chcemy". Zostało pięć miesięcy, napięcie rośnie.

I będziecie mieć zniesione wizy.

Tyle że zgodnie z którą obietnicą. Bo one medialnie ewoluowały: od 2019 po 2020 r. aż „do końca kadencji”, która ma potrwać do 2021 r.

W takim razie raz jeszcze potwierdzam, że do końca roku fiskalnego, tj. do września 2019 r., wymagania dotyczące zniesienia wiz będą spełnione i będziemy w stanie nominować Polskę do programu Visa Waiver. Przypominam jednak, że proces wdrożeniowy trwa od trzech do sześciu miesięcy. Dotrzymam zatem mojej obietnicy, ponieważ cała reszta, nawet jeśli zakończy się w 2020 r., będzie tylko biurokratyczną formalnością.

Chciałbym wrócić do pani słów o „końcu kadencji”. Spotkałem się z doniesieniami, że po

Reprezentuję w Polsce prezydenta Donalda Trumpa, a on wyraził się jasno w kwestii wsparcia dla społeczności LGBT

zatwierdzeniu procesu wizowego zamierza pani wcześniej wrócić do Stanów. Czy jest w tym ziarno prawdy?

Nie słyszałam tych plotek, a w Polsce jestem tak długo, jak mogę się przydać prezydentowi. Nie mam zamiaru wracać wcześniej niż przed końcem pełnej kadencji w 2021 r.

Na koniec zapytam panią o dwie, być może najtrudniejsze ostatnio, kwestie z dziedziny relacji polsko-amerykańskich. Zaczniemy od spraw ideologiczno-swiatopoglądowych. Chciałbym poruszyć kwestię aktywnego udziału w Marszu Równości oraz otwartego wspierania postulatów środowisk LGBT w Polsce. Czy uważa pani, że ambasady powinny się angażować w tego typu działalność na terytorium kraju, które ma inne prawodawstwo? Zachowanie ambasady USA wzbudziło dużo kontrowersji, łącznie z argumentem ingerowania w politykę wewnętrzną Polski.

Reprezentuję Stany Zjednoczone Ameryki i jestem tutaj – co wyłożył mi na piśmie prezydent – aby reprezentować również wartości mojego kraju. W pierwszej kolejności muszę zadbać o bezpieczeństwo rodaków w Polsce, a potem o wartości, a jednymi z nich są brak dyskryminacji i wiara w to, że ludzie są równi. Taką mam pracę, z którą wiąże się również zabieranie głosu, gdy te kwestie są naruszane albo podważane. Oczywiście mam świadomość, że moim obowiązkiem jest również bycie wrażliwą na wartości państwa-gospodarza, które nieco różnią się od naszych. Kwestie LGBT są tematem wrażliwym w Polsce, bo jesteście państwem katolickim, i to rozumiem. Nie chcę być niepotrzebnie prowokacyjna.

Tylko czy np. sprawa małżeństw homoseksualnych albo adopcji dzieci przez pary jedнопłciowe należy do katalogu „amerykańskich wartości”? Przecież w zależności od stanu prawo jest w Ameryce w tej kwestii różne.

To prawda, niemniej – tak jak zaznaczyłam – reprezentuję w Polsce prezydenta Donalda Trumpa, a on wyraził się jasno w kwestii wsparcia dla społeczności LGBT.

Wspomniała pani o zachowaniu wrażliwości. Chciałbym podać przykład, gdzie zdaniem wielu tego elementu zabrakło. Chodzi o 28 czerwca i post z okazji rocznicy zamieszek przy gejowskim pubie Stonewall w Nowym Jorku w 1969 r. To wydarzenie bezpośrednio Polski nie dotyczy, równocześnie pominęła pani w wiadomościach na Twitterze rocznicę antykomunistycznych rozruchów robotniczych w Poznaniu w 1956 r. Dlaczego?

Nie wiedziałam, że to ten sam dzień. To był mój błąd, do czego się przyznaję. Gdybym wiedziała o rocznicy wydarzeń poznańskich, na pewno bym o nich napisała i była bardziej wyważona. Biorę pełną odpowiedzialność i gdybym miała wszystko powtórzyć, zrobiłabym inaczej. To szczerza prawda. Nadal obstać przy wartościach, o których wspominałam, ale ten przypadek był błędem w ocenie sytuacji.

Dziękuję za szczerą odpowiedź i proszę o jeszcze jedną. Wspomniała pani o angażowaniu się Ameryki wszędzie, gdzie owe wartości są zagrożone. Czy prawa osób LGBT są w Polsce zagrożone?

To, co widziałam niedawno w formie nalepki „Strefa wolna od LGBT” w jednej z gazet, było odrażające. Bardzo mnie to wzburzyło, dlatego wystosowałam tweeta z potępieniem takich haseł.

Teraz wspomniany drugi z trudnych tematów. Kwestia JUST Act 447 oraz „restrykcji mienia pożydowskiego”, która może wrócić na jesieni wraz z obywatelskim raportem Departamentu Stanu. Jak dalek potoczy się ta kwestia?

Prawdę mówiąc, mam świadomość, że ten temat nie zniknie. Być może nigdy, a na pewno do czasu, aż Polska nie zdecyduje, jak do niego podejść. Nie jestem w stanie jako ambasador rozwiązać tego sporu. Jedynie, co mogę, to zarządzać kryzysem, który już istnieje, i sprawić, aby się nie zaostrzył.

Mówi pani, że Polska musi coś zrobić, ale rząd wyraził się jasno: żadnej restrykcji pożydowskiego mienia bezspadkowego nie będzie.

Jak widać, nie jest to rozwiązanie satysfakcjonujące, skoro problem stale wraca. I będzie wracać, aż coś się z tym zrobi. Nie wiem co, bo temat jest niezwykle bolesny, emocjonalny i osobisty. Co smutne, ten konflikt jest niszczący dla wszystkich biorących w nim udział stron: Ameryki, Polski i Izraela. To jedna z rzeczy, która mnie szalenie frustruje, ponieważ wiem, jak złożone jest to zagadnienie i jak daleko poza moim zasięgiem. Naprawdę liczę na to, że Polska i społeczność żydowska w USA znajdą wspólne rozwiązanie.

© 2019 Wszystkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Inwazja ekscentryków

Tu i ówdzie rozległy się lamenty wieszczące rychły koniec świata. Oto bowiem premierem Wielkiej Brytanii zostanie Boris Johnson, facet o fryzurze, stylu i poglądach podobnych do Donalda Trumpa. Co wnikliwszy obserwator, w rodzaju Krystyny Jandy czy Zbigniewa Hołdysa, dostrzeże tu kolejny krok w zdobywaniu władzy nad światem przez Jarosława Kaczyńskiego. Trudno przecież mieć wątpliwości, że to on pociąga za sznurki globalnej „dobrej zmiany”. Ewentualnie Macierewicz.

Johnson jest postacią kontrowersyjną, acz barwną, co w dzisiejszych czasach plastycznych przywódców, ulepionych przez magów od marketingu politycznego, budzi moją sympatię. Z grubsza jest tak, że zwykli ludzie dobrze sprawdzają się w zwykłych czasach. A kiedy zaczyna być trudno, na szczyty trafiają ekscentrycy. Oczywiście z rozmaitym skutkiem, bo – jak powiedział jeden ze złych w „Bondzie” – „wariata od geniusza odróżnia jedynie skala sukcesów”.

Awans dziwaka i eurosceptyka Johnsona wynika z tego, że Wielka Brytania, z umiarkowanym – jak wiadomo – skutkiem, wciąż próbuje opuścić Unię Europejską. Na ten temat powstało już wiele rysunków satyrycznych, memów, śmiesznych filmów oraz tweetów Donalda Tuska. Zasadniczo jest to dość zabawna epopeja, która faktycznie zdaje się nie mieć końca. Brytyjskie elity polityczne mocno zszargały swoją wypracowywaną przez wieki opinię.

Warto jednak zauważyć, że ta groteskowa sytuacja wynika przede wszystkim z tego, że Wielka Brytania poważnie traktuje demokrację. A to raczej rzadkie, by nie rzecz passé. Naród w referendum zdecydował o wyjściu z Unii Europejskiej, a rząd konsekwentnie próbuje go z tej Unii wyprowadzić. Mimo narastających problemów, frustracji i robienia z siebie pośmiewiska na skalę świata.

To jednak na swój sposób godne szacunku. Przecież gdyby takie referendum przyniosło podobny wynik we Francji, w Niemczech czy Holandii, pierwsze problemy z realizacją decyzji stanowiłyby pretekst do następnego referendum. I takie referenda organizowano by aż do skutku: to znaczy do momentu, kiedy społeczeństwo zagłosowałoby „dobrze”. Czyli jak należy. Czyli tak, jak oczekuje establishment. Czyli przeciwko wychodzeniu z UE. Wszak w Unii zdarzały się już powtórki referendum, kiedy wyniki były inne niż oczekiwania technokratów z Brukseli. Tak było w wypadku wprowadzania euro czy akceptacji traktatu lizbońskiego.

Anglicy podchodzą do demokracji w starym stylu: politycy starają się honorować decyzję, którą podjęli wyborcy. Nowa szkoła uczy czego innego: politycy – jako bardziej oświeceni specjaliści – podejmują decyzje, a wyborcy mają je akceptować. Dosyć długo to funkcjonowało, ale ostatnio ten nowoczesny model zawodzi. Ale to oczywiście Anglicy są śmieszni. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Tęczowi męczennicy

Z pewnym rozbawieniem obserwuję, jak pogubiona opozycja usiłuje starcia kiboli ze zwolennikami LGBT użyć jako amunicji do walki z władzą. Nie sądzę, że cokolwiek w tej sprawie mogłoby zmienić społeczne preferencje. Poparcie dla środowisk agresywnego lewactwa nie przekracza u nas w szczytowych momentach 10 proc., czego dowodzą doświadczeni Palikota czy Biedronia.

Mój niepokój budzi zupełnie co innego. Przesadna bojaźń większości przed agresywną mniejszością. Żeby było jasne, nie pochwalam działań chuligańskich, choć zdaję sobie sprawę, że przeciwnik dokłada wielu starań, by je sprowokować. Przypomina to taktykę gościa, który wchodzi do baru, pluje konsumentom do piwa, a potem woła rozpaczliwie: „Biją mnie, biją”.

Sukcesy różnej maści mniejszości, które praktycznie sterroryzowały Zachód, wzięły się z bojaźliwości społeczeństwa, niechęci do konfliktu i naiwnej wiary, że wystarczy ustąpić w mało znaczących kwestiach, a osiągnie się błogosławiony święty spokój. Otóż nie, każde z ustępstw powoduje jedynie eskalację dalszych żądań. Naučení doświadczeniami innych krajów powinniśmy przy każdej okazji podkreślać – żadnych ustępstw nie będzie, a o małżeństwach jednopłciowych czy adopcji dzieci lepiej zapomnieć.

Jest takie określenie – co prawda nieszczęśliwie zrośnięte z premierem Mazowieckim – „siła spokoju”. Powinno

być ono wytyczną polityki polskiego państwa. Przy jednym zastrzeżeniu – oba składniki muszą być równoważne. Potrzeba spokoju, ale jednak siły. Stanowczości. I to w wielu kierunkach. Tępiąc chuligaństwo, powinniśmy stosować równie surowe prawo wobec tych, którzy profanują wartości, uważane przez wielu Polaków za święte. Trzeba przy każdej okazji podkreślać: ludzkie swobody kończą się tam, gdzie zaczynają ograniczać swobody innych.

Jestem przekonany, że gwałtowne poszukiwanie tęczowych męczenników i nieustanna zabawa w prowokacje nie przyniosą jesienią efektów. Ale jeśli potraktujemy te działania jako głębszy zasiew? Grę o przyszłość? Świat jest dziś areną kulturowego starcia. Ofensywa cywilizacji śmierci trwa w zachodniej Europie – w Stanach przyhamowała ją nieco prezydentura Trumpa – puste kościoły, za to tłok w klinikach aborcyjnych i punktach dobrowolnej eutanazji. Sukcesy postępów nie wynikły z siły argumentów (nawet wykreślenie homoseksualizmu z listy chorób dokonało się za pomocą zwyczajnego szwindla), raczej z lęku przed obciachem (tu rolę apostołów postępu odegrały lewackie media) i wspomnianej pasywności.

Co szkodzi ustąpić, przyzwolić, mnie prywatnie to nie dotyczy... Boję się że i u nas dzień, gdy w imię świętego spokoju skapitulują władza i Kościół, i opinia publiczna, będzie początkiem końca. ©



Rafał A. Ziemkiewicz

Cała polityczna droga Jarosława Kaczyńskiego była walką z zagrożeniem „monowładzy”. Ostatecznie tworzy coś, co ma liczne podobieństwa do sytuacji, której chciał uniknąć

Wszystko wskazuje na to, że za trzy miesiące PiS wygra wybory z wynikiem, jakim nie mogła się pochwalić jeszcze żadna partia w dziejach III RP. Nie jest wykluczona samodzielna większość konstytucyjna. Jeśli nawet nie będzie ona bezpośrednim skutkiem wyborów, to powtórne i tym razem dobitne zwycięstwo partii, której rządy, w najgłębszym przekonaniu elit III RP, miały być, tak jak przed 12 laty, tylko krótkim epizodem, swoistym wypadkiem przy pracy – będzie dla jej przeciwników szokiem nie do przeżycia. Ten wstrząs pogłębi procesy rozpadowe opozycji, więc większość do zmian konstytucyjnych i tak zostanie szybko osiągnięta – czy to wskutek międzypartyjnych transferów w parlamencie, czy też po kolejnych, przyspieszonych wyborach.

Łatwym do przewidzenia skutkiem miażdżącego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych będzie też zmiana geografii samorządowej. PSL, które apriorycznie odmówiło po ostatnich wyborach samorządowych rozmów koalicyjnych z PiS, wiążąc się na dobre i złe, w sposób dla swych wyborców niezrozumiały, z kolonizowaną przez radykalną lewicę PO, prawdopodobnie przypłaci ten błąd upadkiem – w najlepszym wypadku zredukowaniem do roli „stronnictwa sojuszniczego” na podobnych prawach jak partie Gowina i Ziobry. Trudno dziś orzec, czy przejdzie do PiS w miarę całe, po zmianie kierownictwa (na co chyba czas już minął), czy też poszczególnymi strukturami regionalnymi albo nawet grupkami działaczy – należy się w każdym razie spodziewać, że władza PiS rozciągnie się szybko także na prawie wszystkie sejmiki wojewódzkie.

ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA

Jedyną więc opozycją pozostanie skrajna lewica – dla większości społeczeństwa jeszcze długo, długo nie do przyjęcia.

Pomińmy, w jaki sposób udało się lewicowo-liberalnej elicie III RP doprowadzić do takiej sytuacji (ponieważ to bardziej ona niż sam PiS zbudowała potęgę rządzącej formacji, przekonując większość Polaków, że dla rządów Kaczyńskiego nie ma akceptowalnej alternatywy i że przy wszystkich swych wadach będą one mniejszym złem niż nieustająca, jałowa wojna, którą gwaran-

tują jego przeciwnicy). Lepiej zacznijmy się już teraz przygotowywać na rządy praktycznie monopartyjne. To paradoksalne, jeśli przypomnieć sobie, że cała polityczna droga Jarosława Kaczyńskiego była walką z zagrożeniem „monowładzy” – nie przypadkiem tak właśnie („Porozumienie przeciwko monowładzy”) zatytułował ważną dla zrozumienia jego samego i jego polityki książkę, opowiadającą o losach Porozumienia Centrum. Kaczyński przez wiele



Monowładza Kaczyńskiego

FOT. ANDRZEJ WANCIK/REPORTER

lat mierzył się z koszmarem „państwa jednej partii, jednej gazety i jednego salonu” – i ostatecznie tworzy coś, co ma liczne podobieństwa do sytuacji, której chciał uniknąć, a w wielu przypadkach idzie dalej.

Wynika to z tego, że prezes PiS ma do demokracji podobnie dwoisty stosunek jak – wciąż organizujący polskie myślenie o polityce – Marszałek Piłsudski. Z jednej strony jest oczywiście szczerą demokratą – w teorii, w ogólnych ideach. Jednak w praktyce nie jest w stanie zaakceptować żadnego partnera do demokratycznej gry, pójść na żadne ustępstwo, poza ewentualnym taktycznym wycofaniem się na takim czy innym froncie. Ponieważ politykę traktuje – to właśnie ów „złowrogi cień Marszałka”, o którym napisałem całą książkę – nie jako dziedzinę praktycznych działań obliczonych na rozwiązywanie praktycznych problemów, tylko jako powinność moralną, sposób poprawiania świata i realizowania dobra, potencjalnym partnerom w grze stawiać musi tak wysokie wymagania, że praktycznie żaden z nich, poza tym, który bezwzględnie mu się podporządkuje, nie może być uznany za godnego szacunku i zawarcia kompromisu.

Niestety, wśród tych, którzy się podporządkowują, też trudno mu znaleźć takich, którzy go satysfakcjonują. Ma oczywiście faworytów, ale musi się godzić z faktem, że dysponuje takimi ludźmi, jakimi dysponuje – prawdopodobnie nie dopuszczając do siebie refleksji, że przedkładając ponad inne cnoty wierność, sam się na takich skazał.

Gdyby tzw. liderzy opinii w Polsce byli ludźmi ciekawymi świata, a nie tylko, z własnego przeważnie wyboru, doboszami na plemiennej wojnie, dziewięćlecie rządów Piłsudskiego po zamachu majowym powinno być przedmiotem najstaranniejszych studiów. To modelowy proces staczenia się w zamordyzm przywódcy, który u zarania wyobrażał sobie, że ojcowską ręką wyprowadzi ojczyznę z kłopotów, promując dobrych, szczerých patriotów, odsuwając złych, sprzedajnych i broń wartości – a w konkretne sprawy ingerując tylko w niezbędny stopniu, minimalnie. Niestety, taki patriarchalny przywódca jest skazany na rozczarowanie i zgorzknienie, a kraj przez niego rządzony – na zastój.

Porównanie nadchodzącej monowładzy Kaczyńskiego z sanacją jest

kuszącym myślowym liczmanem, ale oczywiście podobieństwa są ograniczone. W przeciwieństwie do Piłsudskiego, który za życia nigdy nie zdobył wśród Polaków takiej akceptacji, by móc wygrać wybory, Jarosław Kaczyński nie musiał dokonywać zamachu stanu i nie opiera swych rządów na przemocy (z kolei Piłsudskiemu, choć był wyznawcą „sprawiedliwości społecznej”, najgłębiej obce byłoby przekupywanie wyborców socjalnym rozdawnictwem).

ISTOTA PROBLEMU

Zasadniczo odmienny jest tu też stosunek do własnej osoby. Piłsudski był strasliwym megalomanem, świadomie budował kult siebie jako najwybitniejszego Polaka w dziejach – zresztą z racjonalnie brzmiącym uzasadnieniem, że taki kult jest niezbędny, by zintegrować państwo. Jarosław Kaczyński wydaje się od tego jak najdalszy, lizusów próbujących mu nadszkalować spławia – słabość okazuje tylko tam, gdzie chodzi o uczczenie jego śp. brata (i wtedy, niestety, preferuje projekty najbardziej monumentalne i niegustowne, takie jak nieszczęsne schody na warszawskim pl. Piłsudskiego). Niemniej, wbrew wrzaskowi lewicowo-liberalnych salonów, „Polsce PiS” żaden „kult jednostki” nie grozi.

Bzdurą są także zarzucane Kaczyńskiemu rzekome „niechęć i pogarda” dla inteligencji czy „antyelitarność”. Przeciwnie, jednym z celów jego politycznej krucjaty wydaje się odbudowanie w Polsce właściwej hierarchii, szacunku dla ludzi mądrych i etosu inteligencji, wypartej w trzydziestolecie III RP przez „łże-elity”, sołżenicynowską „obrazowanszczyznę” i pseudointelektualistów od „genderów”. Jest to niestety skazana na niepowodzenie próba zawrócenia czasu. Inteligencja, szczególnie polski fenomen na tle świata, znalazła swój kres w Palmirach, Katyniu i rozpuszczaniu jej przez PRL w „awansie społecznym”; mimo godnych szacunku dokonań jej pogrobowców w rodzaju Andrzeja Nowaka czy Jarosława Marka Rymkiewicza, istnieje dziś już tylko w legendzie. Z kolei takiej nowej elity, która jest możliwa i której Polska potrzebuje – menedżerskiej, merytokratycznej, kupiecko-eksperskiej – neosanacyjna, biurokratyczna monowładza PiS wytworzyć nie będzie w stanie.

Największym i brzemiennym w skutki podobieństwem nadchodzącej

monowładzy PiS do sanacji jest pogarda dla tego, co tworzy republikę – struktur i procedur. Właśnie tu jest istota problemu. Kaczyński, podobnie jak przed laty Piłsudski, widzi procedury demokracji jako problem – źródło „imposybilizmu”. Trudno się temu dziwić, skoro życiowym doświadczeniem „Naczelnika” (przecież nie bez kozery tak się w PiS mówi na Prezesa, prawda?) była walka z państwem poczętym w Magdalence, w którym prawa i procedury celowo stworzono tak, aby „praworządność” – rozumiana jako sklerotyczna wierność literze przepisów – chroniła nieuczciwie zdobyte przywileje i uniemożliwiała naprawę chorego od zarania organizmu państwowego.

„Naczelnik” nie znalazł jednak na „imposybilizm” innego antidotum niż osobiste zaangażowanie patriarchalnego przywódcy i kontrola. A to, jak pokażała już sanacja przedwojenna, droga donikąd – a nawet gorzej, do systemu krańcowo niewydolnego i tworzącego ogromne pola do nadużyć, do grasowania po państwie coraz bardziej bezkarnych sił i układów (tu przestrozę niesie nie tylko nasza historia, lecz także np. wnikliwa obserwacja znajdujących się na podobnej ścieżce monowładzy Węgier).

„DIABELSKA ALTERNATYWA”

No i, last but not least – nawet taki, z całym szacunkiem, cyborg jak Kaczyński, poświęcający trosce o państwo cały czas i niewiarygodną energię, ma swoje biologiczne ograniczenia. Cały system państwa coraz bardziej opiera się na jednym człowieku i na jego wskazaniu następcy – które to wskazanie, już widać, nie przez wszystkich podwładnych zostanie w momencie próby uszanowane. To pozwoliło uniknąć gorszych rządów, ale nie buduje stabilnej, bezpiecznej przyszłości Polski.

Niestety, tak jak w znanym powiedzeniu Churchilla o demokracji – nic lepszego nie wymyślił. Polska, obdarowana po upadku ZSRS historyczną szansą odrodzenia republikańskiej państwowości, nie zdołała wygenerować nic lepszego niż rządy drobnych cwaniaczków, na czele z Tuskiem, i neosanacją „Naczelnika” Kaczyńskiego. Ta „diabelska alternatywa” jest niezmywalną hańbą mojego pokolenia i jego winą wobec przyszłych Polaków.

Polacy się nie poddawali

Z gen. Janem Podhorskim,
ps. Żygzak, żołnierzem
Narodowych Sił Zbrojnych
i powstańcem warszawskim
ze zgrupowania Chrobry II
rozmawia Wojciech Wybranowski



FOT. WILDEMAR WITKALSKI/POLSKA PRESSFESTNEWS

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Mimo 98 lat nadal jeździ pan po Polsce, spotyka się z młodzieżą, kibicami piłkarskimi, opowiada o wojennych dziejach i tych losach po 1945 r., kiedy dopadła pana ucieczka i na osiem lat trafił pan do więzienia we Wronkach.

GEN. JAN PODHORSKI: Z każdym kolejnym wyjazdem w teren, z każdym kolejnym spotkaniem mówię sobie, że to już ostatnie, bo zdrowie nie dopisuje, sił czasem brak. Ale przychodzą kolejne zaproszenia od młodych ludzi, którzy chcą usłyszeć o kampanii wrześniowej czy naszej straceńczej walce w powstaniu warszawskim, o tym, co spotykało żołnierzy podziemia niepodległościowego po tym, gdy świat zachodni świętował już zakończenie wojny...

Zatrzymajmy się na chwilę przy powstaniu warszawskim. Napisał pan niedawno książkę „Wyklęty Wielkopole. Wspomnienia żołnierza pułku NSZ Sikora nie tylko z powstania warszawskiego”...

Wspomnienia z tych miesięcy walk na ulicach płonącej stolicy są wiecznie żywe. Śnią mi się twarze poległych kolegów, sanitariuszek, którym Niemcy strzelali w plecy, gdy niosły pomoc rannym. Wracają wraz z kolejnymi odchodzącymi kolegami. Często śni mi się

koszmar. To wspomnienie umierającej, na pół spalonej kobiety, ofiary wybuchu niemieckiego pocisku wystrzelonego z wyrzutni zwanej krową. Wracają w sennych koszmarach wspomnienia także jednej z najbardziej niebezpiecznych akcji, w których brałem udział w czasie powstania warszawskiego, czyli walkach o kościół Świętego Krzyża. To była jedna z moich pierwszych akcji powstańczych, w których brałem udział – nie wspominając oczywiście wcześniejszego ostrzeliwania Niemców. Zaczęliśmy tuż przed świtem, to była może godzina czwarta nad ranem, może ciut wcześniej. Nasz oddział działał po prawej stronie od ul. Świętokrzyskiej, zaatakowaliśmy Niemców i podjęliśmy walkę, która trwała blisko pięć godzin. Zaatakowaliśmy komendę policji i uwolniliśmy polskich policjantów.

Z pana książki wynika, że do powstania warszawskiego trafił pan nieco przypadkiem.

Tak, pan wie, że jestem Wielkopole, ale po wejściu Niemców w dawne Poznańskie i ogłoszeniu tzw. Kraju Warty musiałem uciekać. Trochę przemieszczałem się po Polsce, w końcu trafiłem na Mazowsze. Kilka dni

przed wybuchem powstania wyjechałem z mojego oddziału AK „Głuszczyk” do Warszawy, ponieważ kończyłem już tajną podchorążówkę, a w stolicy miałem zdać egzaminy końcowe na specjalności dywersja. Dojechałem bez problemów, zatrzymałem się u mojego dobrego kolegi ze Związku Jaszczurczego, Henryka Dutkowskiego. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem, że możliwy jest, i to w szybkim terminie, wybuch powstania. Nie ukrywam, że trochę zostaliśmy zaskoczeni, bo gdy 1 sierpnia poszedłem z Henrykiem do naszego punktu kontaktowego na ul. Czackiego, to okazało się, że walki już trwają. Sęk w tym, że w punkcie kontaktowym ochotników było bardzo wielu, ale broni dla nas zabrakło. W sumie kilkunastu żołnierzy NSZ udało się do komendy AK dowodzonej przez „Lewara”, który co prawda nie miał ludzi, nie zgłaszali się do niego, ale dysponował pewnymi zasobami broni i amunicji. A ja uzbroiłem się dopiero dzień później, po naszym ataku na gmach Poczty Głównej, który wsparliśmy granatami od strony Wareckiej. Dzięki temu nasi wdarli się do magazynów, gdzie było – według późniejszych szacunków historyków –

WIELKOPOLANIE W POWSTANIU WARSZAWSKIM 1944 ROKU

nawet do 300 sztuk broni oraz umundurowanie. W tym ataku zdobyłem pistolet maszynowy, stena, i karabin.

Brał pan udział także, już jako żołnierz batalionu Miłosz, w walkach, które toczyły się w okolicach budynku Sejmu.

Tak, to było opisywane w późniejszych publikacjach. Ataki, o których pan mówi, to było około sześciu takich fal Niemców, którzy bardzo mocno zabezpieczali budynek parlamentu. Zienawidzony wróg miał silną przewagę, ale my – a nasze stanowisko mieściło się na ul. Wiejskiej 11 – przysięgliśmy sobie, że nie poddamy się bez walki. Polski żołnierz się nie poddawał. No i udało się. Tak średnio licząc, wyeliminowaliśmy – przy naszych stratach dwóch zabitych, jednym rannym (biorąc pod uwagę nasz pluton) – z walki ok. 30 Niemców.

Niemcy wspominający powstanie mówią często o brawurze polskich żołnierzy.

Ja z Niemcami stykałem się tylko na odległość strzału, nie prowadziłem z nimi żadnych konwersacji, więc trudno powiedzieć mi, jakimi byli ludźmi. Zresztą moim zadaniem było polowanie na niemieckich snajperów. A ci, z którymi zetknąłem się, gdy dostali się do polskiej niewoli, to już byli nagle bardzo pokorni.

Udział żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych w powstaniu warszawskim jest mało znany. Ba, niektórzy historycy, głównie lewicowych poglądów, twierdzą, że w czasie walk na ulicach stolicy narodowcy mordowali Żydów.

Bzdura. Straszliwe, nieprawdziwe kłamstwo. Przede wszystkim trzeba

podkreślić, że dowództwo NSZ w powstaniu warszawskim, choć zachowało własną strukturę organizacyjną, było taktycznie podporządkowane kierownictwu Armii Krajowej. Wreszcie, że większość z NSZ-owców była na froncie od początku powstania do jego zakończenia, czyli całe 63 dni. Ja sam z kolegami odgrywaliśmy rolę osłonową już po upadku powstania, opuszczaliśmy Warszawę jako jedni z ostatnich. Mam nadzieję, że czas i historycy młodego pokolenia, wolni już od postkomunistycznych naleciałości, odkryją prawdę i przekażą ją opinii publicznej. A co do Żydów: przecież oni walczyli często w naszych oddziałach, u naszego boku. Wróg był jeden – Niemiec. I nie liczyło się, że ktoś jest Żydem czy Polakiem, ważne było, by bić wroga. W mojej ocenie najwięcej Polaków pochodzenia żydowskiego znajdowało się na Starym Mieście; mam tu na myśli więźniów z Gęsiówki, którzy dołączyli do Brygady Dyspozycyjnej Zmotoryzowanej i pomagali np. przy budowie barykad lub transporcie żywności. Oczywiście czytałem w jednej z gazet, jakoby na Starówce nasi żołnierze mordowali Żydów, ale to stek bzdur niemający żadnego uzasadnienia i zdementowany przez uznanych historyków. U mnie w plutonie był jeden Żyd, bardzo dzielny żołnierz. Był lubiany, wszyscy okazывali mu sympatię. Niestety nie przeżył wojny. Może gdyby pozostał w oddziale, ocalałby, ale w pewnym momencie przeszedł do pracy w PAP-ie i zginął jako korespondent wojenny. Odważny człowiek.

A ludność cywilna w Warszawie? Jak reagowała na wybuch powstania i jego przebieg?

Boleję nad każdą śmiercią niewinnego człowieka. Ale to też nie jest tak, że warszawiacy powstania nie chcieli. Przecież gros uczestników walk na ulicach stolicy to byli młodzi ludzie, cywile, bez większego przeszkolenia bojowego, którzy rwali się, by bić Niemca, by mścić się za swoich ojców, za bliskich, bo wierzyli w wolną Polskę. I taki duch był widoczny wśród cywilów, mieliśmy w nich duże wsparcie, dzielili się tym, co sami mieli, dbali o nas. Niestety z tygodnia na tydzień, kiedy okazywało się, że to straceńcza walka, że nie wyzwolimy Warszawy, ta wiara w sens powstania przygasła. Nasiliły się niemieckie zbrodnie, terror, zastraszanie. Bywały przypadki, że chcąc zatrzymać się na podwórzu którejś z kamienic, słyszeliśmy: „Idźcie stąd!”, „Wynocha!”. Mogło być mi tylko przykro. Ale wielu ludzi chciało po prostu przetrwać. Przecież – mówiłem o tym w rozmowie z historykami z Muzeum Powstania Warszawskiego – po upadku powstania, kiedy opuszczaliśmy stolicę, patrolowaliśmy i sprawdzaliśmy budynki, wtedy znajdowaliśmy w nich pozostawione przez rodziny niedołączone kobiety: mamy czy babcie, oraz inwalidów. To bardzo bolesne wspomnienie.

Walka o wolną Polskę skończyła się dla pana aresztowaniem przez UB i ośmioma latami więzienia w celi więzienia we Wronkach.

Ubecy przyszli po mnie nocą z 12 na 13 grudnia 1946 r. Nie spodziewałem się wówczas, że do domu wrócę dopiero po latach. Niczego nie żałuję. ©©



PARASOL HISTORII

WSPOMNIENIE '44

PARTNER PROGRAMU:



Muzeum
Powstania
Warszawskiego

ORGANIZATOR:

MASPEX



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Amerykanin w Polsce Ludowej

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że „CzasyPismo” jest najlepszym, najciekawszym periodykiem wydawanym obecnie przez Instytut Pamięci Narodowej. Nowy, kapitalny numer całkowicie potwierdza tę opinię. Przeczytałem go od deski do deski i niemal każdy artykuł zrobił mi wielką frajdę.

O czym piszą autorzy „CzasyPisma”? O historii Górnego Śląska. I robią to w sposób niezwykle fachowy i z olbrzymim wyczuciem. Ukazują całe skomplikowane dzieje tego wielonarodowego, wieloreligijnego regionu. I tragiczne losy jego mieszkańców – Ślązaków, Polaków, Niemców, Żydów. „CzasyPismo” pozwala spojrzeć na historię Śląska nie z perspektywy Warszawy, ale z perspektywy Gliwic, Katowic, Zabrze, Chorzowa czy Jastrzębia. I to jest chyba najmocniejszą stroną tego periodyku. To właśnie to sprawia, że z niecierpliwością czekam na każdy kolejny numer.

Wnajnowszym numerze najciekawsze są dwa teksty – autorstwa Piotra Fuglewicza i Mirosława Sikory – na temat Harolda Webba. Kim był

Webb? Amerykańskim żołnierzem, który dostał się do komunistycznej niewoli podczas wojny koreańskiej. W chińskim obozie jenieckim przeszedł „pranie mózgu” i został komunistą. Odciał się od swojej „faszystowskiej i imperialistycznej” ojczyzny.

Dlaczego historia Webba znalazła się w piśmie o Górnym Śląsku? Dlatego że Webb na studiach w Pekinie poznał młodą polską studentkę. Para zawarła ślub i na początku lat 60. przyjechała do Katowic. Amerykanin na Śląsku spędził 25 lat! Został członkiem PZPR i lektorem języka angielskiego. Komunizmem rozczarował się dopiero podczas stanu wojennego. Do USA wrócił w latach 80.

Są trzy teorie dotyczące Webba.

- 1) Chciał wyrwać się z komunistycznych Chin i dlatego poderwał Polkę.
- 2) Był agentem chińskich służb, który miał prowadzić działalność szpiegowską na terenie PRL.
- 3) Od samego początku był agentem amerykańskim, a jego „nawrócenie” na komunizm było tylko kamuflażem.



★★★★★
ADAM DZIUROK
(RED.)
„CZASYPIŚMO”
2/2018
IPN

Która teoria jest prawdziwa? Aby się dowiedzieć, muszą państwo sięgnąć po „CzasyPismo”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Przed Godziną „W”

Powstanie warszawskie wybuchło kilka tygodni za wcześnie, ewentualnie kilkanaście dni za późno. W połowie lipca wśród Niemców zapanowała bowiem panika, a przez miasto przetaczały się transporty z rozbitymi przez Sowietów oddziałami Wehrmachtu. Dworce kolejowe blokowały pociągi z rannymi, ewakuowano urzędy i zakłady przemysłowe. W popłochu opuszczali stolicę rodziny niemieckich oficerów i urzędników, a zamęt powiększały jeszcze informacje o nieudanym zamachu na Hitlera. Wydawało się, że lada chwila miasto będzie wolne.

Niestety, właściwy moment minął, hitlerowcy opanowali sytuację, a w pobliżu miasta pojawiły się dwa doborowe niemieckie korpusy pancerne. 25 lipca pod Radzyminem rozpoczęła się bitwa, w której wyniku sowiecka ofensywa została powstrzymana.

Chociaż Naczelný Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, uważał, że „powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu, mogącym za sobą pociągnąć niepotrzebne ofiary”, to jednak w Warszawie dojrzało przekonanie o konieczności walki. Dowódcy podziemia ignorowali upomnienia Sosnkowskiego, twierdząc, że „to oni będą się bili, więc oni muszą decydować”. Zdecydowano się wypowiedzieć posłuszeństwo „starym sklerotykom

z Londynu” i zignorowano zalecenia mówiące o „zaoszczędzeniu substancji biologicznej narodu w obliczu podwójnej groźby eksterminacji”.

Generał Leopold Okulicki („Niedźwiadek”), zastępca dowódcy Armii Krajowej, twierdził, że „potrzebny jest czyn” i że „tylko przez walkę można wykazać dążenie narodu do wolności i niepodległości”. Uważał, że mury stolicy muszą „walić się”, a „krew lać się strumieniami, aż opinia publiczna wymusi na rządach zmianę decyzji z Teheranu”. Presji Okulickiego ulegał komendant główny AK, gen. Tadeusz Komorowski („Bór”), człowiek o słabym charakterze, którego kompetencje „ograniczały się do umiejętności dowodzenia pułkiem kawalerii”. Mimo że w połowie lipca Komorowski uważał, iż „powstanie nie ma szans powodzenia”, ostatecznie zgodził się z Okulickim.

Zwolennikiem walki zbrojnej był również płk Antoni Chruślicki („Monter”) – komendant okręgu warszawskiego AK. Podobne zdanie miał szef sztabu Komendy Głównej, gen. Tadeusz Pełczyński („Grzegorz”). Przejawiał on zresztą zadziwiającą beztroskę i zapytany, co się stanie, jeżeli Sowietci się zatrzymają, odpowiedział: „No to Niemcy nas wyrzną”. I niestety tak się stało, chociaż nie dotyczyło to dowództwa AK, które bez strat przetrwało rzeź miasta i jego mieszkańców. ©©

SZTAFETA POKOLEŃ CZ. II

— AKCJA DLA DZIECI Z DOMÓW DZIECKA —



Sztafeta Pokoleń to międzypokoleniowy projekt kierowany do dzieci z Domów Dziecka w całej Polsce.

Ogólnopolski konkurs plastyczny: **"Polska Moja Ojczyzna"**
Lekcje historii z udziałem Powstańców Warszawskich i Żołnierzy Niezłomnych oraz Grup Rekonstrukcji Historycznych w wybranych placówkach w całym kraju.

Pragniemy, aby dzieci poznawały historię prawdziwych Bohaterów i brały z Nich przykład.

Projekt organizowany przez Fundację Red is Bad.

Partnerami Projektu są: Fundacja BGK, Fundacja KGHM Polska Miedź, Fundacja LOTTO, Fundacja ORLEN-DAR SERCA, Fundacja PKO Banku Polskiego.

ORGANIZATOR

RED IS BAD™
FUNDACJA

AKCJA WSPIERANA PRZEZ

FUNDACJA
BGK

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ

FUNDACJA
LOTTO
(OL. H. KONOPACKI)

FUNDACJA
ORLEN
DAR SERCA



Fundacja

PATRON MEDIALNY

DO
RZECZY

FUNDACJA RED IS BAD

UL. JAGIELLOŃSKA 69, 03-303 WARSZAWA

eprasa.pl 09394923e0

*Historia wydobycia ropy i gazu
w II Rzeczypospolitej*

Polska naftowym potentatem

- II RP CZOŁOWYM
PRODUCENTEM ROPY
NAFTOWEJ
- JAK ZOSTALIŚMY
GAZOWĄ POTĘGĄ
- POLMIN – PERŁA
POLSKIEGO PRZEMYSŁU

FOT. NAC

Partnerzy raportu:



Polska liderem światowego rynku

Blisko sto lat temu byliśmy czołowym producentem ropy naftowej. W 1922 r. co trzecia baryłka ropy wydobywana w Europie poza Związkiem Sowieckim pochodziła właśnie z naszego kraju

Przed wybuchem I wojny światowej Galicja była jednym z największych ośrodków wydobycia ropy naftowej na świecie. Jak bowiem pisaliśmy w poprzednim odcinku tego dodatku („Do Rzeczy” nr 26/2019), na długo zanim pierwsi Arabowie zaczęli za petrodolary zamieniać wielbłądy na sportowe samochody, polskie ziemie pod zaborami ogarnęła prawdziwa gorączka czarnego złota. To na nasze ziemie zjeżdżali między narodowi inwestorzy, fabrykanci, zdolni inżynierowie, a także żądni szybkiego zarobku pracownicy kopalń najróżniejszych narodowości. W okolicach Borysławia i Drohobycza wyrósł więc las naftowych szybów, a w rekordowym 1909 r. w Galicji wydobyto ponad 2 mln ton ropy.

Tuż po zakończeniu wojny zaplecze techniczne i wyposażenie ośrodków naftowych w bogatym w złoża galicyjskim zagłębiu naftowym, które znalazło się w granicach odrodzonej Polski, zostały

jednak doszczętnie zrujnowane. W trakcie wojny ogromne straty wyrządzili Rosjanie, którzy wycofując się z tych terenów w 1915 r., podpalili szyby naftowe, a następnie Niemcy i Austriacy, którzy z galicyjskich złóż czerpali ropę na potrzeby działań wojennych. Już po wojnie kontrolę nad ośrodkami naftowymi przejęli z kolei Ukraińcy, którzy zajmowali tereny wschodniej Małopolski aż do wyparcia ich na wiosnę 1919 r. przez oddziały polskiej armii. Niezakłócona produkcja ropy możliwa była dopiero po 1920 r., po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej.

Mimo wyniszczenia gospodarki spowodowanego I wojną światową oraz wyczerpywania się złóż przemysł naftowy w II Rzeczypospolitej odradzał się w szybkim tempie. Bogate w pokłady ropy ziemie przedwojennej Galicji zapewniły międzywojennej Polsce wysoką pozycję w Europie w dziedzinie produkcji ropy. Chociaż czasy największej świetności

zagłębia przypadły na koniec pierwszej dekady XX w., to produkcja ropy z roku 1922 r. wynosiła 705 tys. ton, stawała się zaledwie jedną trzecią wydobycia odnotowanego w rekordowym 1909 r., i tak pozwalała II RP zająć trzecie miejsce na Starym Kontynencie. Największym producentem ropy był wtedy Związek Sowiecki, który wydobywał 4 mln ton rocznie, więcej niż Polska wydobywała także Rumunia (1,17 mln ton).

Pomimo względnie wysokiego poziomu wydobycia zyski branży naftowej nie zasyłały jednak istotnie budżetu młodego państwa polskiego. Po wojnie niemieckie i austriackie przedsiębiorstwa wydobywające ropę w Galicji znalazły się bowiem w ramach reparacji w rękach zwycięzców konfliktu. Duża część dochodów tych firm szerokim strumieniem płynęła więc za granicę. Miejsce dawnych austro-węgierskich i niemieckich spółek zajmowały nowe przedsiębiorstwa: francuskie, amerykańskie, austriackie i mieszane. Firmy, w których dominował kapitał krajowy, stanowiły mniejszość.

INWESTYCJE ROCKEFELLERA

Bogate złoża podkarpackie zresztą już od czasu „gorączki czarnego złota”, zapoczątkowanej w 1853 r. przez wynalazek Ignacego Łukasiewicza i Jana Zeha – polscy wynalazcy otrzymali wówczas naftę metodą frakcjonowanej destylacji – znajdowały się w centrum zainteresowania kapitału zagranicznego. Inwestowali w nie Francuzi, Amerykanie, Szwedzi czy Belgowie. Znanymi

ROPA NAFTOWA I GAZ NA ZIEMIACH POLSKICH

XV w. – wzmianki o oleju skalnym w Polsce w zapiskach Jana Długosza.

1530 r. – olej skalny zalewa kopalnię złota założoną przez Seweryna Bonara, podskarbiego króla Zygmunta Starego, we wsi Ropa pod górą Chełm w Beskidzie Niskim. Wydarzenie to komentowano powiedzeniem: „Ten, co w Ropie złota szukał, smołą się opłukał”.

1810 r. – w galicyjskim Drohobyczu wydano pierwszy Dekret Zjednoczonej Izby Nadwornej, nadający uprawnienia górnicze na olej skalny i smołę ziemną.

1844 r. – na warszawskim pl. Zamkowym i na terenie

Uniwersytetu Warszawskiego w ramach próby ustawiono pierwsze, zasilane z butli gazowych latarnie.

1852 r. – we wsi Siary pod Gorlicami powstaje „Staniśław” – pierwszy, wykopany ręcznie szyb naftowy na świecie. Ma 22 m głębokości. Daje początek wydobyciu ropy na skalę przemysłową w kopalni założonej przez Stanisława księcia Jabłonowskiego.

1852 r. – Ignacy Łukasiewicz wraz z Janem Zehem dokonują we Lwowie pierwszej w historii destylacji ropy naftowej, otrzymując czystą naftę.



1853 r. – z inicjatywy namiestnika Królestwa Polskiego powołany zostaje Komitet Gazowy.

30 marca 1853 r. – w oknie wystawowym lwowskiej apteki Pod Żółtą Gwiazdą zapłonę-

ła pierwsza lampa naftowa zaprojektowana przez Ignacego Łukasiewicza i wykonana przez lwowskiego blacharza Andrzeja Bratkowskiego.

31 lipca 1853 r. – we lwowskim szpitalu na Łyczakowie

potentatami naftowymi w Polsce byli na przykład pochodzący z rodziny szwedzkich przemysłowców bracia Nobel, bliscy krewni fundatora najśłynniejszej nagrody świata. W 1920 r. część polskiej firmy braci Nobel kupiła z kolei spółka Standard Oil Company (obecnie funkcjonująca jako ExxonMobil, jeden z największych koncernów paliwowych na świecie) należąca do słynnego amerykańskiego multimilionera Johna D. Rockefellera.

Amerykanie jeszcze przed wybuchem I wojny światowej zbudowali wielką rafinerię w Czechowicach. W okresie międzywojennym postanowili o przeniesieniu swojego przedstawicielstwa z Budapesztu do Polski. Utworzona z połączenia amerykańskiego i szwedzkiego kapitału firma Standard-Nobel dysponowała więc ogromnym budżetem, który umożliwiał jej przeznaczanie ogromnych sum na poszukiwania nowych złóż. Wykonanie pojedynczego odwiertu kosztowało bowiem wówczas, w zależności od głębokości, od 80 do 100 tys. dol. i trwało ponad dwa lata. Rockefeller wytwarzał w Polsce ponad 60 tys. ton ropy rocznie, wydobywanej z 60 szybów, w tym kilkunastu wierconych. Za ich sprawą w Polsce pojawiły się pierwsze uliczne stacje benzynowe, zwane wtedy pompami. Wcześniej posiadacze samochodów benzynę kupowali prosto z cysterny, w sklepach chemicznych lub w aptekach. Pierwsze dystrybutory paliw ustawiono w Warszawie w 1924 r. oraz rok później w Poznaniu, na pl. Wolności. Do końca lat 20. XX w. powstało w sumie ponad 300 tego rodzaju pomp. Benzyna

dostarczana do dystrybutorów z szyldem Standard–Nobel Polska produkowana była z ropy wydobywanej w największym polskim ośrodku naftowym: Zagłębiu Borysławsko-Drohobyckim.

Cudzoziemcy inwestujący w polską ropę omijali barierę, którą dla polskich przedsiębiorstw w dwudziestolecie międzywojennym stanowił dostęp do rynków zbytu. Z komunistyczną Rosją handel był bardzo ograniczony, a byłe kraje monarchii Habsburgów o wiele chętniej kupowały ropę rumuńską, amerykańską, sowiecką, a nawet perską.

Polska natomiast eksportowała olej skalny – jak wówczas potocznie mówiono o ropie naftowej – i jego produkty do Skandynawii, państw bałtyckich, a także Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i Hiszpanii. W latach 30. XX w. głównymi odbiorcami polskich produktów naftowych były: Czechosłowacja (z udziałem 43,3 proc. eksportu) i Wolne Miasto Gdańsk. W Wolnym Mieście Gdańsku, które na mocy unii celnej z Polską kupowało produkty naftowe z przeznaczeniem na reeksport, działało kilka firm pośredniczących między polską branżą naftową a zagranicznymi odbiorcami. Spektakularnym efektem tych kontaktów handlowych było uruchomienie połączeń lotniczych na trasie Borysław–Lwów–Warszawa–Gdańsk obsługiwanych przez utworzoną do tego celu spółkę o nazwie Polska Linia Lotnicza Aerolloyd. Firma ta w 1925 r. została przekształcona w spółkę akcyjną Polska Linia Lotnicza Aerolot i spolonizowana, a następnie w 1926 r.

W Warszawie pierwszą uliczną stację benzynową uruchomiono w 1924 r. FOT. NAC



weszła w strukturę Polskich Linii Lotniczych LOT.

PAŃSTWOWY GIGANT

Jak podaje Jan Fryc w publikacji „Przedsiębiorstwa i kapitały w polskim przemyśle naftowym”, suma kapitału zakładowego wszystkich przedsiębiorstw naftowych w Polsce w 1930 r. wynosiła ponad 314 mln zł, w tym 242 mln zł

ROPA NAFTOWA I GAZ NA ZIEMIACH POLSKICH

dr Józef Zaorski ratuje życie Władysławowi Choleckiemu, przeprowadzając pierwszą operację przy świetle lampy naftowej konstrukcji Łukasiewicza. Zabieg wycięcia wyrostka zakończył się pełnym sukcesem, o czym poinformowały wszystkie gazety w Galicji, napędzając klientów Łukasiewiczów.

2 grudnia 1853 r. – Jan Zeh wraz z Ignacym Łukasiewiczem zgłaszają w Wiedniu swój wynalazek i otrzymują patent.

1854 r. – Ignacy Łukasiewicz buduje w Bóbrce koło Krosna pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej. Obecnie znajduje się tam Muzeum Przemysłu

Naftowego i Gazowniczego im. Ignacego Łukasiewicza. Na jego terenie do dzisiaj działają szyby naftowe.

1856 r.

– w Ulaszowicach koło Jasła powstaje pierwszy zakład destylacji ropy naftowej;

– na ul. Ludnej na Solcu rozpoczynają się budowa pierwszej warszawskiej gazowni i układanie infrastruktury pod ulicami miasta.

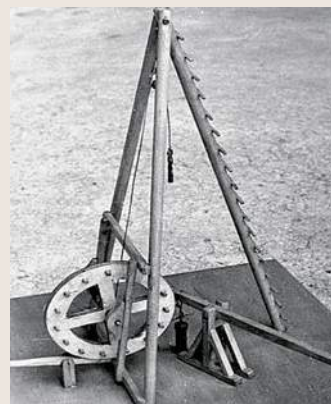
grudzień 1856 r. – warszawskie ulice rozświetlają 92 latarnie gazowe.

1859 r. – hrabina Jadwiga Straszewska buduje w Lipinkach rafinerię naftową, która jako

pierwsza w Galicji produkuje parafinę, eksportowaną do Anglii, Belgii, Holandii, Niemiec, Szwecji i Francji.

1859 r. – Edwin Drake, były konduktor kolejowy, zbudował pierwszy szyb naftowy na farmie w Pensylwanii w Stanach Zjednoczonych i na głębokości 21 m dowiercił się do ropy. Wojna secesyjna sprawiła, że popyt na produkty naftowe był ogromny, Amerykę opanowała więc „gorączka nafty”. W latach 60. XIX w. ropę naftową zaczęto eksploatować w Baku, a także w Kanadzie i w Rumunii.

1862–1866 – inż. Henryk Walter wprowadza w kopalni



Bóbrka, należącej do Ignacego Łukasiewicza, technikę i urządzenia do ręcznego wiercenia udarowego z zastosowaniem



stanowił kapitał zagraniczny. Dominowali Francuzi z udziałem na rynku naftowym na poziomie 50,3 proc.

Do największych naftowych spółek prywatnych okresu międzywojnia należała między innymi Galicyjskie Karpacie Naftowe Towarzystwo Akcyjne z kapitałem francusko-austriackim wartym blisko 48 mln zł, Galicyjskie Towarzystwo Naftowe „Galicja” z kapitałem francuskim,

austriackim i polskim o wartości 36 mln zł czy pozostający w rękach Francuzów ogromny koncern Małopolska.

Największym rodzimym przedsiębiorstwem naftowym była Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych Polmin z siedzibą w Drohobyczu. Formalnie powstała po przejęciu przez rząd Polski austriackiej, a następnie ukraińskiej odbenzyniarni w 1919 r. Najpierw podlegała zarządowi

Państwowego Urzędu Naftowego, a następnie Głównej Dyrekcji Państwowych Zakładów Górniczo-Hutniczych, zarządzanych przez Departament Górniczo-Hutniczy w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W 1927 r., na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów, Polmin został znacjonalizowany i tworzył struktury Syndykatu Przemysłu Naftowego, który jako narzędzie organizujące wewnętrzny oraz zagraniczny handel ropą i jej pochodnymi miał być receptą na sukces polskiego kapitału w branży naftowej. Fundusz zakładowy przedsiębiorstwa należącego w całości do Skarbu Państwa został wówczas wyceniony na kwotę blisko 28,5 mln zł. Firma zarządzała zarówno zagłębiem naftowym, jak i gazowym oraz produkowała ok. 135–150 tys. ton produktów naftowych rocznie. Posiadała najnowocześniejszą i największą w ówczesnej Europie rafinerię oraz słynęła z zapewniania robotnikom wysokich pensji i wyjątkowo atrakcyjnych warunków socjalnych.

NAFTOWE SERCE POLSKI

Rafineria Polminu działała w najważniejszym na naftowej mapie Polski miejscu – w Borysławsko-Drohobyckim Zagłębiu Naftowym w woj. lwowskim. Tuż przed wybuchem II wojny światowej pod względem obszaru „kresowe trójkąto” (Truskawiec, Drohobycz, Borysław) było jednym z największych, obok Warszawy i Łodzi, obszarów miejskich w Polsce. Jak podkreśla prof. Stanisław Niciej, autor książki „Kresowe trójkąto”, z tego

ROPA NAFTOWA I GAZ NA ZIEMIACH POLSKICH

nożyc wolnospadowych Fabiana.

1872 r. – sprowadzony do kopalni Bóbrka przez Łukasiewicza Albert Fauck zastąpił ręczne wiercenie udarowe wierceniem maszynowym o napędzie parowym, znacznie eliminującym wysiłek ludzki i umożliwiającym wiercenia do głębokości 240 m.

1896 r.

– polski wynalazca i inżynier Wacław Wolski jako pierwszy opracowuje wykorzystanie sprężonego gazu do wydobycia ropy;

– po raz pierwszy w Polsce gaz ziemny zostaje wykorzysta-

ny do zasilania kotłowni przy kopalni ropy naftowej w Schodnicy.

1902 r. – Wacław Wolski konstruuje tzw. wiertniczy taran hydrauliczny, metodę wykorzystującą wodę do poruszania świdra, nazywaną „polską kanadyjką”, umożliwiającą wykonywanie głębokich na 100 m odwiertów.

1909 r. – produkcja ropy w ówczesnej Galicji osiągnęła 2,076 mln ton, plasując się na trzecim miejscu w świecie, po Rosji i Stanach Zjednoczonych.

1912 r. – w Borysławiu powstaje pierwszy, długi na 12 km gazociąg, który przesyła

gaz ziemny ze złóż do pierwszej w Europie gazoliniarni (zakładu, w którym oddziela się gazolinę z gazu ziemnego) oraz rafinerii ropy naftowej.

1914–1918 – I wojna światowa ukazuje, jak ważny jest dostęp do ropy naftowej w prowadzeniu działań wojennych. Dostęp do złóż staje się priorytetem dla światowych mocarstw.

lata 20. XX w. – gazociągi wykorzystywane są do dostaw gazu ziemnego do miast leżących w pobliżu złóż.

1924 r. – w Warszawie zostaje uruchomiona pierwsza w Polsce uliczna stacja benzynowa.

1928 r. – założona przez Władysława Szaynoka spółka Międzyzmiastowe Gazociągi połączona ze spółką Gazolina buduje 82-kilometrowy gazociąg łączący Daszawę z Lwowem. Gazem zasilane są lwowska elektrownia i sieć dystrybucyjna.

1932 r. – firma Gazolina „gazyfikuje” Gdynię.

1933 r. – pierwsze w Polsce wykorzystanie gazu ziemnego jako surowca chemicznego do syntezy amoniaku ma miejsce w Państwowej Fabryce Związków Azotowych w Tarnowie.

koniec lat 30. XX w. – budowa gazociągów do Centralnego

regionu pochodziło 70 proc. ropy wydobywanej w Polsce, a w samym Borysławiu na przestrzeni 15 km znajdowało się 1,3 tys. otworów wiertniczych.

Krajobraz zagłębia był pełen kontrastów – w Borysławiu w dzień można było zobaczyć zalane czarną mazią pola usłane wieżami szybów, które w nocy migotały tysiącami świateł. W zabytkowym Drohobyczu sąsiadowały ze sobą zarówno nędzne lepianki przybyłych w pogoni za czarnym złotem pechowców, jak i stawiane za naftowe pieniądze okazałe wille. Wydobywanie ropy przynosiło pieniądze, za które budowano szkoły, parki, biblioteki, stadiony, pływalnie i kościoły. Mieszkańcami zagłębia już od czasu Austro-Węgier byli nie tylko Polacy, lecz także Żydzi, Ukraińcy i przedstawiciele innych narodowości szukający szczęścia w interesach. Region stał się również prawdziwym zagłębiem artystycznym. Tutaj dojrzewały talenty m.in. Brunona Schulza i Kazimierza Wierzyńskiego.

TRUSKAWIEC JAK SAN REMO

Bogaci nafciarze lubili spędzać wolny czas w pobliskim Truskawcu, który był drugim po Krynicy najczęściej odwiedzany (i jednocześnie najdroższym) kurortem turystycznym w kraju. Zaplecze uzdrowskie tej miejscowości powstało na obrzeżach zagłębia dzięki zyskom z ropy i wodzie mineralnej o licznych zastosowaniach leczniczych. Finansjera i bohema artystyczna zjeżdżały więc do Truskawca, aby wypocząć i popijać Naftusie o obrzydliwym zapachu, która ponoć jednak znakomi-

cie leczyła kamienie nerkowe, bóle wątroby, choroby przewodu pokarmowego i nieżyty dróg oddechowych. Zdrojowe wille, pensjonaty i hotele w trakcie sezonu przyjmowały nawet ok. 20 tys. kuracjuszy. Na truskawieckich deptakach można było spotkać sławy polskiej estrady, kina, sportu i polityki, a parkingi zastawione były luksusowymi autami, wśród których błyszczały ekskluzywne amerykańskie packardy, włoskie lancia, niemieckie daimlery i francuskie bugatti.

Przedstawiciele elit rywalizowali na kortach tenisowych i kąpali się w potężnym basenie-jeziorze na Pomiarkach. Olbrzymi basen solno-siarkowy był dumą uzdrowiska. Miał 6,4 tys. mkw., a wzdłuż jego brzegu znajdowały się urządzenia do treningu wioślarzy i gimnastyków, kabiny prysznicowe, wypożyczalnie łódek, kajaków i rowerów wodnych. Płaze kąpieliska usypiano z przywiezionego z nad Bałtyku piasku. Wytworne życie zdrojowego miasta toczyło się w rytmie podobnym do tego w Cannes, San Remo czy w innych ówczesnych kurortach.

KRES POTĘGI

Lata 30. XX w. przyniosły ogromne zapotrzebowanie na surowce naftowe, wywołane rozwojem motoryzacji, masową produkcją lokomotyw, okrętów i samolotów napędzanych ropą. Producenti na całym świecie poszukiwali kolejnych złóż. Jednocześnie wysokie płace i wydatki socjalne powodowały rosnące koszty i zmniejszały zyski nafto-

wych firm. Eksploatujące wyczerpujące się podkarpackie złoża zagraniczne przedsiębiorstwa nie chciały inwestować w szukanie nowych pokładów ropy w Polsce, zwłaszcza że na całym świecie codziennie odkrywano wiele bardziej zasobnych i dogodnych miejsc do budowy wielkich pól naftowych.

Polskie eldorado zaczęło tracić na znaczeniu w obliczu rosnącej konkurencji innych państw, jednocześnie krajowe zapotrzebowanie na ropę nie było w stanie wchłonąć nadwyżek produkcyjnych rodzimych przedsiębiorstw. W latach 1922–1938 wydobywanie ropy w Rumunii wzrosło sześciokrotnie – do 6,6 mln ton rocznie. Bogaty w złoża Związek Sowiecki zwiększył produkcję aż siedmiokrotnie – do 28,9 mln ton. W tym czasie w II RP wydobywanie ropy spadło do 507 tys. ton, czyli do jednej czwartej w porównaniu z rekordowym rokiem 1909. Polska została w produkcji ropy wyprzedzona przez Niemcy i znalazła się na czwartym miejscu w Europie.

Utratę znaczenia polskiego zagłębia naftowego ostatecznie potwierdziło zaniechanie przygotowania obrony przeciwlotniczej dla kresowego trójmiasta w obliczu zbliżającej się wojny z Niemcami. Agresorzy bezwzględnie wykorzystali tę sytuację we wrześniu 1939 r., przeprowadzając serię nalotów, które zrównały z ziemią infrastrukturę zagłębia i położyły ostateczny kres naftowej potędze Polski. Tereny te zostały następnie zajęte przez Sowieców. Po wojnie wszystkie ocalałe kopalnie naftowe i rafinerie zostały zaś znacjonalizowane.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

ROPA NAFTOWA I GAZ NA ZIEMIACH POLSKICH



FOT. BN

Określu Przemysłowego zasilających gazem ziemnym zakłady przemysłowe w tym rejonie.

1960 r. – rozpoczęcie budowy pierwszej nitki polskiego odcinka rurociągu naftowego „Przyjaźń” – największego na świecie systemu rurociągów,

łączącego Syberię i Europę Środkową.

17 kwietnia 1972 r. – rozpoczęcie budowy rafinerii naftowej w Gdańsku, obecnie Grupa LOTOS SA. Budowa gdańskiej rafinerii, wraz z Naftoportem, była pierwszą inwestycją w okresie PRL realizowaną według zachodnich licencji oraz najnowszymi technologiami, kierowaną przez zachodnią firmę – włoskie Snamprogetti.

12 grudnia 1975 r. – gdańska rafineria, jedna z najnowocześniejszych w Europie, uzyskuje pierwsze produkty: benzynę, naftę i oleje napędowe.



FOT. GRUPA LOTOS SA

1976 r. – powstaje Zjednoczenie Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, późniejsze Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG).

czerwiec 2006 r. – do Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu przybywa pierwszy komercyjny ładunek skroplonego gazu ziemnego z Kataru.

sierpień 2012 r. – gaz ziemny staje się wyłaczającym paliwem zasilającym gdańską rafinerię.

2017 r. – polscy inżynierowie i chemicy udoskonalają innowacyjną metodę oczyszczenia oleju UCO – frakcji parafinowej (UcoPure). To jeden z kilku projektów realizowanych przez LOTOS, który nie ukrywa chęci zajęcia wiodącej pozycji w dziedzinie badań nad biopaliwami. Innym ważnym projektem jest HESTOR, którego celem jest opracowanie technologii magazynowania energii w postaci wodoru i wykorzystania go w procesach rafineryjnych.

Polska gazowym królem

Do połowy lat 20. XX w. Polska była europejskim liderem w wydobyciu gazu, długo niedocenianego towarzysza czarnego złota. Za czasów II Rzeczypospolitej wydobywano 535 mln m sześć. błękitnego paliwa, czyli ponad połowę całej europejskiej produkcji

Mieszkańcy Polski, na której ziemiach jeszcze za czasów zaborów Ignacy Łukasiewicz po raz pierwszy wydestylował naftę i w Bóbrce koło Krosna zbudował pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej, wyprzedzili czasy i rozpoczęli produkcję, na długo zanim naftowy boom na dobre ogarnął cały świat. Gdy więc po I wojnie światowej wydobycie ropy systematycznie spadało, a Polska straciła miejsce w pierwszej trójce największych producentów czarnego złota w Europie, coraz więcej inwestorów zaczęło skupiać się na surowcu, który często towarzyszył złożom ropy oraz węgla kamiennego.

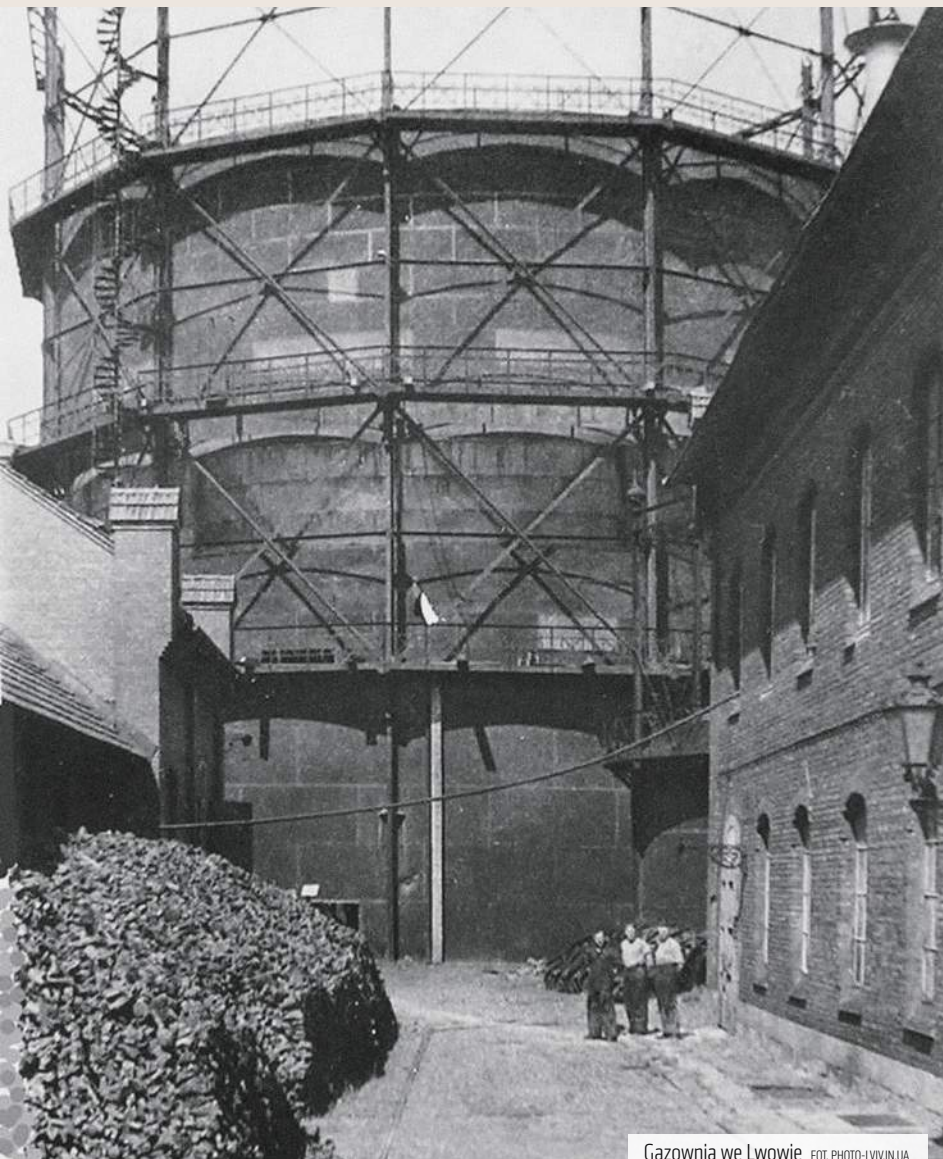
PIERWSZE GAZOWNIE

Początkowo gaz ziemny, zwany też naftowym, wydawał się dużo mniej atrakcyjnym surowcem od ropy. Miał bowiem o wiele mniejsze zastosowanie niż czarne złoto. Traktowano go więc jako kłopotliwy dodatek powstający przy wierceniach w poszukiwaniu ropy.

Mimo to bezwonne błękitne paliwo – którego spalanie jest o wiele mniej szkodliwe dla środowiska niż spalanie ropy czy węgla – na ziemiach polskich zaczęło być komercyjnie wykorzystywane jeszcze w drugiej połowie XIX w. Pod koniec lat 50. na warszawskim Powiślu przy ul. Ludnej zbudowano pierwszą gazownię, dzięki której bogaci mieszkańcy Warszawy mogli oświetlać mieszkania gazem, zwanym świetlnym lub gazem miejskim. W Krakowie pierwsze lampy zasilane gazem produkowanym przy ul. Gazowej zapłonęły w grudniu 1857 r. We Lwowie pierwsza gazownia powstała zaś w roku 1858.

Dzięki temu wielkie polskie miasta dołączyły do światowych metropolii, które przeszły na oświetlenie gazowe. Wcześniej warszawskie, krakowskie czy lwowskie ciemności rozświetlały lampy np. na olej rzepakowy. Zostanie klientem gazowni nie było jednak wcale łatwe. Na przykład w Krakowie, aby móc prywatnie korzystać z gazu świetlnego nie tylko do oświetlenia mieszkania, lecz także do gotowania na gazie, trzeba było wysłać gospozię do gazowni na specjalne szkolenie.

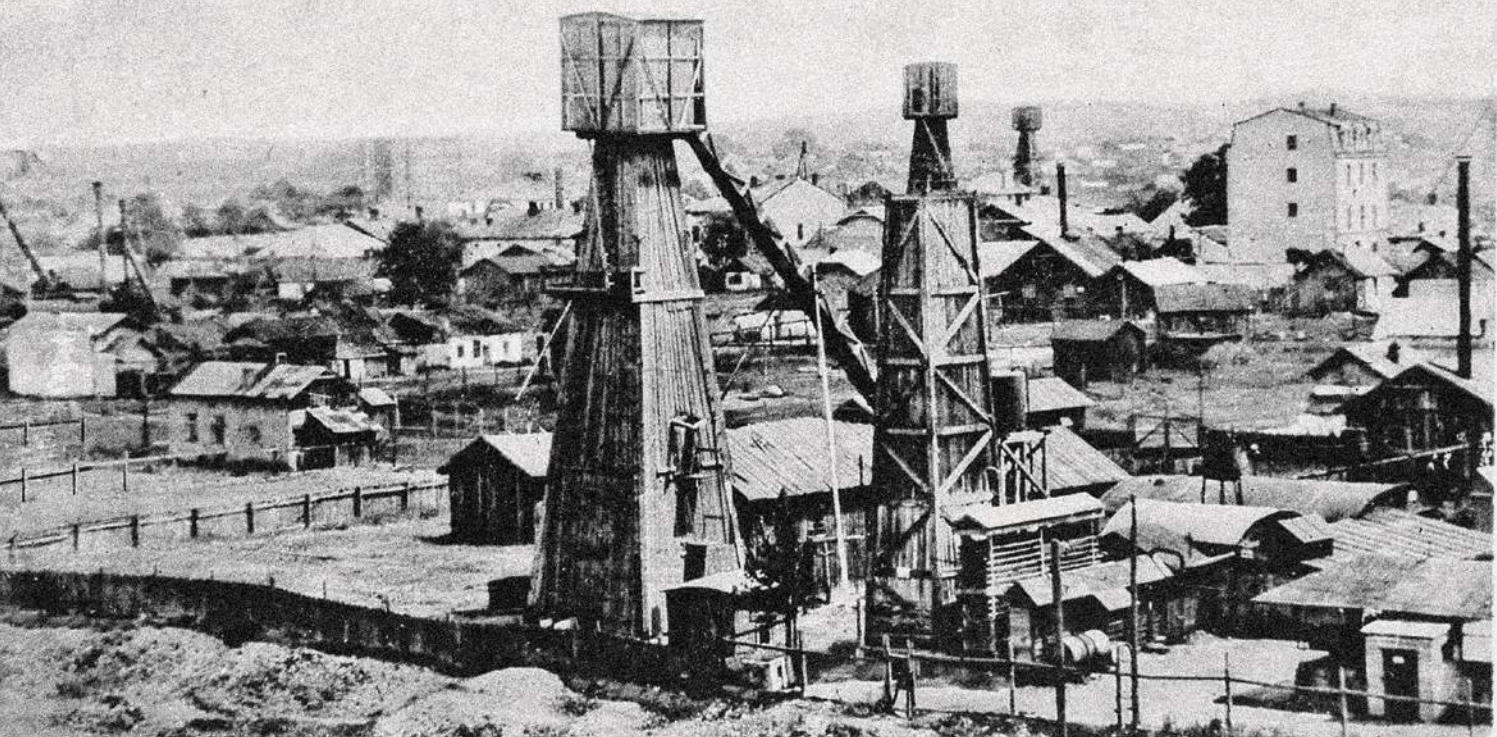
W roku 1854 rozpoczęto wydobycie ropy naftowej oraz gazu ziemnego we wspomnianej już kopalni w Bóbrce niedaleko Krosna. W 1888 r. przy ul. Dworskiej w Warszawie powstała



Gazownia we Lwowie FOT. PHOTO-LVIV.IN.UA

BORYSŁAW. Szyb i gazoliniarnia.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



■ zaś fabryka gazu, czyli zakład, w którym bezwonny surowiec pozyskiwano z węgla. W roku 1896 zakończyła się zaś budowa instalacji służącej do... zasilania kotłowni w kopalni ropy naftowej w Sochodnicy. Na przełomie XIX i XX w. gaz ziemny zaczęto dość powszechnie wykorzystywać w kopalniach, m.in. do oświetlania i ogrzewania. A następnie – gdy dowiercano się do dużych złóż gazu – budowano gazociągi, aby surowiec mógł być wykorzystywany w rafineriach.

Na początku XX w. – dokładnie w roku 1912 – zbudowano zaś pierwszy na ziemiach polskich gazociąg. Miał 12 km długości i przesyłano nim gaz ziemny ze złóż do założonej w Borysławiu pierwszej w Europie gazoliniarni (zakładu służącego do oddzielania gazoliny z gazu ziemnego).

GAZOCIĄG DO LWOWA

Wydobycie ropy naftowej oraz gazu, a także poszukiwania nowych złóż przerwał wybuch wielkiej wojny. Po jej

zakończeniu gaz ziemny dostarczano do tych fabryk i metropolii, które znajdowały się najbliżej jego złóż.

W roku 1924 – jak zauważył inż. Kazimierz Żardecki w referacie wygłoszonym na XV Zjeździe Gazowników i Wodociągowców Polskich w Gdyni w roku 1933 – spółka akcyjna Gazolina na szybie „Piłsudczyk” powierzyła się do „poważnej produkcji gazowej” na złożach daszawskich i jeszcze w tym samym roku wybudowała gazociąg łączący Daszawę z Drohobyczem, gdzie swoją siedzibę miał wyjątkowo ważny odbiorca tego surowca, a mianowicie Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych Polmin (więcej o zakładzie, który był dumą II Rzeczypospolitej piszemy na s. 66). Z roku na rok z zagłębia daszawskiego wydobywano coraz więcej błękitnego paliwa.

Gazem zaczęto opalać nie tylko rafinerie, lecz także elektrownie (m.in. we Lwowie, w Borysławiu oraz Męcinie). Droższe od ropy błękitne paliwo zaczęło podwyższać rentowność kopalni, a zainteresowanie wydobywaniem

gazu ziemnego wzrosło tak bardzo, że przestano wykorzystywać jedynie to, iż gaz towarzyszy ropie naftowej, i zaczęto prowadzić poszukiwania złóż błękitnego paliwa. Odnaleziono je m.in. we wspomnianej Daszawie, w Sądkowej, Roztokach, Strachocinie, Wierzbowcu, Chodnowicach i Oparach.

Drugi gazociąg z Daszawy do Drohobycza ułożono w roku 1927. Rok później spółka Gazolina uzyskała rządową koncesję na budowę gazociągu do Lwowa i wykonała go... jeszcze w 1928 r. Dzięki temu gazem zasilano miejską gazownię, elektrownię oraz sieć dystrybucyjną.

PALIWO DLA FABRYK

Gazociągowe nitki doprowadzano również do ośrodków przemysłowych w południowo-wschodniej Polsce. Dzięki temu błękitne paliwo napędzało najważniejsze fabryki międzywojennej gospodarki. Gaz ziemny wykorzystywały, między innymi do syntezy amoniaku, Zjednoczone Fabryki Związków

Azotowych w Mościcach i Chorzowie, a więc największe zakłady chemiczne II Rzeczypospolitej, będące kluczowym producentem nawozów azotowych dla rolnictwa.

INNOWACJE POLSKICH INŻYNIERÓW

Polacy znani byli z innowacji w branży wydobywczej. Na Politechnice Lwowskiej jeszcze w latach 20. utworzono więc Katedrę Technologii Nafty i Gazów Ziarnych. W międzywojniu na naszych ziemiach wydawano też wiele fachowych czasopism, takich jak „Metan”, „Nafta” czy „Dwutygodnik Naftowy”, a także organizowano wiele międzynarodowych konferencji naukowych.

W produkcję gazu na ziemiach Polski inwestowało też wielu zagranicznych przedsiębiorców, w tym przedstawiciele należącego do słynnego Johna Rockefellera koncernu Standard Oil Company. Odkupili oni stworzone na terenach polski przedsiębiorstwo braci Nobel – Standard-Nobel – i uruchomili wydobywanie ropy oraz produkcję gazu. W polskich zakładach najbogatszego Amerykanina miesięczna produkcja błękitnego paliwa wynosiła przed wojną od 1,5 do 2 mln m sześć. Gazolinarnie i niezwykle nowoczesne elektrownie zasilane gazem w II Rzeczypospolitej budowali również inwestorzy francuscy, m.in. spółka Crédit Général des Pétroles, która była właścicielem gigantycznego koncernu Małopolska, produkującego miesięcznie m.in. kilkanaście tysięcy metrów sześciennych gazu.

W latach 30. XX w. rozpoczęto również budowę gazociągów, których celem było zasilanie w błękitne paliwo zakładów w prężnie rozwijającym się Centralnym Okręgu Przemysłowym. Dzięki technologii pozwalającej na produkcję gazu płynnego „zgazyfikowano” także dumę II RP, czyli Gdynię.

Ambitne plany rozwoju przemysłowego Polski i gazyfikacji całego kraju przerwał wybuch II wojny światowej.

SOWIECKIE UZALEŻNIENIE

Po II wojnie światowej rządzący Polską komuniści dokonali nacjonalizacji wszystkich ocalałych kopalni, rafinerii czy zakładów gazowych. Jednocześnie wzrosła gazyfikacja kraju w jego nowych granicach. Na tzw. Ziemiach Odzyskanych niemal każde poniemieckie miasto miało zarówno własną ga-

zownię, jak i dobrze rozwinięty system dystrybucji błękitnego paliwa nie tylko do zakładów przemysłowych, lecz także do domów oraz mieszkań.

Władze sowieckie chciały jednak uzależnić Polskę od własnych surowców energetycznych. Długo wstrzymywały więc poszukiwania gazu na zachodnich terenach kraju. W latach 60. polscy geolodzy odkryli jednak pokaźne złoża gazu oraz ropy na Niżu Polskim. W latach 1968–1990 prowadzono dynamiczny program rozbudowy polskich sieci przemysłowych gazu ziemnego, przy jednoczesnej likwidacji klasycznych gazowni węglowych. Ostatnia miejska gazownia tego typu w Polsce została zamknięta w roku 1997 w Międzyzlesiu w Kotlinie Kłodzkiej.

I chociaż wydobywanie ropy naftowej z własnych źródeł nie ma już dużego znaczenia dla polskiej gospodarki – czarnego złota z własnych złóż pozyskujemy tak mało, że próżno już szukać Polski w międzynarodowych zestawieniach największych światowych producentów tego surowca – to złoża gazu nadal stanowią ważne źródło dochodów.

Obecnie w Polsce gaz ziemny wydobywa się głównie na Podkarpaciu, w zapadlisku przedkarpackim (podczas procesu odmetanowania kopalni węgla kamiennego), w Wielkopolsce (Odolanów, Kościan), Grodzisku Wielkopolskim oraz w Lubuskiem.

RANKING GAZOWYCH MOCARSTW

W latach 70. XX w. wydobywanie gazu ziemnego w Polsce przekraczało poziom 5 mld m sześć. (w roku 1978 wyniosło ono rekordowe 7,5 mld m sześć.). W 2016 r. produkcja krajowa gazu wyniosła 3,9 mld m sześć. przy rocznym popycie 17,3 mld m sześć. W latach 2017 i 2018 w Polsce wyprodukowano 4 mld m sześć. gazu ziemnego, co dało nam ostatnie miejsce w rankingu 50 największych na świecie producentów gazu ziemnego.

Udział naszego kraju w globalnej produkcji szacowany jest na ok. 0,1 proc.

Wśród największych na świecie konsumentów błękitnego paliwa Polska w 2018 r. znajdowała się na 40. miejscu z konsumpcją na poziomie 19,7 mld m sześć., co daje nam 0,5 proc. udziału w światowej konsumpcji tego surowca.

GAZOWE BEZPIECZEŃSTWO

Wydobycie krajowe zaspokaja obecnie mniej więcej jedną czwartą polskich potrzeb gazowych. Resztę popytu zaspokaja głównie import z Rosji, a także z takich państw jak Norwegia, Katar czy Stany Zjednoczone, za pośrednictwem Terminala LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, którego moc regazyfikacyjna już teraz wynosi 5 mld m sześć., a po rozbudowie ma wzrosnąć do 7,5 mld m sześć. gazu ziemnego rocznie.

Niewykluczone jednak, że wraz z rozwojem nowoczesnych technologii wydobywania w przyszłości uda się zwiększyć opłacalność wydobywania gazu z łupków nawet do kilku miliardów metrów sześciennych rocznie i Polska dołączy nie tylko do grona krajów, które są całkowicie niezależne od importu błękitnego paliwa, lecz także do tych, które zamiast kupować gaz od zagranicznych dostawców, mogą go eksportować na inne rynki.

Polskie koncerny energetyczne, w tym LOTOS, inwestują jednak w zakup złóż ropy i gazu poza granicami kraju. W 2013 r. LOTOS kupił np. od brytyjskiego koncernu Centrica udziały w 14 norweskich koncesjach, a w roku 2015 od ExxonMobil aktywa

wydobywcze Sleipner.

Największe zasoby gazu ziemnego na świecie mają dziś: Rosja, Iran, Katar, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Stany Zjednoczone, Algieria, Wenezuela, Nigeria oraz Irak. W roku 2017 liderami w wydobywaniu błękitnego paliwa byli: Rosjanie, Amerykanie, Irańczycy, Kanadyjczycy, Katarczycy, Chińczycy, Norwegowie czy Australijczycy.



Perła przemysłu naftowego Niepodległej

Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych Polmin, znajdująca się przed II wojną światową na terenach należących do Polski, była jedną z najnowocześniejszych rafinerii na świecie

Przed I wojną światową Galicja była jednym z największych ośrodków wydobywania ropy naftowej na świecie. W 1909 r. wydobywano tu 2,76 mln ton ropy, co stanowiło 5 proc. światowej produkcji tego surowca i plasowało region na trzecim miejscu w świecie po Rosji i Stanach Zjednoczonych. Po odzyskaniu niepodległości nazywane „galicyjską Pensylwanią” zagłębie naftowe, czyli okolice Borysławia i Drohobycza, znalazły się w granicach II Rzeczypospolitej, zapewniając państwu niemal pełną samowystarczalność pod względem zaopatrzenia w ropę naftową.

To właśnie z kresowego trójmieścia (Borysławia, Drohobycza i Truskawca) były wysyłane do całej Europy cysterny wypełnione ropą, tam też miały swoje siedziby największe spółki naftowe i banki. W tym pełnym kontrastów regionie powstawały i upadały fortuny. W Drohobyczu mieściła się także duma przemysłu II Rzeczypospolitej: Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych Polmin, będąca największą i najnowocześniejszą rafinerią w Europie.

„Polmin był chlubą polskiego przemysłu lat międzywojennych, może nie tak sławną jak Gdynia lub Centralny Okręg Przemysłowy – sztandarowe dzieła ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego – ale na pewno dającą pracę i płacę, dumę i prestiż tysiącom ludzi, inżynierom i robotnikom, którzy ją budowali latami” – opisywał prof. Stanisław Nicieja w „Kresowym trójmieście”.

FABRYKA JAK MARZENIE

Rafinerię wybudowano w latach 1909–1912. Po I wojnie światowej przedsiębiorstwo należało do Skarbu Państwa, jednak kondycja rafinerii była mocno nadwyrężona z powodu zniszczeń wojennych i odpływu kapitału za granicę. Zmieniło się to w 1927 r., za sprawą rozporządzenia Rady Ministrów (sygnowanego przez Józefa Piłsudskiego – prezesa Rady Ministrów, Eugeniusza Kwiatkowskiego – ministra przemysłu i handlu oraz Gabriela Czechowicza – ministra skarbu), które uczyniło z Polminu ogromny koncern z siedzibą główną we Lwowie. W skład nowego przedsiębiorstwa – Państwowej

Fabryki Olejów Mineralnych – weszły Państwowe Zakłady Naftowe, a także Państwowe Gazociągi. Polmin dysponował więc także kopalniami gazu ziemnego, ropo- i gazociągami, tłoczniami ropy oraz przedstawicielstwami handlowymi w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Sosnowcu, Poznaniu, Bydgoszczy, Toruniu, Gdańsku i wielu innych miastach. Oddziałami terenowymi fabryki były: Zarząd Gazociągów Państwowych w Jasle oraz Zarząd Budowy Gazociągu Centralnego w Sandomierzu. Funkcję organu nadzorczego pełniła rada administracyjna z siedzibą w Warszawie, w której skład wchodziło 12 osób. Rafineria w Drohobyczu przeszła gruntowną modernizację, stając się największym i najnowocześniejszym europejskim zakładem tego typu. Przedsiębiorstwo zajmowało się wydobywaniem oraz dystrybucją gazu i ropy, przetwórstwem pochodzącej z szybów Borysławia ropy na benzynę samochodową i lotniczą – firma była także właścicielem sieci stacji benzynowych w całej Polsce. W zakładzie produkowano również oleje: samochodowy, turbinowy i garbarski,

asfalty, koks naftowy i parafinę. W latach 1919–1923 rafineria przeszła gruntowną modernizację, w efekcie czego zdolności przetwórcze zostały podniesione do 240 tys. ton surowca w ciągu roku. Kolejne modernizacje i zastosowane nowoczesne technologie sprawiły, że w końcu lat 20. Polmin był przygotowany do przerobu aż do 300 tys. ton ropy rocznie.

W przedsiębiorstwie zatrudnionych było ok. 2 tys. ludzi. Praca w słynącym z wysokich pensji i sowitych dodatków socjalnych Polminie była marzeniem wielu robotników. Pracownicy mogli liczyć tam na zarobki w wysokości od 600 do 2 tys. zł, co przy ówczesnych cenach: kilogram chleba – od 30 do 60 gr, kilogram mięsa – ok. 1–1,5 zł, męskie buty – ok. 25 zł, a wymarzony przez wielu chłopców rower Łucznik – ok. 120 zł, pozwalało cieszyć się przyzwoitymi dochodami i dobrym statusem społecznym.

OSIEDLOWA IDYLLA

Poza dobrymi zarobkami zatrudnionym w Polminie oferowano także wiele udogodnień i benefitów pozapłacowych. Zakład był wzorem przedsięwzięć przyjaznych pracownikom, które dzisiaj mogłyby być określane jako element „biznesu odpowiedzialnego społecznie”. Przedsiębiorstwo zapewniało robotnikom przywileje i zaplecze socjalne, o którym pracownicy wielu innych fabryk mogli tylko marzyć. Fabryka pokrywała więc m.in. wydatki związane z kosztami wynajmu mieszkań: opłaty za prąd, gaz, kanalizację, niezbędne prace remontowe. Część pracowników Polminu mieszkała na wybudowanym specjalnie dla nich osiedlu w Drohobyczu. Jak opisuje prof. Nicieja, kolonię mieszkaniową tworzyły 40 schludnych budynków z zadbanymi, przydomowymi ogródkami. Były to zarówno wille dwurodzinne, jak i jednopiętrowe kamienice, które mogło zamieszkiwać 10 rodzin. Jak na nowoczesne osiedle przystało, mieszkania w kolonii nie były ogrzewane węglem, lecz za pomocą zainstalowanych w piecach kaflowych specjalnych palników gazowych. Dzieci mieszkańców osiedla uczyły się w nowoczesnej szkole podstawowej, w pobliżu znajdowały się także kaplica, duży stadion sportowy, pływalnia, kluby, biblioteka, liczne sklepy. Rafineria posiadała kasyno, które usytuowane było w pobliżu dworca. Pracownicy i ich rodziny mogli korzystać z bezpłatnych autobusów. Przydawały się one żonom robotników, które jeździły na zakupy do centrum miasta, a w dni wolne całe rodziny

ARCHITEKCI SUKCESU POLMINU

STANISŁAW PILAT – naukowiec reformator



Rodzi się w 1881 r. we Lwowie, w zasłużonym dla polskiej nauki rodzie Pilatów. W 1899 r. rozpoczyna studia chemiczne we Lwowskiej Szkole Politechnicznej, uzupełniając je na

politechnikach w Berlinie i Wurzburgu. Bada składniki ropy naftowej, olejów smarowych i benzyn. Po ukończeniu studiów na krótko podejmuje pracę u prof. Romana Załozieckiego, badając proces utleniania frakcji ropy naftowej i aromatycznych składników ropy. W latach 1904–1905 pracuje w Galicyjskim Towarzystwie Naftowym w Borysławiu oraz w działającej przy Lwowskiej Szkole Politechnicznej Krajowej Stacji Doświadczalnej Przemysłu Naftowego. Przez dwa lata pełni funkcję kierownika ruchu w rafinerii w Krośnie. Jego kolejne miejsca pracy to rafinerie w czeskich Pardubicach, a także w Ploeshti w Rumunii, gdzie wsławił się uruchomieniem nowoczesnego urządzenia do destylacji próżniowej olejów maszynowych.

Po powrocie do Borysławia w 1909 r. zostaje dyrektorem technicznym powstającej fabryki olejów mineralnych (późniejszej Państwowej Fabryki Olejów Mineralnych Polmin). Z fabryką związany jest jako dyrektor techniczny, w latach 1926–1929 jako dyrektor naczelny. W zakładach w Drohobyczu wprowadzono w tym czasie wiele udoskonaleń jego autorstwa, w tym metodę rektyfikacji benzyny opartą na zużytkowaniu ciepła pochodzącego ze spalania pozostałości ropnych. W listopadzie 1918 r. Pilat przewodził pracom na rzecz reorganizacji polskiego przemysłu naftowego. Obejmuje stanowisko kierownika działu naftowo-rafineryjnego Polskiej Komisji Likwidacyjnej i szefa Urzędu Naftowego tej komisji, mającej za zadanie przejęcie majątku przedsiębiorstw naftowych pozostałego po rozpadzie Austro-Węgier. Po włączeniu Urzędu Naftowego do struktur Ministerstwa Przemysłu i Handlu jest doradcą technicznym w Galicyjskim Karpackim Towarzystwie Naftowym, a następnie dyrektorem technicznym koncernu Dąbrowa. Jednocześnie opracowuje plany przebudowy wszystkich rafinerii. Prowadzi wykłady z technologii nafty na Politechnice

Lwowskiej, na której obejmuje w 1924 r. kierownictwo Katedry Technologii Ropy Naftowej i Gazów Ziarnnych. W tym czasie przy współpracy z Ignacym Mościckim doskonalili nowatorską metodę ciągłej destylacji ropy, którą wcześniej opracował dla rafinerii w Minatitlán w Meksyku. W 1926 r. obejmuje stanowisko dyrektora naczelnego Polminu, zaoferowane mu przez prezydenta Ignacego Mościckiego i ministra Edwarda Kwiatkowskiego. Nie przerywając działalności dydaktycznej, pracuje m.in. nad zwiększeniem możliwości eksportowych rafinerii w Drohobyczu. Z jego inicjatywy rząd w 1927 r. powołuje Syndykat Przemysłu Naftowego, w którego skład wchodzi wszystkie polskie rafinerie. Syndykat współtworzony przez Polmin ma służyć rozwojowi krajowego przemysłu naftowego i być narzędziem państwa w realizacji zagranicznego handlu produktami naftowymi.

W 1929 r. odchodzi z koncernu i poświęca się tworzeniu zaplecza naukowego dla „polskiego Klondike”. Kierowana przez niego katedra zyskuje pozycję czołowej jednostki naukowej w Europie. W swym laboratorium prof. Pilat rozwija fizykochemiczne metody badania ropy naftowej i odpadów rafinacyjnych, mające pozwalać na zwiększenie liczby oktanowej paliw czy otrzymanie syntetycznej benzyny. Wyniki jego badań pozwalają na zastosowanie nowych produktów w przemyśle maszynowym, chemicznym i farmaceutycznym. Opracowane przez profesora metody znajdują zastosowanie m.in. w Rumunii i USA, gdzie wynaleziony przez polskiego chemika sposób separacji frakcji pozostałości ropnych na zimno bez destylacji zyskuje nazwę „Pilata process”.

Naukowiec reprezentuje rząd polski na I Światowym Kongresie Naftowym w 1934 r. w Londynie i w 1937 r. w Paryżu. Jest członkiem znamienitych polskich i zagranicznych towarzystw naukowych. Jest także autorem lub współautorem licznych patentów, publikacji i podręczników. W trakcie prac nad związkami farmaceutycznymi na katedrze w 1934 r. poznaje inż. Ewę Neyman, która rok później zostaje żoną Stanisława Pilata. Sowieckie władze odsuwają prof. Pilata od kierowania katedrą. W 1941 r. zostaje aresztowany i wczesnym rankiem 4 lipca rozstrzelany przez hitlerowskie Sonderkommando.



Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych
Polmin w Drohobyczu FOT. NAC

■ wyjeżdżały nimi na wycieczki w góry i na grzybobranie. W porze letniej mieszkańcy spędzali czas nad rzeką Tyśmienicą.

GENIALNI FACHOWCY

Sukcesy międzywojennego Polminu to w dużej mierze zasługa wybitnych zarządzających. W latach 1909–1918 dyrektorem technicznym zakładów był prof. Stanisław Pilat – wybitny chemik, uczony i wynalazca, uważany za inicjatora państwowego przemysłu naftowego, któremu rafineria zawdzięczała wiele nowoczesnych rozwiązań technologicznych oraz znaczący wzrost rentowności. Po zrezygnowaniu przez Pilata w 1929 r. z funkcji dyrektora Polminu posadę dyrektora objął inż. Stefan Dażwański – chemik, działacz gospodarczy i społeczny, późniejszy dyrektor Departamentu Górniczo-Hutniczego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Pod zarządem Dażwańskiego zakład stał się drugim obok Fabryki Związków Azotowych Mościce gigantem polskiego przemysłu chemicznego. Dyrektorem technicznym rafinerii był w tym czasie świetny fachowiec Zygmunt Biluchowski, z wykształcenia chemik, autor wielu działań modernizacyjnych w Polminie. Do grona znakomitych inżynierów pracujących w fabryce należał także m.in. Franciszek Limbach, który opracował metodę produkcji asfaltu z bituminy. To na jego cześć komponent ten, wykorzystany m.in. jako pokrycie ul. Stryjskiej w Drohobycz, przy której mieścił się Polmin, nazwano limbitem.

Do przedwojennych osiągnięć Polminu zaliczyć należy przede wszystkim wzmocnienie zakończonych sukcesami poszukiwań wiertniczych. Rozwijający się gwałtownie w tym czasie przemysł i rozbudowujące się miasta potrzebowały coraz więcej energii cieplnej, którą przy wykorzystaniu gazu ziemnego jako wygodnego nośnika dostarczano z ośrodków wydobywania budowanymi przez Polmin gazociągami przesyłowymi. Dzięki przedsiębiorstwu w zachodnim za-

głębiu naftowym powstał niemal cały system gazociągów przesyłowych dostarczających gaz ziemny do wielkich zakładów przemysłowych (np. fabryki w Mościcach czy Centralnego Okręgu Przemysłowego), miast i leżących na trasie gazociągów skupisk ludności (np. Jasło, Krosno).

CIOŚ W PALIOWE SERCE

Kres istnieniu wielkiej, supernowoczesnej rafinerii położyła II wojna światowa. Nikt w Drohobyczu się nie spodziewał, że tocząca się od 10 dni na zachodzie kraju wojna dotrze do naftowego zagłębia, a tym bardziej że w obliczu zagrożenia Polmin mógłby pozostać niezabezpieczony. Nalot kilkunastu niemieckich samolotów w słoneczne niedzielne popołudnie 10 września 1939 r. pochłonął życie wielu osób i zamienił pozbawioną obrony przeciwniczej fabrykę w ziejące płomieniami gruzowisko.

Zakład pełen łatwopalnych cieczy i materiałów, dodatkowo trawiony wybuchami zbiorników z paliwem, palił się przez 21 dni, a słup ognia i dymu widoczny był aż we Lwowie, oddalonym od Drohobycza o ok. 80 km. Pożar ugasiły oddziały Armii Czerwonej, która zajęła miasto.

W czasie sowieckiej okupacji Drohobycza, która trwała od września 1939 r. do czerwca 1941 r., a następnie niemieckiej, trwającej do lipca 1944 r., motywowane koniecznością uzyskania paliwa i olejów siły okupacyjne częściowo odbudowały zakład. Fabrykę ostatecznie unicestwił amerykański nalot z 26 czerwca 1944 r. Podczas niego zginęło 120 osób. Gdy 6 sierpnia do Drohobycza wkraczała Armia Czerwona, pozostałości Polminu się dopalały. W nalocie nie ucierpiała natomiast Kolonia Polminowska, która do dziś jest symbolem rozwoju dawnej potęgi polskiej rafinerii. Po II wojnie światowej Polmin pod władzą Sowieców został odbudowany i choć odgrywał ważną rolę w gospodarce Ukraińskiej SRS, to przedwojennej sławy już nie odzyskał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ARCHITEKCI SUKCESU POLMINU

ZYGMUNT BILUCHOWSKI (1887–1939) – ostatni dyrektor



Wывodził się z okolic Radomska. Ukończył studia na Wydziale Chemii Politechniki Lwowskiej. Tam także był przez pewien czas asystentem prof. Stanisława

Pilata. W 1920 r. przeprowadził się do Drohobycza, gdzie zaczął pracę w rafinerii Państwowej Fabryki Olejów Mineralnych Polmin. W 1929 r. był już dyrektorem technicznym Polminu. I chociaż funkcję naczelnego dyrektora pełnił wtedy urzędujący we Lwowie inż. Stefan Dażwański, Biluchowski z ogromną sprawnością zarządzał działaniem przedsiębiorstwa w Drohobyczu i cieszył się dużym uznaniem wśród pracowników. Dyrektor wraz z żoną Heleną, z domu Herman (siostrą gen. Franciszka Hermana), zajmował luksusowy ośmiopokojowy apartament na terenie rafinerii, dzięki czemu znany z pracoholizmu Biluchowski przebywał w firmie w dzień i w nocy. Jego działania przyczyniły się do istotnego unowocześnienia rafinerii. Za jego rządów Polmin wybudował sieć gazociągów z magazynami w kilku miastach, a także został właścicielem wielu kopalń. W zakładzie uruchomiono też m.in. instalację do destylacji rurowo-wieżowej systemu Foster Wheeler, które to rozwiązanie stanowiło wówczas szczytowe osiągnięcie techniki w tej branży w skali całego świata. W konsekwencji możliwe było pozyskanie paliw o stosunkowo dużej czystości, pozbawionych solanki oraz zanieczyszczeń. To Zygmunt Biluchowski był tym, który po niemieckim bombardowaniu Polminu we wrześniu 1939 r. zarządził zbiorczą ocalałych pracowników, obiecał wypłatę odpraw i przekazał informację o zakończeniu działalności fabryki. Gdy 17 września 1939 r. bolszewickie oddziały wkroczyły do Polski, ostatni dyrektor rafinerii wraz z grupą inżynierów wyruszył w kierunku granicy węgierskiej, ale w ostatniej chwili podjął decyzję o powrocie do Drohobycza. W listopadzie 1939 r. trafił do więzienia w Kijowie i został zamęczony przez NKWD. Jego żona zmarła w 1975 r. Pochowano ją na cmentarzu w Zakopanem, gdzie znajduje się też symboliczny grób Biluchowskiego.



Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

Wspieramy rozwój
paliw alternatywnych w Polsce.



Wygrał zdecydowanie, uzyskując podczas powszechnego głosowania w Partii Konserwatywnej aż 92 tys. głosów (66 proc.), gdy jego rywal Jeremy Hunt zaledwie 47 tys. (33 proc.). To zaś oznacza, że będzie miał silną pozycję w swojej partii – i w związku z tym łatwiej będzie mu podejmować decyzje personalne i usuwać przeciwników.

Dużo mówi o nim jego pierwsze, powyborcze przemówienie. „Znajdą się dokoła ludzie, którzy będą kwestionować mądrość waszej decyzji. Mogą być nawet tacy, którzy będą się zastanawiać nad tym, co zrobili” – mówił, nawiązując do krytyki, z którą spotkały się wyniki wyborów na lidera torysów. Faktycznie bowiem rzadko się zdarza, aby wybór szefa partii i zarazem premiera – bo to lider rządzącej partii zostaje szefem brytyjskiego rządu – był aż tak bardzo kontestowany jak tym razem. Swoje odejście z gabinetu już zapowiedzieli kanclerz skarbu Philip Hammond, minister oświaty David Gauke, a także minister obrony Tobias Ellwood – ten ostatni, jeśli dojdzie do brexitu bez porozumienia z UE. Niespodziewanie, w dniu, gdy Johnson został premierem, rezygnację złożyła też minister obrony Penny Mordaunt.

Johnson przekonywał, że „w tym kluczowym momencie naszej historii ponownie musimy pogodzić [...] dwa szlachetne instynkty, głębokiego pragnienia przyjaźni i handlu oraz wzajemnego wsparcia i bezpieczeństwa między Wielką Brytanią a naszymi europejskimi partnerami – i jednocześnie równie głębokiego i szczerzego pragnienia demokratycznego samowładztwa [Wielkiej Brytanii – przyp. red.]. Niektórzy mówią, że są to sprawy nie do pogodzenia”. I rzeczywiście chęci ścisłej współpracy z UE i zarazem zerwania z Unią są ze sobą sprzeczne. Jednak tę wypowiedź Johnsona odczytano jako gest wyciągnięcia ręki do zwolenników pozostania w UE.

PRIORYTETY

Nowy przywódca torysów podkreślił: „Znamy mantrę naszej kampanii – na wypadek, gdybyście ją zapomnieli – to doprowadzenie do brexitu, zjednoczenie kraju i pokonanie Jeremy’ego Corbyna. I to właśnie zrealizujemy”. Tutaj wyraźnie widać cele, które stawia sobie Johnson. Na pierwszym miejscu jest właśnie brexit, który jego zdaniem bezwzględnie ma nastąpić 31 października tego roku. Na trzecim miejscu jest pokonanie Partii Pracy. Konserwatyści dramatycznie stracili w ostatnich europejskich wyborach – uży-



Piotr Kościński

Nowy lider konserwatystów Boris Johnson ma skomplikowany życiorys i niesztampowe, choć zmienne poglądy. Jako premier Wielkiej Brytanii może więc podejmować zaskakujące decyzje. Także te dotyczące brexitu

Boris Johnson: premier zagadka

FOT. JEFF MITCHELL/GETTY IMAGES

skali zaledwie 9,1 proc. głosów – wyprzedziły ich zarówno nowa Brexit Party, jak i słabi dotąd Liberalni Demokraci oraz właśnie Partia Pracy. Tradycyjnie jednak to ta ostatnia jest głównym przeciwnikiem konserwatystów, a Johnson uważa, że w „normalnych” wyborach wszystko wróci do normy, czyli rozgrywki między konserwatystami i laburzystami.

Zjednoczenie kraju, cel numer dwa, będzie chyba najtrudniejsze, ponieważ oprócz znanych od dawna podziałów od kilku lat wszystkie ugrupowania brytyjskie dzielą się jeszcze na zwolenników i przeciwników brexitu.

POTOMEK MUŻULMANINA I RABINA

Boris Johnson, a ściślej mówiąc – Alexander Boris de Pfeffel Johnson, urodził się w 1964 r. w Nowym Jorku z rodziców Brytyjczyków, ma więc obywatelstwo brytyjskie i amerykańskie. Pochodzenie rodziców jest bardzo skomplikowane: pradziadek od strony ojca, Ali Kemal, był czerkiesko-tureckim dziennikarzem i politykiem, mużulmaninem. Przodek matki był natomiast ortodoksyjnym rabinem z Litwy. Stąd zresztą wzięło się imię Boris.

Po ukończeniu Szkoły Europejskiej w Brukseli i studiów na Oksfordzie został dziennikarzem. Pracował w „The Times”, potem w „The Daily Telegraph”, a wreszcie w „Spectatorze”. Jako redaktor „Spectatora” Johnson był już dobrze znany ze swojej bardzo szczególnej osobowości, chętnie określanej po angielsku jako „shambolic”, co na język polski przekłada się jako „chaotyczna” i „zdezorganizowana”. Zaangażował się w politykę, włączając się w szeregi Partii Konserwatywnej, i szybko odniósł sukces. W 2001 r. został wybrany na deputowanego do Izby Gmin.

Uważano go za dużo bardziej lewicowego niż większość torysów. Jako dziennikarz popierał tradycyjne wartości, ale jako poseł zmienił poglądy, m.in. głosował za uznaniem związków partnerskich.

W październiku 2004 r. ówczesny przywódca konserwatystów Michael Howard polecił mu odwiedzenie Liverpoolu i przeproszenie za artykuł w „Spectatorze”. W artykule mieszkańcy Liverpoolu zostali skrytykowani za „nadmierny” żal po tym, jak mieszkanie tego miasta zostało porwane i zabity w Iraku. A w kolejnym miesiącu wydawało się, że kariera Johnsona ostatecznie dobiegła końca. Został wyrzucony z konserwatywnego gabinetu cieni (był w nim „ministrem sztuki”), bo

wprowadził Howarda w błąd w kwestii swojego romansu z felietonistką „Spectatora” Petronellą Wyatt.

Brytyjski tabloid „The Sun” pisał, że informacje o trwającym już cztery lata romansie trafiły do prasy w 2004 r., kiedy to pani Wyatt była w ciąży i dokonała aborcji. Podobno całą sprawę nagłośniła jej matka. Kwestia wydaje się dużo bardziej skomplikowana. „The Sun” twierdzi, że równolegle Boris Johnson miał inny romans – z Anną Fazackerley, dziennikarką „The Times Educational Supplement”, czyli edukacyjnego dodatku „Timesa”. Trudno powiedzieć, czy jest to prawda. Sama Petronella Wyatt opowiadała, że Johnson mówił jej kiedyś, iż „mężczyźni nie powinni być ograniczeni do jednej kobiety”. Rzekomo brało się to stąd, że jest „niezmiernie dumny ze swojego tureckiego pochodzenia”, a „poglądy na takie sprawy jak monogamia ma zdecydowanie wschodnie”.

Za największy swój sukces Johnson uważa zarządzanie brytyjską stolicą. Funkcję mera Londynu objął po przedstawicielu Partii Pracy Kenie Livingstone w 2008 r. i piastował ją do 2016 r. Przekonuje, że w tym czasie spowodował powstanie pół miliona nowych miejsc pracy, przyczynił się do zbudowania 100 tys. nowych domów i zasadzenia 20 tys. drzew, a także do spadku liczby morderstw o połowę i ataków nożowników o 17 proc. Na Twitterze napisał: „Jako mer Londynu dotrzymałem obietnic. Teraz chcę uczynić to samo dla całego kraju”.

Jego sukcesy starannie przeanalizowała BBC – i faktycznie, to, co napisał, jest zgodne z prawdą. O ile wcześniej kilka dzielnic brytyjskiej stolicy mieściło się w przedziale określanym jako „biedne”, o tyle pod koniec jego rządów sytuacja zdecydowanie się poprawiła. I to jest ogromny atut nowego lidera konserwatystów. Także jego aktywność w sprawie igrzysk olimpijskich z 2012 r. oceniana jest pozytywnie, bo przyniosły one miastu znaczące efekty gospodarcze.

W 2016 r. zrezygnował z kierowania Londynem na rzecz obecności w parlamencie. Theresa May powołała go w lipcu tego roku na urząd szefa dyplomacji, co było nieco zaskakujące wobec jego licznych międzynarodowych gaf, wygrał m.in. nagrodę 1 tys. funtów za udział w konkursie „Spectatora” na wiersz wrogi wobec prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdoğan. W największym skrócie limeryk przez niego napisany dotyczył uprawiania przez Erdoğan seksu z... kozą. Przedstawiciel

„Spectatora”, znany dziennikarz Douglas Murray, podkreślał, że „z pewnością były lepsze wiersze. Na pewno były i ostrzejsze... Ale dla mnie to wspaniała rzecz, że brytyjski działacz polityczny pokazał, iż Wielka Brytania nie będzie bić pokłonów przed pseudokalifem w Ankarze”.

Inna krytykowana wypowiedź Johnsona dotyczyła Libii. Zapytany w 2017 r. o możliwe brytyjskie inwestycje w libijskiej Syrcie oświadczył, że to wspaniały kraj z pięknymi plażami, a faktycznie jest grupa brytyjskich biznesmenów, chcących inwestować w Libii, „niedaleko miejsca, gdzie złapany został Kaddafi”. Jednak „jedyną rzeczą, którą oni [Libijczycy] muszą zrobić, to uprzątnąć zwłoki” ofiar walk.

BBC relacjonowała także kolejne wpadki przyszłego premiera, jak np. jego słowa o Hillary Clinton z 2007 r.: „Ma farbowane blond włosy, wargi i stalowoniebieskie spojrzenie, jak sadystyczna pielęgniarka w szpitalu psychiatrycznym”. Gdy zaś w kwietniu 2016 r. prezydent USA Barack Obama skrytykował dążenia części Brytyjczyków do wyjścia z UE, Johnson oświadczył, że jest on „częściowo Kenijczykiem” i że odziedziczył po przodkach niechęć do Wielkiej Brytanii.

Johnson pokazał też, co potrafi, po tym, jak w 2018 r. zostali otruci były rosyjski szpieg Siergiej Skripal i jego córka Julia. Przyszły premier zapewnił Londynowi poparcie 29 krajów, w tym Polski, i wydalenie łącznie ponad 140 rosyjskich dyplomatów jednego dnia.

ZWOLENNIK BREXITU

Boris Johnson był jednym z liderów kampanii Vote Leave – „Głosuj na rzecz wyjścia z UE” – podczas referendum 2016 r. Krytykował Unię i dowodził, że chce „zarówno mieć ciastko, jak i je jeść”. Później twierdził, że May fatalnie negocjuje z Brukselą, a umowa przez nią uzgodniona jest bardzo zła i sprowadza Wielką Brytanię do roli unijnej kolonii. Teraz chce renegotjować umowę z Brukselą, m.in. proponując odłożenie kwestii granicy z Irlandią na „po brexicie”. Tylko że Unia Europejska niespecjalnie chce renegotjacji. Jednak nowy brytyjski premier dowodzi, że gotów jest do wyjścia z Unii bez umowy. Chociaż z kolei na takie rozwiązanie nie chce się zgodzić Izba Gmin. Oznacza to, że przed Borisem Johnsonem jest do rozwiązania prawdziwa kwadratura koła.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą na AFIB Vistula i współpracownikiem tygodnika „Idziemy”.

Kum Putina drugi na podium



Wiktor Medwedczuk (z lewej) z Władimirem Putinem w Pałacu Taurydzkim FOT. MIKHAIL METZEL/TASS/GETTY IMAGES



Maciej Pieczyński

Opcja prorosyjska nad Dnieprem zajęła drugie miejsce w wyborach do Rady Najwyższej. Ma jednak trzy razy mniej głosów niż zwycięska partia Zełenskiego

Będziemy robić wszystko, aby parlament [...] doprowadził do zaprowadzenia pokoju w kraju i do przerwania działań bojowych. Będziemy domagać się zmiany kursu gospodarczego i obniżenia drakońskich opłat komunalnych. Będziemy zmieniać prawo podatkowe – tak wyniki wyborów na antenie telewizji 112 komentował właściciel stacji, Wiktor Medwedczuk, lider partii Platforma Opozycyjna „Za życie” (współlideruje z Jurijem Bojko). Jak zapewnił, rola jego ugrupowania w nowym parlamencie będzie „wyłącznie opozycyjna”. To, że ludzie Medwedczuka

nie będą koalicjantem partii Zełenskiego, było pewne w zasadzie już na długo przed wyborami. Podobnie jak właściwie przesądzone było miażdżące zwycięstwo Sługi Narodu. Zełenski i Medwedczuk są politykami rosyjskojęzycznymi, pochodzącymi z Jugo-Wostoka. Z polskiej perspektywy wydawałoby się, że to bardzo dużo... Bynajmniej. Medwedczuk, uważany za najbardziej wpływowego rzecznika rosyjskich interesów na Ukrainie, wchodził w skład grupy negocjującej z Moskwą za czasów szermującego wojenną retoryką Petra Poroszenki. To właśnie Zełenski zrezygnował z usług „kuma Putina”. Choć – jak zauważają komentatorzy – jednocześnie nie wyrzucił Medwedczuka z kraju, jak to jego poprzednik zrobił z Micheilem Saakaszwilim.

WYRAŹNE RÓŻNICE

Zełenski, opowiadając się za „pokojem” i „normalnością”, a przeciwko dzieleniu Ukraińców na „lepszych” (ukraińskojęzycznych) i „gorszych” (rosyjskojęzycznych), jednocześnie stawiał na prozachodni wektor i potępiał agresywną politykę Moskwy. Co symboliczne, z Emmanuelem

Macronem spotkał się dwa razy: w czasie kampanii nieoficjalnie, a potem już jako głowa państwa, w świetle kamer namawiając prezydenta Francji do zaostrzenia kursu wobec Putina. – Większość wyborców Sługi Narodu to zwolennicy NATO i Unii Europejskiej. Może nie jest ich tak wielu jak w partiach Petra Poroszenki czy Światosława Wakarczuka [wokalista słynnego zespołu Okean Elzy, który na czele partii Hołos wszedł do Rady Najwyższej z sześcioprocentowym wynikiem – przyp. red.], ale wciąż sporo – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Ołeksij Haran’, politolog z Uniwersytetu Narodowego „Akademia Kijowsko-Mohylańska”. Z kolei Maciej Piotrowski, ekspert ds. Ukrainy z Instytutu Wolności, zwraca uwagę, że prounijna i proatlantycka orientacja nie jest dziś nad Dnieprem niczym wyjątkowym: – Poparcie dla integracji z UE i NATO jest tam obecnie największe w historii. Dlatego też, poza partią Medwedczuka, wszystkie pozostałe ugrupowania popierają prozachodni wektor polityki zagranicznej – zauważa Piotrowski.

Po przeliczeniu prawie 97 proc. głosów, według stanu na wtorek (kremlowskie

media podejrzliwie dopytują: „Dlaczego tak długo trwa liczenie?! Pewnie Kijów chce sfałszować wybory na niekorzyść ugrupowań prorosyjskich!”), zwycięska partia Sługa Narodu zdobyła ponad 43 proc. Platforma Opozycyjna „Za życie” zajęła drugie miejsce. Prorosyjska partia drugą siłą nad Dnieprem?! Z zachodniej perspektywy nie wygląda to najlepiej. Tymczasem ugrupowanie Medwedczuka zdobyło jedynie niewiele ponad 13 proc. W mandatach Żelenski z „kumem Putina” wygrywa 253 do 45. Dalsze miejsca zajmują deklaratorynie prozachodnie partie: populistyczna Bat’kiwyszczyna (Ojczyzna) Julii Tymoszenko, Europejska Solidarność Petra Poroszenki (oba ugrupowania zebrały po ok. 8 proc.) oraz Hołos (Głos) Światosława Wakarczuka. Co istotne, do Rady Najwyższej nie dostały się dwa kolejne prorosyjskie ugrupowania: Blok Opozycyjny, należący do Rinata Achmetowa (najbogatszy Ukraińiec, doniecki oligarcha, właściciel klubu piłkarskiego Szachtar Donieck), oraz partia Szarija (założona przez blogera Anatolija Szarija).

CZARNY CHARAKTER

Pozostaje Platforma Opozycyjna... Wiktor Medwedczuk to jednocześnie szara eminencja i czarny charakter ukraińskiej sceny politycznej. Urodzony w Rosji. Z wykształcenia prawnik. W latach 70. był obrońcą z urzędu w procesie antysowieckiego dysydenta, wybitnego ukraińskiego poety Wasyla Stusa. Mecenase Medwedczuk wykazał się wówczas czujnością rewolucyjną. Domagał się dla Stusa wyższej kary niż prokurator.

W niepodległej Ukrainie dorobił się na usługach prawniczych. Szybko stał się jednym z najbogatszych nad Dnieprem oligarchów. Należał do „klanu kijowskiego”, który o wpływy w kraju rywalizował z klanami donieckim (Wiktor Janukowycz, premier za czasów Janukowycza – Mykoła Azarow, obecnie: Rinat Achmetow) i dniepropietrowskim (Leonid Kuczma, Julia Tymoszenko). Związany z ukraińską socjaldemokracją (analogicznie jak w przypadku polskiej sceny politycznej – wczorajsi komuniści przeфарbowani na dzisiejszych demokratów). W 2002 r. został szefem administracji prezydenta Kuczmy. Przyjaciół Władimira Putina. Prezydent Rosji jest ojcem chrzestnym jego córki Darii. Matką chrzestną zaś – Swietłana, żona Dmitrija Miedwediewa.

Na rok przed rewolucją Euromajdanu Kreml, zniechęcony do Janukowycza,

próbował postawić na Medwedczuka, jako swojego człowieka nad Dnieprem. Ówczesna partia wpływowego prawnika – Ukraiński Wybór – postulowała zorganizowanie referendum w sprawie członkostwa Ukrainy w Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Już w 2006 r. Rosjanie namawiali lidera Partii Regionów, by wszedł w sojusz z „kumem Putina”. Janukowycz odmówił. Medwedczuk głosił hasła federalizacji Ukrainy. W rosyjskich mediach deklarował swoje poparcie dla ustanowienia języka rosyjskiego językiem państwowym na Ukrainie.

W czasie kampanii wyborczej próbował wbić szpilę Żelenskiemu. Udowodnić, że prezydent nieszczerze deklaruje chęć doprowadzenia do pokoju na wschodzie kraju. Sam, korzystając ze swoich kremlewskich znajomości, doprowadził do uwolnienia czterech ukraińskich jeńców przetrzymywanych w Rosji. Jak się okazało, nie byli to bynajmniej bohaterowie walk o integralność terytorialną kraju. Jednemu z nich po powrocie do ojczyzny grozi proces za dezercję.

Część ekspertów uspokaja: nie ma mowy o żadnym renesansie rosyjskich wpływów na Ukrainie. – Przed 2014 r. Partia Regionów zdobywała zazwyczaj ponad 30 proc. głosów. Trzynastoprocentowy wynik ugrupowania Medwedczuka to przy tym naprawdę niewiele – komentuje Ołeksij Haran’. – Przed wojną również ok. 30 proc. respondentów zazwyczaj opowiadało się za integracją eurazjatycką. Dzisiaj ten wybór geopolityczny deklaruje 8–10 proc. – dodaje.

Zdaniem kijowskiego politologa ten niewielki, ale wciąż znaczący odsetek Ukraińców popierających opcję prorosyjską liczy przede wszystkim na pokój z Rosją i pozytywne zmiany w gospodarce. – Wielu dawnych wyborców Partii Regionów przetraciło swoje poparcie na Sługę Narodu. Wierzą bowiem, że Żelenski będzie bronił statusu języka rosyjskiego. Chodzi więc raczej o sprawy kulturowe, tożsamościowe, nie zaś o geopolityczną orientację. Ta bowiem w przypadku Żelenskiego jest otwarcie prozachodnia – mówi Maciej Piotrowski. Zdaniem eksperta Instytutu Wolności prezydent odsunął Medwedczuka od rozmów pokojowych, ponieważ chce się uniezależnić od „kuma Putina” i wypracować bezpośredni kontakt z Kreml. – Lider Platformy Opozycyjnej „Za życie” jest jednak tak chytrym i wpływowym politykiem, że łatwo się nie podda – dodaje Piotrowski.

Medwedczuk, okrażony w RN partiami teoretycznie prozachodnimi, nie ma raczej zdolności koalicyjnej. Będzie jednak, jak przewidują eksperci, „głośno krzyczeć”. Jak bowiem na ukraińskiego oligarchę przystało, ma własne media i nie waha się z nich korzystać w celach politycznych. Nie mając większego politycznego wpływu, będzie starał się więc urabiać opinię publiczną. Niedawno kupił, wcześniej prozachodnią, telewizję ZIK. Odszedł z niej Ostap Drozdow. Ten bardzo znany dziennikarz, o jednoznacznie patriotycznym nastawieniu, nie podziela optymistycznych opinii: – Medwedczuk stanie się teraz alternatywnym prezydentem Ukrainy. Właśnie w jego sejfie znajdują się klucze do zakończenia wojny – komentuje Drozdow w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Jego zdaniem Medwedczuk pozostanie jedynym człowiekiem znad Dniepru, z którym Putin zgadza się rozmawiać. – W najbliższym czasie Medwedczuk będzie kontynuował strategię Moskwy, którą można streścić następująco: specjalny status dla Donbasu, pełna amnestia dla separatystów, odbudowa zniszczonych wojną terenów na koszt Ukrainy, zablokowanie wejścia Ukrainy do NATO, wprowadzenie języka rosyjskiego jako państwowego – wylicza Ostap Drozdow. Jego zdaniem na ustępstwa zgodzi się zarówno Żelenski, jak i spora część Ukraińców. – Cieszę się, że prorosyjska opcja zdobyła drugie miejsce w wyborach. Może ukraińscy patrioci zrozumieją, że przesrali swoją państwowość – konkluduje.

REQUIEM DLA KREMLA

A jednak w rosyjskich mediach optymizmu nie słychać. Powyborczy program „Wieczór niedzielny”, prowadzony przez najbardziej zacieklego w państwowej telewizji propagandzistę Putina, Władimira Sołowjowa, przypominał requiem dla sił prokremlewskich na Ukrainie. Pojawiły się nawet głosy, że skoro Medwedczuk „dostał tak mało głosów”, to trzeba go zastąpić kimś innym, kto lepiej obroni rosyjskie interesy. Z drugiej strony prokremlewski oligarcha przedstawiany był także w aureoli męczennika, którego słaby wynik jest efektem „wrażeń propagandy”, cenzury, fałszerstw, jego wyborcom zaś należy pogratulować, że w ogóle odważyli się na jego opcję głosować...

– Jeśli podliczyć elektorat prorosyjski, to jest to nie więcej niż 20 proc. – mówi Haran’. Poza szerzeniem rosyjskiej propagandy, która na podatny grunt nie trafi, nic więcej nie zdziałają. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Przybylski

Rahul Gandhi był „skazany na sukces”. Samo nazwisko dawało mu przepustkę do władzy. Syn, wnuk i prawnuk słynnych premierów po druzgocącej klęsce w wyborach rzekł się jednak stanowiska prezesa partii. Czy to koniec najsłynniejszej dynastii politycznej świata?

Aż 900 mln osób, czyli ponad jedna ósma wszystkich mieszkańców globu. Aż tylu było uprawnionych do głosowania w wyborach parlamentarnych w największej demokracji świata. To tak, jakby w jednym czasie swych reprezentantów wybierali Amerykanie (220 mln uprawnionych do głosowania), wszyscy mieszkańcy Unii Europejskiej, a także kilku krajów Ameryki Południowej.

Te wybory miały być przełomowe nie tylko ze względu na rekordową liczbę osób, które były uprawnione do oddania głosu. Ponieważ ponad 84 mln wyborców mogło oddać swój pierwszy w życiu głos, opozycja liczyła na zdobycie sympatii młodego pokolenia i odebranie władzy urzędującemu premierowi.

Mimo różnic kulturowych główne rozterki hinduskich wyborców stosunkowo łatwo powinni zrozumieć i Europejczycy, i Amerykanie. Kraj, w którym głosujący mówią w ponad 20 oficjalnych językach i w tysiącach dialektów, a klawisze w maszynach do głosowania oznaczone są nie tylko nazwiskami kandydatów, lecz także fotografiami i symbolami partii, ponieważ wielu wyborców to analfabeci, pod względem polaryzacji opinii i nieufności wobec politycznych elit bardzo mocno przypomina takie kraje jak Stany Zjednoczone czy też Polska.

DWA OBOZY

Podobnie jak w kraju republikanów i demokratów oraz PiS-u i „zjednoczonej” opozycji Hindusi podzieleni są na zwolenników dwóch głównych politycznych światów. Z jednej strony sympatyków Indyjskiej Partii Ludowej (BJP) prawicowego premiera Naren-

Rahul Gandhi okazał się wyjątkowo słabym politykiem FOT. GETTY IMAGES



Kres Gandhich

dry Modiego, z drugiej – na miłośników marksistowsko-liberalnej opozycji, której głównym spoiwem łączącym jest niechęć do BJP i „obrona demokracji”, polegająca na zastąpieniu premiera Modiego oraz jego najbliższych współpracowników swoimi, czyli członkami opozycji. W Indiach spory pomiędzy zwolennikami głównych partii są jednak na tyle gorące, że tylko pierwszego z 40 dni głosowania odnotowano co najmniej dwie ofiary śmiertelne starć przed lokalami wyborczymi.

Hindusi od 2013 r. mają też prosty sposób na wyrażenie zniechęcenia politycznymi elitami, który doceniłoby wielu wyborców w innych krajach świata. Przyciśnięcie podczas głosowania klawisza NOTA (None of the Above, czyli żaden z powyższych) oznacza w skrócie, że dany wyborca uważa, iż na jego przedstawiciela nie nadaje się żadna osoba na liście kandydatów. Taki głos jest ważny, choć – rzecz jasna – ma tylko znaczenie symboliczne. Być może m.in. dzięki temu rozwiązaniu do urn chodzi więcej wyborców niż w wielu krajach europejskich. W tym roku frekwencja wyniosła niemal 67 proc.

Tegoroczne wybory były nie tylko tradycyjnym starciem dwóch obozów, lecz także pierwszym głosowaniem, w którym opozycjoniści mieli realną szansę zatrzymać marsz po coraz większą władzę Narendra Modiego. Przedstawiciele ugrupowania pod przywództwem Rahula Gandhiego oskarżali bowiem premiera o zły stan gospodarki, brak pomysłów na walkę z bezrobociem czy rozwiązanie kłopotów indyjskich rolników.

Trzy dni przed rozpoczęciem głosowania lider BJP ogłosił jednak manifest, w którym obiecał obniżenie podatków klasie średniej, przeznaczenie setek milionów dolarów na rozwój rolnictwa oraz miliardów na inwestycje infrastrukturalne, które powinny stworzyć wiele nowych miejsc pracy.

Wyniki przyniosły katastrofalne wieści opozycji. Z 543 mandatów w niższej izbie parlamentu (Lok Sabha), o którą biło się aż 8 tys. kandydatów, Indyjska Partia Ludowa (BJP) zdobyła aż 303, czyli o 21 więcej niż po pierwszym zwycięstwie Modiego.

KŁĘSKA KSIĘCIA Z BAJKI

Partia Rahula zdobyła 52 mandaty. Niby więcej niż pięć lat temu, ale to wciąż fatalny wynik. Indyjski Kongres Narodo-

wy przegrał nawet w rodzinnym Amethi, co jest szczególnie dotkliwą porażką dla politycznej dynastii Nehru-Gandhi.

Porażką o tyle niespodziewaną, że przystojny, bogaty, wykształcony w najlepszych indyjskich, brytyjskich i amerykańskich szkołach oraz uczelniach Rahul Gandhi od dzieciństwa był przez matkę wychowywany na kolejnego premiera Indii.

Teoretycznie do objęcia tego urzędu powinny uprawniać go już same geny oraz nazwisko. Prapradziadek Rahula, Motilal Nehru, działacz indyjskiego ruchu niepodległościowego i towarzysz Mahatmy Gandhiego – duchowego przywódcy kampanii na rzecz niepodległych i świeckich Indii – był założycielem oraz jednym z przywódców Indyjskiego Kongresu Narodowego (INC). Motilal Nehru nie dożył dnia wyzwolenia kraju spod brytyjskiego jarzma. Jednak jego syn, a jednocześnie pradziadek Rahula, znakomicie wykształcony prawnik i działacz ruchu niepodległościowego Jawaharlal Nehru, został pierwszym premierem niepodległych Indii. Pod jego przywództwem Indyjski Kongres Narodowy wygrywał wybory w latach 1951, 1957 i 1962 r. Jawaharlal Nehru rządził zaś aż do śmierci w roku 1964.

Gdy zmarł, członkowie partii, chcąc zapobiec wyniszczającym frakcyjnym wojnom, zdecydowali, że na ich czele stanie jedyne dziecko wielkiego wizjonera – Indira Gandhi. Pragmatyczna, charyzmatyczna i wyjątkowo skuteczna babcia Rahula była pierwszą w historii kobietą władającą Indiami. Była przywódcą tak skutecznym, że dominowała nie tylko na indyjskiej scenie politycznej, lecz także miała silną pozycję na arenie międzynarodowej. Walczyła o prawa kobiet, ale dbała też o militarną siłę kraju. To za jej rządów Indie stały się potęgą atomową. Wreszcie to pod jej przywództwem indyjskie oddziały w grudniu 1971 r. błyskawicznie rozgromiły pakistańską armię, dzięki czemu Pakistan Wschodni przekształcił się w Bangladesz.

Po tym zwycięstwie Indira Gandhi została przez wielu uznana niemalże za świętą. Święta jednak nie była – w 1975 r. wprowadziła stan wyjątkowy, aby pokonać opór parlamentu, za co została ukarana przegraną w wyborach dwa lata później i utratą piastowanego od 1966 r. stanowiska premiera. W kolejnych wyborach rodacy znów postawili ją na czele rządów, które sprawowała

od 1980 r. do 31 października 1984 r., gdy na terenie własnej rezydencji została zastrzelona przez dwóch sikhów – członków swojej osobistej ochrony. Prawdopodobnie okrutny zamach był zemstą za akcję wojsk rządowych przeciwko separatystom na terenie Złotej Świątyni w Amritsarze, podczas której w czerwcu 1984 r. zginęło niemal pół tysiąca marzących o niepodległości sikhów.

O jej wielkim wpływie na kształt współczesnego świata może świadczyć to, że w przeprowadzonym pod koniec XX w. plebiscycie BBC Indira Gandhi została uznana za najważniejszą kobietę drugiego tysiąclecia – wyprzedziła Elżbietę I, Marię Skłodowską-Curie, Matkę Teresę, Margaret Thatcher, Eleonorę Roosevelt czy birmańską opozycjonistkę Aung San Suu Kyi.

Po tragicznej śmierci matki ster rządów i przywództwo w Indyjskim Kongresie Narodowym przejął Rajiv Gandhi. Pilot indyjskich linii lotniczych od polityki długo trzymał się z daleka. Do wkroczenia na scenę polityczną dał się przekonać dopiero w roku 1980, gdy w katastrofie lotniczej zginął jego młodszy brat Sanjay, sztykowany na kolejnego przywódcę Indii.

Zafascynowany stylem amerykańskiego prezydenta Johna F. Kennedy'ego jako najmłodszy szef indyjskiego rządu dbał o wizerunek nowoczesnego premiera. Wspierał edukację, dążył do modernizacji Indii i umocnienia ich pozycji na kontynencie azjatyckim. Jednocześnie, choć odziedziczył po matce lewicowe upodobania, poprawił relacje indyjsko-amerykańskie.

Niestety, brak doświadczenia młodego premiera dobrze wykorzystywali starzy partyjni dygnitarze, przez co kraj trawiła potworna korupcja.

30 lipca 1987 r. Rajiv Gandhi przeżył pierwszą próbę zamachu na swoje życie: zabić próbował go kadet marynarki podczas, gdy premier Gandhi odbierał wartę honorową. Kilka lat później, podobnie jak jego amerykański idol, zginął w zamachu. Nie został zastrzelony. Tamiłskie Tygrysy zorganizowały na niego dużo bardziej okrutną zasadzkę. 21 maja 1991 r. o godz. 10.21, podczas spotkania z wyborcami, podeszła do niego kobieta i pochylając się przed nim, zdetonowała ukrytą pod sukienką bombę. Wybuch był tak potężny, że zabił nie tylko Gandhiego, lecz także



68-letni przywódca Indyjskiej Partii Ludowej Narendra Modi wygrał kolejne wybory FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

■ kilkanaście innych osób, w tym tamilską terrorystkę.

Aby zapobiec rozpadowi partii, liderzy ugrupowania zaproponowali stanowisko prezesa wdowie po Rajivie i matce Rahul. Pochodząca z Włoch Sonia Gandhi szybko nauczyła się płynnie mówić w języku hindi, a na spotkanie z wyborcami przychodziła zawsze ubrana w tradycyjne sari. Włoski urok ułatwiał jej zaś zjednywanie sobie tłumów wyborców.

Sonia Gandhi cieszyła się więc tak dużą popularnością, że w 1998 r. stanęła na czele Indyjskiego Kongresu Narodowego, a w maju 2004 r. poprowadziła partię do spektakularnego wyborczego zwycięstwa. Sonię – w której wielu Hindusów widziało nawet reinkarnację Bogini Matki – nominowano więc na premiera. Ta jednak odmówiła, obawiając się, że Hindusi źle przyjmą rządy sprawowane przez Włoszkę. Pozostała więc liderką partii, a na premiera wskazała byłego szefa resortu finansów Manmohana Singha.

Ugrupowanie utrzymało władzę do 2014 r., czyli do roku, w którym po raz pierwszy kampanią wyborczą kierował młody, zaledwie 44-letni Rahul – bezbarwny, pozbawiony talentów przywódczych i o wiele mniej dynamiczny od 63-letniego wówczas szefa konkurencyjnej Indyjskiej Partii Ludowej. Zamiast trzeciej kadencji Indyjski Kongres Narodowy poniósł więc najdotkliwszą w historii klęskę, zdobywając w parlamencie jedynie 44 mandaty z 543. Dynastia, która rządziła Indiami przez kilkadziesiąt lat, nagle otrzymała przy

urnach cios tak miazdzący, że nie tylko przestała władać krajem, lecz także formalnie straciła nawet miano kluczowej partii opozycyjnej.

Wskazany na lidera partii przez schorowaną matkę Rahul – podobnie jak ojciec – nie jest urodzonym politykiem. Trafnie określili go amerykańscy dyplomaci w tajnych depeszach, które wyciekły do opinii publicznej – Rahul określany jest w nich mianem „empty suit”, czyli – w wolnym tłumaczeniu – pozorant na wysokim stanowisku.

To nie pozbawiło jednak działaczy Partii Kongresowej (jak inaczej nazywany jest INC) wiary w moc politycznego bóstwa. Niestety, potomek rodu wielkich Gandhich ponosił porażkę za porażką. Po przegranej w kolejnych wyborach stanowych jej liderzy zaczęli podejrzewać oszustwa przy urnach, ale ich wiarę w uczciwość systemu wyborczego przywróciły pierwsze zwycięstwa w kilku stanach. Niestety, ostatnie wybory znów zakończyły się klęską, wiarę w siebie stracił więc nawet sam Rahul i zrezygnował z funkcji prezesa partii.

Może to być rzecz jasna taktyczne zagranie. Młody polityk może zyskać czas i spróbować wrócić na scenę polityczną w roku 2024. Na razie taki scenariusz wydaje się jednak mało realny.

INDYJSKI SEN

Wielką nadzieję zwolenników polityki dynastycznej w Indiach była też Priyanka Gandhi. Potomkini trojga premierów jako sekretarz generalna Indyjskiego Kongresu Narodowego podczas kampanii przedwyborczej zjeżdżała cały kraj. Chociaż ma

w sobie wiele charyzmy i jest niezwykle podobna do babki Indiry, to wątpliwe, aby po tym, jak wcześniej została przez dynastię odsunięta głównie do roli matki i żony, była teraz w stanie zatrzymać zmierzch politycznej rodziny.

Czy jest więc jeszcze jakiś Gandhi? Tak. I jest zagorzałym politykiem. Władza od dawna bardzo mocno pociąga 39-letniego Varuna Gandhiego, syna zmarłego w katastrofie lotniczej Sanjaya, który po śmierci ojca wraz z matką został wygnany z domu Indiry Gandhi i przystąpił do opozycyjnej wówczas Indyjskiej Partii Ludowej. Część Hindusów właśnie w nim upatruje następnego przywódcę BJP, a także przyszłego premiera kraju. Na razie nic nie wskazuje jednak na to, aby Indyjska Partia Ludowa miała zmieniać swego lidera. I to nie tylko dlatego, że coraz mniej Hindusów wierzy w ducha Gandhich, lecz także dlatego, iż dla coraz większej liczby wyborców w Indiach politycznym „Mesjaszem” jest Narendra Modi.

68-letni przywódca Indyjskiej Partii Ludowej pełni funkcję premiera od 2014 r. Olbrzymie poparcie wśród rodaków zdobył ciężką pracą, a także etykietką „wroga elit”. Dynamiczny, wręcz brawurowy polityk zdołał przekonać do siebie nie tylko najbiedniejszych, lecz także przedstawicieli klasy średniej.

W przeciwieństwie do przedstawicieli dynastii Gandhich w kampanii skutecznie wykorzystywał zarówno znane nad Gangesem metody dotarcia do wyborców – czyli wielotysięczne wiece – jak i technologiczne nowinki, czyli media społecznościowe. Pewny siebie, charyzmatyczny populistą obiecał rodakom walkę z ubóstwem, tworzenie nowych miejsc pracy, a także otwarcie drogi do bogactwa dla każdego mieszkańca Indii. Premier Modi rozruszał też gospodarkę, poprawił stosunki indyjsko-amerykańskie i przyciągnął wielu zagranicznych inwestorów.

Kłopot w tym, że jednocześnie zaczął ograniczać wolność wypowiedzi i rozbudzać nastroje nacjonalistyczne oraz wskazywać w roli wroga przedstawicieli innych religii, w tym coraz częściej prześladowanych chrześcijan. Dzięki niemu Hindusi masowo uwierzyli jednak, że wreszcie spełni się ich wersja amerykańskiego snu. W takich realiach o powrocie do władzy dynastii Gandhich marzy już mało kto. No chyba że byłaby to inkarnacja Indiry Gandhi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. TYLER DAWSON/TWITTER

O MORDERSTWIE W KOCICH USZACH

Funkcjonariusze z Kanady zorganizowali konferencję na temat podwójnego zabójstwa. Zainteresowanie sprawą przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Jednak nie za sprawą tego, co mówiła policjantka z Kolumbii Brytyjskiej, lecz z tego powodu, że prowadzący transmisję on-line funkcjonariusz nie wyłączył filtra dodającego do twarzy kocie uszka. Nagranie w sieci stało się równie popularne jak niedawny film dalekowschodniego ministra, który również przez filtr na Facebooku przemawiał jako kot.

GRETA KONTRA RZĄD

16-latką ze Szwecji, która dla ekologów stała się postacią symboliczną (wystarczyło, że protestowała w obronie klimatu), zaczyna udzielać porad politykom. W wywiadzie, który przeprowadzono z nastolatką w Sky News, skrytykowała brytyjski rząd – a dokładniej jego starania o ograniczenie emisji CO₂. Zdaniem Greta Thunberg Brytyjczycy zrobią „więcej szkody niż pożytku”, deklarując, że będą nadal ograniczać CO₂ tak, jak robili to do tej pory. Na szczęście Greta na razie tylko publicznie doradza. Jeszcze nie decyduje.

WENECKI ODWET NA TURYSTACH

Wenecjanie mieli tak dość turystów, że zdecydowali się na konkretny regulamin, którego złamanie grozi usunięciem z wyspy. Ostatnio miasto musiało opuścić dwoje turystów z Niemiec, którzy na jednym z cennych zabytkowych mostów rozłożyli się z turystyczną kuchenką gazową, by przygotować sobie kawę. Poza nakazem opuszczenia miasta Niemców ukarano także grzywną w kwocie 950 euro.

ANGLIA NOŻOWNIKÓW

Brytyjskie Krajowe Biuro Statystyczne podsumowało ostatnie 12 miesięcy (od marca 2018 r.). W Anglii i Walii odnotowano aż 43,5 tys. przestępstw z użyciem noża lub innego ostrego narzędzia. W porównaniu ze statystykami sprzed dekady to wzrost o 42 proc. Tylko w Londynie w ubiegłym roku po atakach nożowników zginęły w sumie 33 osoby. A może to jednak dobrze, że Brytyjczycy chcą brexitu?

PAKISTAŃSKA WIZYTA

Premier Pakistanu Imran Khan wybrał się z wizytą do Stanów Zjednoczonych. Podobno z oszczędności szef rządu poleciał normalnym rejsowym samolotem linii Qatar Airways. Na lotnisku w Waszyngton-Dulles powitał go szef MSZ z... Pakistanu. Oprócz podwładnego premiera Pakistanu witali też przedstawiciele pakistańskiej imigracji. Można by pomyśleć, że to pakistańsko-pakistańska wizyta, gdyby nie to, że dzień później Khan miał zaplanowane oficjalne spotkanie z Donaldem Trumpem.

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Ośłabienie frankowiczów



ŁUKASZ WARZECHA

O tym, że prezydent Andrzej Duda, a tym samym PiS, nie spełnił obietnic składanych kredytobiorcom, których dług jest indeksowany do franka szwajcarskiego – wiemy. Ustawa, którą ostatecznie zaprojektował prezydent, to mydlenie oczu. Nie rozwiązuje ona w żaden sposób problemu, bo jest skierowana wyłącznie do osób, które mają finansowe problemy. Tymczasem większość dłużników problemów bieżących nie ma, ale ich dług, mimo lat spłacania, nie maleje, a czasem wręcz rośnie. Stać ich

na raty, ale w złotówkach mają do spłacenia 200 albo więcej procent tego, co pożyczyli.

Kredytobiorcy coraz lepiej radzili sobie natomiast w sądach. Teraz jednak PiS wbija im nóż w plecy nowelizacją prawa bankowego, do której autorstwa nikt nie chce się przyznać. Chodzi o art. 95 tejże ustawy, który w nowej postaci bardzo ułatwi bankom sprzedaż wierzytelności firmom windykacyjnym, a tym samym bardzo utrudni kredytobiorcom negocjacje i prawdopodobnie dochodzenie racji w sądach.

To wyjątkowo paskudne posunięcie – coś w rodzaju podwójnego złamania wyborczej obietnicy. Ewidentne pójście na rękę bankom, czyli wciąż znacznie silniejszej stronie w tym sporze. Stronie, której PiS od początku kadencji pomaga swoją beczynonością w sprawie kredytów indeksowanych do CHF.

Jak najgorsze skojarzenia budzi to, że autor zmiany pozostaje nieznanym. Skoro tak, to natychmiast chciałoby się zapytać, kto załatwił w ten sposób swój mały interesik. A może jednak wcale nie taki mały. ©



Marek Budzisz

Niedawny pożar na supertajnej szpiegowskiej łodzi podwodnej „Łoszarik” wywołał na świecie falę spekulacji, czy nie stoimy aby w obliczu perspektywy powtórzenia katastrofy w Czarnobylu, tylko że ukrytej głęboko pod wodą

Rozważania te wydają się tym bardziej uprawnione, że rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu, który na polecenie Władimira Putina badał przyczyny i konsekwencje katastrofy, zapewniał publicznie, że reaktory atomowe, zarówno „głębokowodnego aparatu”, jak i okrętu podwodnego z którym „Łoszarik” w momencie wybuchu pożaru był połączony, nie ucierpiały. Kilka dni później rosyjska prasa informowała, że w trakcie pogrzebu ofiar w podpetersburskiej tajnej bazie, gdzie stacjonowali polegli, nieujawniony z nazwiska wysokiej rangi oficer rosyjskiej marynarki wojennej miał powiedzieć, że „bohaterstwo i poświęcenie poległych oficerów uchroniło świat przed katastrofą na miarę globalną”.

„KOMSOŁEC” I INNE WRAKI

Jakby tego było mało, w tych samych dniach portal The New Barents Observer ujawnił wyniki wspólnej rosyjsko-norweskiej ekspedycji, badającej wrak sowieckiej atomowej łodzi podwodnej „Komsomolec”, która zatonała w 1989 r. na Morzu Norweskim, na południe od Wyspy Niedźwiedziej. Wrak, do tej pory uważany za relatywnie bezpieczny, właśnie przestał nim być, bo naukowcy z norweskiego Instytutu Badań Morskich poinformowali, że przeprowadzone przez nich pomiary wskazują na wycieki radioaktywne. Mówi się nawet o tym, że niektóre pobrane próby przekraczają dopuszczalne normy o 800 tys. razy. Inne pomiary wskazywały na znacznie niższy poziom promieniowania, co zdaniem Hilde Elise Heldal, norweskiej badaczki kierującej ekspedycją, wskazuje nie tylko na to, że na razie zagrożenie jest niewielkie, lecz także że istnieje bezpośredni związek okresowego wzrostu promieniowania z ruchami oceanu. Jednak zdaniem specjalistów zajmujących się

wydobywaniem wraków, w tym także „radioaktywnych śmieci” z dna światowego oceanu, zasadniczym problemem nie jest to, że na razie zagrożenie wydaje się niewielkie, ale to, iż „Komsomolec” spoczywa na głębokości 1620 m i obecnie nikt na świecie nie byłby w stanie podnieść go na powierzchnię.

Frederic Hauge z ekologicznej grupy Bellona, który na początku lat 90. ubiegłego wieku w ramach wspólnej rosyjsko-holenderskiej ekspedycji badał wrak „Komsomolca”, jest zdania, że w tym przypadku ewentualne wycieki radioaktywne, właśnie ze względu na głębokość, na której znajduje się łódź podwodna, nie są dziś poważnym zagrożeniem. Tym bardziej że znajdujące się na nim rakiety z głowicami nuklearnymi, jak dowodzą ujawnione właśnie zdjęcia, ktoś już po zatonięciu łodzi podwodnej zabrał – a wcześniej rozpruł kadłub. O reaktorze zapomniano. Jego zdnieniem znacznie poważniejszym problemem jest okręt K-159 (według nomenklatury NATO typu „Październik”), który zatonął w czasie sztormu w sierpniu 2003 r. i spoczywa na niewielkiej głębokości 248 m, co gorsza w obszarze aktywnego rybołówstwa. I, jak powiedział mediom, dziś istnieje realne zagrożenie napromieniowania fauny morskiej, a to stanowi bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa ludzi. Zdaniem Hauge’a w reaktorze tej łodzi podwodnej mogło znajdować się od 50 do 60 kg wzbogaconego uranu, który teraz leży na dnie Morza Barentsa.

Jednak nuklearne śmieci zalegające na dnie Morza Barentsa to nic w porównaniu

z tym, czego można się spodziewać w okolicach sowieckiego poligonu nuklearnego znajdującego się na wyspach określanych wspólnym mianem Nowa Ziemia, znajdujących się na Morzu Karskim.

Aszot Serkisow, doradca w Rosyjskiej Akademii Nauk, już w 2012 r. zwracał rosyjskim mediom uwagę na to, że oczyszczenie tego podmorskiego wysypiska nuklearnych śmieci to sprawa niecierpiąca zwłoki. Na dnie Morza Karskiego spoczywają, relacjonował wówczas, m.in. atomowa łódź podwodna K-27 z dwoma reaktorami jądrowymi, która zatonała w 1968 r., dwie przegrody reaktorowe, każda z dwoma reaktorami, oraz wrak atomowego łodołamacza, w którym nadal znajduje się zarówno reaktor, jak i paliwo. A wszystko to na niewielkiej głębokości i w odległości zaledwie ok. 40 km od granicy obszaru, w którym rosyjski gigant paliwowy Rosneft ma zamiar prowadzić wydobycie ropy naftowej na wielką skalę.

Dopiero sześć lat później Rosyjska Akademia Nauk zorganizowała wyprawę badawczą statku „Akademik Mścisław Kiełdysz”, której zadaniem było choćby z grubsza oszacowanie tego, co zalega na oceanicznym dnie. Spadek, który pozostał po sobie działający od 1954 r. na Nowej Ziemi tzw. centralny poligon jądrowy, jest zaiste przerażający. Wstępne szacunki mówią o tym, że w zachodniej części Arktyki na oceanicznym dnie zalega pięć fragmentów reaktorów atomowych, wśród nich są takie, w których nadal znajduje się przepracowane paliwo jądrowe. Dodatkowo rosyjscy akademicy doliczyli się



Czarnobyle



na dnie oceanu

FOT. ANDRZEJ LACIŃCZYŃSKI / WAGES

19 wraków statków, w których ładowniach znajdują się odpady radioaktywne, 755 – jak to w raporcie określono – „konstrukcji oraz bloków jądrowych instalacji energetycznych” zanieczyszczonych „pozostałościami radioaktywnymi”, które nie zostały „hermetycznie zamknięte” oraz, uwaga, 17 tys. kontenerów, w których mogą znajdować się odpady radioaktywne.

Tę ostatnią informację potwierdził zszokowanym dziennikarzom agencji TASS, którzy relacjonowali arktyczną wyprawę, zastępca dyrektora Instytutu Oceanografii Michaił Flint. „Tam leżą setki kontenerów – powiedział – kiedy patrzyliśmy na odczyt ukazujący się na ekranie sonaru, to wyglądało to jak wysypisko kontenerów”. Flint zwraca uwagę na jeszcze jedną kwestię. Otóż rozkład wiatrów na Nowej Ziemi jest taki, że większość pyłów radioaktywnych, powstałych w wyniku licznych próbnych detonacji z czasów sowieckich, absorbowała była przez okoliczne lodowce. Badaliśmy niektóre z nich – mówi mediom – i stwierdziliśmy, że nadal poziom radioaktywności jest tam wielokrotnie wyższy, niż dopuszcza to norma. Tylko że teraz, w związku z ociepleniem się klimatu, lodowce się topią, pękają i „uwolnione w ten sposób góry lodowe” szybko się przemieszczają. „Poprosiłem kapitana – opowiada Flint – abyśmy podpłynęli możliwie blisko do oznaczonej na mapie góry lodowej, po to, aby zbadać jej grubość. I okazało się, że z miejsca, gdzie była ona jeszcze w 2014 r., do jej czoła jest dziś już niemal 2 km”.

Inni rosyjscy akademicy, tacy jak Waleryj Osmanow, uspokajają zaniepokojonych

ekologów. Tylko że jego deklaracje, nawet jeśli uznać, że naukowiec z Rosyjskiej Akademii Nauk ma w stu procentach rację, wcale nie rozwiewają wątpliwości. Otóż na podstawie przeprowadzonych badań uważa on, że pierwsze wycieki radioaktywne z zatopionych kontenerów mogą się zacząć w latach 2020–2030. Intensywnie przeciekać zaczną one dopiero w latach 2060–2080, więc mamy jeszcze od 10 do 30 lat, aby posprzątać dno Oceanu Lodowatego.

PÓŁNOCNA DROGA MORSKA

Problem tylko w tym, że Rosja planuje skokowy wzrost eksploatacji rejonów Dalekiej Północy i w zagospodarowaniu zasobów znajdujących się za kołem podbiegunowym oraz w rozwoju Północnej Drogi Morskiej widzi swą gospodarczą przyszłość. Zapowiedziane przez Putina w 2018 r., po zwycięskich wyborach prezydenckich, ambitne plany rozwoju regionu przewidują m.in., że do 2025 r. nastąpi dziesięciokrotny wzrost tonażu przewożonych Północną Drogą Morską towarów i surowców. Po to, aby te plany zrealizować, na początku lipca prezes Rosneftu, największego rosyjskiego koncernu paliwowego, wystąpił z oficjalnym wnioskiem do rządu o przyznanie jego firmie specjalnych ulg podatkowych. Mówi się nawet o 10 mld dol., które firma chce przeznaczyć na budowę portów, rurociągów i instalacji wydobywczych. Wszystko po to, aby w roku 2030 być w stanie eksportować tą drogą nawet 100 mln ton ropy naftowej. A przypomnijmy, że cały rosyjski

eksport tego surowca wyniósł w 2018 r. ok. 260 mln ton. Realizacja tych planów, a Rosneft nie jest jedynym inwestorem – na Dalekiej Północy chcą inwestować i inne rosyjskie giganty (już tam są Novatek, Gazprom i Lukoil) – oznacza, że szlaki morskie staną się znacznie bardziej ruchliwe. Z tego powodu dno oceaniczne powinno być oczyszczone szybciej.

Jeszcze w 2017 r. jeden z instytutów zajmujących się odpadami nuklearnymi, w tym także zalegającymi dno Oceanu Lodowatego, informował o opracowaniu specjalnego statku katamaranu, który byłby w stanie rozpocząć czyszczenie dna. W pierwszym rządzie planowano podniesienie okrętu podwodnego K-27. Siergiej Małyszew, z kierownictwa instytutu, informował dziennikarzy agencji TASS, że jeśli jego placówka otrzyma niezbędne fundusze, to zgodnie z najbardziej optymistycznym scenariuszem w roku 2022 będzie w stanie przystąpić do wydobycia szczątków zatopionej łodzi podwodnej. Jest tylko jeden problem. Otóż władze zapowiedziały, że jedyny rosyjski poligon, na którym składowane są nuklearne śmieci, zlokalizowany w bazie floty północnej Gremicha, położonej 280 km na południowy wschód od Murmańska, ma zakończyć swą działalność w roku 2020.

Władze nie spieszyły się do tej pory z przeprowadzeniem niezbędnych prac, bo liczyły na zachodnie, w szczególności amerykańskie, zaangażowanie i technologię. Przede wszystkim na zawartą między Rosneftem a ExxonMobil spółkę, której celem miała być eksploatacja złóż ropy naftowej i gazu ziemnego znajdujących się w okolicach Nowej Ziemi. Umowa, którą ze strony amerykańskiej podpisał późniejszy szef Departamentu Stanu, Rex Tillerson, przewidywała, że przed przystąpieniem do wiercenia oczyszczone zostanie dno morskie z zalegających tam śmieci. Tylko że w 2018 r., z powodu antyrosyjskich sankcji, Amerykanie wycofali się z tego przedsięwzięcia. A problem – czy raczej tysiące problemów – nadal leży na dnie oceanu.

W latach 2020–2023 rosyjscy specjaliści mają zamiar zorganizować cztery specjalne ekspedycje na Morzu Karskim, których głównym celem ma być, jak mówi dziennikarzowi „Rossijskiej Gaziety” Margarita Katkowa, kierująca Laboratorium Monitoringu Radiacyjnego, inwentaryzacja podmorskich śmietnisk nuklearnych i sporządzenie ich map. Jeśli chodzi o ich uprzątnięcie, to na razie panuje w tej kwestii cisza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Wróblewski

W krytycznym dla europejskiej gospodarki momencie Europejskim Bankiem Centralnym (EBC) nie pokieruje ani bankier, ani ekonomista, tylko zaufana unijnego establishmentu

Christine Lagarde z wykształcenia jest prawnikiem. Chociaż pewnie powinienem dodać: paryskim prawnikiem. Przez całą karierę obracała się w środowisku francuskiej socjety. A dla pełnej ścisłości powinienem napisać – nie prawnikiem, tylko prawniczką. Lagarde przywiązuje ogromną wagę do żeńskich przymioków. Może i nie ma na swoim koncie żadnej uznanej doktryny prawnej ani tym bardziej opracowania z zakresu ekonometrii i jest pierwszym byłym szefem Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW), który/która nie zostawił/zostawiła po sobie żadnych wskazań makroekonomicznych, ale za swój wielki wkład do światowej ekonomii uważa wprowadzenie do sprawozdawczości MFW wskaźnika udziału kobiet w globalnym PKB.

MIĘDZY WASZYNGTONEM A PARYŻEM

Lagarde jest politykiem z krwi i kości. Swoją karierę w finansach zawdzięcza nieprzeciętnym zdolnościom w budowaniu relacji, rzadkiej wśród bankierów elastyczności i umiejętności stawiania na właściwych ludzi, zanim jeszcze zostali liderami.

Thomas Weissler, jeden z ekonomistów uczestniczących w serii nocnych nasiadówek w samym apogeum kryzysu greckiego w maju 2010 r., wspominał w jednym z wywiadów, że Lagarde przez siedem godzin rozpalonej dyskusji bankierów ani razu się nie odezwała. Cały czas coś zawzięcie notowała. Nad ranem negocjatorzy byli wycieńczeni, Grecja za chwilę miała rozsadzić całą strefę euro, a kompromis wciąż był daleko. Wtedy, nieproszona o głos, przemówiła Lagarde. A tak naprawdę odczytała swoje notatki. Wszystkie najważniejsze tezy każdego z wcześniejszych mówców. Na koniec przeczytała słowa swojego poprzednika w EBC Mario Draghi: „Grecja musi zostać w strefie euro – niezależnie od kosztów”.



FOT. JOSE LUIS MAGANA/ANFEST NEWS

W pełni dyspozycyjna

Myśl często do dziś jej przypisywana, choć nie była jej myślą, tak jak nie jej będzie polityka EBC pod jej rządami, choć to ona pewnie zbierze za to wszystkie laury. Lagarde do dziś lubi przypisywać sobie zasługi w wypracowaniu kompromisu w sprawie Grecji. Co można by uznać za prawdziwe, gdyby nie to, że później wbrew obietnicom składanych Atenom stanęła po stronie wielkich banków.

Christine Lagarde równie dobrze czuje się we Francji, co w Ameryce. I równie dobrze posługuje się angielskim, co francuskim. Elitarne liceum kończyła w Waszyngtonie, studia prawnicze w Paryżu, potem, znowu w Waszyngtonie, praca dla republikańskiego kongresmena Williama Cohena. I znowu transfer do Paryża i kariera w renomowanej amerykańskiej kancelarii Baker McKenzie, gdzie zajmowała się prawem antymonopolowym. Była to furtka do pracy przy najbardziej intratnych transakcjach i fuzjach. To trudne i wyczerpujące zajęcie, bardzo opłacalne finansowo i idealne do budowania osobistych relacji z najbardziej wpływowymi postaciami w biznesie i polityce. W jej wypadku była to droga do stanowiska ministra ds. handlu

w rządzie premiera Dominique'a de Villepina w 2005 r., a trzy lata później, już pod nowymi rządami, przejęła tekę ministra finansów i gospodarki. Szybko wzmacniała swoją pozycję w partii, stając się najbliższą współpracowniczką prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego. Swoją otwartością i szybkim przechodzeniem na angielski oczarowała brytyjskie media.

W środku kryzysu euro, jako odpowiedzialna za tragiczne wyniki finansowe, zrzęcznie przesterowała debatę z francuskiego deficytu na problemy Grecji. W 2010 r. na wspólnej konferencji rzuciła do premiera Jorgosa Papandreu: „Tu nie chodzi o ekonomię Francji, tu chodzi o to, żeby Grecy zaczęli wreszcie płacić należne podatki”. Wypowiedź, wielokrotnie później przytaczana w Niemczech, ustawiła całą debatę na temat kryzysu europejskiego – jako pochodną oszustw i lenistwa Greków. Później to samo miało odnosić się do Włochów czy Hiszpanów.

CIEMNE PLAMY

Swoją karierę w światowej bankowości Lagarde zawdzięcza niemal wyłącznie prezydentowi Sarkozy'emu. Pewnie w normal-

nych okolicznościach nawet dobre słowo prezydenta by nie wystarczyło do objęcia stanowiska szefa Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a brak doświadczenia bankowo-ekonomicznego i słabe oceny jej ministrowania uniemożliwiłyby tak spektakularny awans. Rzecz działa się jednak w atmosferze sekskandalu. Jej poprzednik Dominique Strauss-Kahn został oskarżony i aresztowany, najpierw za gwałt na pokojówce z hotelu w Nowym Jorku, później doszły i inne zarzuty – molestowania oraz agresji seksualnej. Sarkozy obiecał amerykańskiemu sekretarzowi skarbu Timothy'emu Geithnerowi, że skazanie Kahna na długoletnie więzienie (chodziło o oddanie sprawiedliwości amerykańskiej obywatelce). W zamian prosił o poparcie dla Lagarde. Ostatecznie obaj dotrzyмали słowa.

Nowa szefowa EBC nie zawsze jednak miała tyle szczęścia w swojej karierze. Na swoim koncie ma kilka ciemnych plam, które nawet jej wpływowym protektorom trudno jest wymazać.

Jak choćby zarzuty o niedopełnienie obowiązków i brak reakcji na piramidę VAT-owską w latach 2008 i 2009, kiedy była ministrem gospodarki i finansów. Francuska mafia podatkowa wyspecjalizowała się w handlu zielonymi certyfikatami, mimo rozlicznych sygnałów i monitów ze strony organizacji ekologicznych Lagarde nic nie robiła, żeby ukrócić proceder. Szacuje się, że 5 mld euro poszło do kieszeni organizacji przestępczych handlujących prawami do emisji CO₂.

Lagarde wykazała się również nieudolnością w przypadku oszukiwanych procedurów przejęć i restrukturyzacji prowadzonych przez lewicowego polityka i biznesmena Bernarda Tapie. Został on skazany na dwa lata więzienia, ale sposób, w jaki państwo potem usiłowało przejąć i zabezpieczyć jego majątek, był wyjątkowo niezdatny. Lagarde, według francuskiego Trybunału Sprawiedliwości, dopuściła się nie tylko błędów proceduralnych, lecz także poważnych fałszerstw, w wyniku czego rząd musiał zapłacić przestępcy odszkodowanie w wysokości 400 mln euro. Sprawa toczyła się przed różnymi sądami całymi latami. Co prawda Lagarde ostatecznie uniknęła kary, ale sąd uznał ją winną zaniedbań.

Wciąż niewyjaśniona pozostaje również sprawa osobistego zaangażowania Lagarde w sprawę dziwnych transakcji jej partnera życiowego. Xavier Giocanti, korsykański biznesmen, kierował organizacją czy raczej

konsorcjum biznesów zarządzających funduszami unijnymi. Organizacja została oskarżona przez Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF) o sprzeniewierzenie funduszy i nieuczciwe praktyki. Giocanti w ramach ugody musiał zapłacić Komisji Europejskiej milion euro odszkodowania. Lagarde utrzymywała, że o niczym nie wiedziała, ale związek przetrwał.

Prezydent Emmanuel Macron, na pytanie o liczne kontrowersje wokół Lagarde i jej brak przygotowania do pełnienia stanowiska szefa EBC, odpowiedział: „To jest stanowisko polityczne”. Symptomatyczne zdanie, doskonale odczytane przez rynki finansowe. W dzień po nominacji Lagarde na szefową EBC inwestorzy, nie czekając nawet na pierwsze oficjalne wystąpienie, ruszyli na zakupy obligacji. Wszyscy głęboko przekonani, że nie ma co czekać na jej osobisty ogląd sytuacji monetarnej, założyli, że będzie kontynuowała politykę luzowania monetarnego swojego poprzednika i drobniawo wypełniała wolę swoich mocodawców – Macrona i Merkel. Rentowność niemieckich obligacji 10-letnich spadła natychmiast po nominacji. To samo działo się we Francji, gdzie obligacje rządowe spadły do minus 0,136 proc. Rentowność włoskich obligacji 10-letnich była notowana na poziomie 1,651 proc., co oznacza spadek o 0,241 punktu procentowego.

Lagarde, podobnie jak Draghi, wydaje się zdeterminowana, by ratować europejską gospodarkę, wspólną walutę, wykorzystując do tego publiczne pieniądze. Choć tak naprawdę nie ma już w ręku wielu instrumentów do prowadzenia ambitnej polityki interwencyjnej – dalszego obniżania stóp procentowych, tak jak i dalszego drukowania pieniędzy – bo w praktyce do tego sprowadza się program luzowania. Problem w tym, że dotychczasowa polityka sztucznego pobudzania rynku nie dała większych efektów i jak na razie nic nie wskazuje na to, że Europa odżyje po kolejnych programach wykupu obligacji. Co nie zmienia tego, że na dłuższą metę program może udławić rynek finansowy w strefie euro i ostatecznie osłabić konkurencyjność względem Ameryki i Chin.

Przypomnijmy, że jeszcze całkiem niedawno panowała zgoda co do konieczności stopniowych podwyżek, a nie obniżek oprocentowania. Draghi przymierzał się do tego ruchu kilkakrotnie, ale za każdym razem lądował na dywaniku europejskich przywódców, którzy naciskali na kontynuację polityki sztucznego stymulowania ryn-

ku. I pod tym względem wybór Lagarde na stanowisko szefa EBC wydaje się logiczny. Lojalny, elastyczny i słuchający polityków prawnik, rezygnujący z ambicji bankowej niezawisłości.

UTRZYMAĆ ELITY

W wojnie o utrzymanie władzy liberalno-demokratyczne rządy nie chcą nawet słyszeć o oszczędnościach, wyrzeczeniach i mniejszym rozdawnictwie. Potrzebują narzędzi do składania co i rusz nowych, hojniejszych deklaracji. Zarówno Macron, jak i Merkel, a już na pewno Salvini chcą, żeby bank centralny bardziej troszczył się o utrzymanie liberalno-demokratycznych elit przy władzy niż o makroekonomiczne perspektywy.

Partia Angeli Merkel, wystraszona postępami AfD i Zielonych, radykalnie zwiększyła w tym roku wydatki socjalne do 145,3 mld euro (największy program rozdawnictwa w historii kraju). Wśród rozmaitych ulg są też gwarancje „godnych” emerytur, nawet dla tych, którzy pracowali zaledwie kilka lat. Cztery miliony pracujących Niemców dostaje dziś zasiłki, dodatki do pensji.

We Francji prezydent Emmanuel Macron, wystraszony wielotygodniowymi protestami, zrezygnował z podwyżek cen paliw, zapewnił dodatkowe fundusze – ponad 10 mld euro – na dopłaty dla osób o najniższych zarobkach. Wycofał się z likwidacji 200 tys. etatów w administracji publicznej, ba, dał urzędnikom podwyżki, ale za to wprowadził nowe, karne podatki dla firm, które zatrudniają ludzi na krótko-terminowe umowy.

W Hiszpanii premier Pedro Sánchez, socjaldemokrata, żeby wygrać wybory z prawicową partią Vox, podniósł o 22 proc., do 900 euro, płacę minimalną i o 3 proc. minimalną emeryturę, przy okazji dostało się ekstra 2 proc. urzędnikom.

Analitycy oczekują, że 12 września na posiedzeniu EBC Lagarde zaproponuje obniżenie i tak już negatywnych stóp procentowych, a równolegle rozpocznie nową transzę wykupu obligacji na poziomie 2,6 bln euro. Jedyne, co różnić będzie ją od poprzedników, to to, że Lagarde nie podejmie najmniejszej próby udowodnienia światu, że EBC prowadzi niezależną politykę pieniężną. W pełni dyspozycyjna, kiedy przyjdzie odpowiedni moment czy prośba z Pałacu Elizejskiego, zwróci się również przeciwko polskiemu rządowi, domagając się szybkiego przyjęcia przez nas euro.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ktoś bardziej obniży podatki?

W odróżnieniu od wiecznie szukających dziury w całym – do czego, nie kryje, sam też mam słabość – czasami staram się poszukać całego w dziurze.

Ot, choćby – polscy politycy, uporczywie ścigający się na pomysły, komu by tu jeszcze i ile pieniędzy zebranych od podatników podarować (bo to jest teraz w modzie), na szczęście nie zapomnieli zupełnie o (dziś niemodnym) obniżaniu podatków. Być może dlatego, że jednak – wbrew sprawianemu przez siebie wrażeniu – zdają sobie sprawę, że bez płacących podatki nie mieliby za co robić swoich prezentów.

I tak rządzący dziś Polską politycy PiS – między jedną a drugą decyzją o „500+”, „300+”, „900+”, kolejnym „500+” itd. – najpierw obniżyli CIT (tylko, rzecz jasna, małym firmom, bo duże są „be”) z 19 do 15 proc., a potem – znów tylko małym firmom – do 9 proc. I w dodatku na tym nie poprzestali, bo nie dość, że (znów tylko małym firmom) zredukowali wysokość daniny do ZUS, to jeszcze obniżyli wymiar podatku wszystkim uboższym podatnikom (bo bogatsi są „be”), czyli ścięli stawkę pierwszego progu podatkowego PIT z 18 do 17 proc. A na deser w ogóle uwolnili od PIT pracujących na etacie Polaków z miast, którzy nie ukończyli 26. roku życia, i w ten sposób po raz pierwszy w historii III RP zrównali Polaków z miast (niestety, tylko tych do 26. roku życia) z Polakami ze wsi (którzy, jak wiadomo, bez względu na wiek, PIT nie płacą).

Wzorem PiS o obniżaniu podatków nie zapomina też Platforma – choć w jej przypadku należy pisać nie o obniżaniu podatków, ale o obciążaniu obniżania podatków. Albowiem, w odróżnieniu od PiS, Platforma jest partią słynącą ze składania przyrzeczeń, których nie spełnia – ongiś złożyła bez liku obietnic redukcji podatków, w tym słynne 3 x 15 PIT, CIT i VAT – i zamiast choć jedną z nich zrealizować, podniosła VAT z 22 do 23 proc. Otóż ta sama Platforma w ramach „szóstki Schetyny” zapowiada obniżenie obu stawek PIT – z 17 do 10 proc. i z 32 do 24 proc. I, rzecz prosta, jak zwykle nie wskazuje, skąd wzięłaby na to pieniądze.

Wszelako wszystkie te obniżki i obietnice obniżek PIT – razem wzięte – niewiele znaczą przy sukcesie odniesionym przez stawianego w Polsce za wzór – pech chce, że akurat nie w tej dziedzinie – Viktora Orbána. U progu swych rządów – w 2011 r. – wprowadził on na Węgrzech podatek liniowy na poziomie 16 proc., a potem jeszcze obniżył jego wymiar do 15 proc. A przecież to nie wszystko, bo szczęściem płacenia liniowego PIT cieszą się także m.in. Czesi (15 proc.), Litwini (15 proc.), Ukraińcy (13 proc.), Rosjanie (13 proc.), Białorusini (12 proc.), Rumuni (10 proc.) i Bułgarzy (10 proc.).

Nie zapominajmy jednak, że najlepiej mają polscy rolnicy, którzy w ogóle nie płacą PIT, i krzywdą się z tego powodu nikomu nie dzieje. I to do nich powinniśmy równać. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Różnice kulturowe

Oto opis pracy dwóch oddalonych od siebie o kilkanaście kilometrów urzędów gminy sprzed dekady. W jednym porządek, punktualność, brak kolejek. W drugim bałagan, zamieszanie i kolejki. Pierwszy kiedyś był na terenie zaboru pruskiego, drugi rosyjskiego. Parę pokoleń Polaków poddanych wpływom kultury zaborcy i nawet sto lat później widać różnice.

W odległym kraju, w którym panuje kulturowy patriarchy, Europejczyk ożenił się z miejscową kobietą. Mają dzieci, żyją na dobrym poziomie, wszystko układa się bardzo dobrze. Pewnego dnia, podczas wizyty rodziców żony, teść bierze zięcia na stronę i daje mu radę. – Ty musisz jej przyłać raz na jakiś czas, nie z otwartej, ale najlepiej pięścią. Bo jak jej nie przylejesz, to nie będzie wiedziała, kto jest głową rodziny. Taka rozmowa między teściem a zięciem szokuje chrześcijan wychowanych w Europie, ale jest czymś naturalnym w krajach o innych korzeniach kulturowych.

Przykłady można mnożyć. W Polsce pies jest przyjacielem człowieka, dzieci chętnie się bawią z psami. W Kazachstanie dziecko na widok psa łapie za kamień, ponieważ historycznie psy pełniły funkcje obronne i miały trzymać obcych z dala od jurty, zatem pies jest zły i może ugryźć. Gdy w Kazachstanie na jednym z pięknych górskich szlaków spotykałem turystę z przyjaznym psem, który z daleka

machał ogonem do mojego psa, to wiedziałem od razu, że to cudzoziemiec. W Szwecji, jeszcze przed ostatnią falą migracji, nie było płotów wokół domów i nie zamykano drzwi na klucz. W stolicy Kostaryki, San José, widziałem czterometrowe płoty otaczające rezydencje i dodatkowo na górze był metr drutu kolczastego pod prądem. Polska, z otoczonymi płotem i zaszlabanionymi „strefami Schengen”, ciągle bardziej przypomina mi Kostarykę niż Szwecję.

Gdy zacząłem pracę w Tokio jako informatyk w 1990 r., kolega siedzący przy biurku naprzeciwko od razu ostrzegł mnie, że dwa biurka dalej siedzi Chińczyk i żebym na niego uważał, bo może mnie okraść. Okazało się, że ten Chińczyk miał doktorat z matematyki i był świetnym informatykiem, ale uwarunkowania kulturowe były silniejsze.

Amerykanie wymordowali Indian i znęcali się nad czarnymi niewolnikami, Niemcy wymordowali miliony Żydów, Polaków i przedstawieli innych nacji, więc muszą teraz się z tym zmierzyć i agresywnie promować tolerancję. Polacy nie muszą, bo mają to od setek lat w swoim DNA, tylko że Niemcy i Amerykanie tego nie rozumieją.

Świat byłby lepszy, gdybyśmy wiele podróżowali i nauczyli się rozumieć różne uwarunkowania kulturowe. Dotyczy to szczególnie młodych ludzi. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: TP-LINK DECO M4

Bardzo dobra wydajność, stabilna praca, prosta konfiguracja oraz świetny stosunek wydajności do ceny – to największe zalety urządzenia, które ma za zadanie zlikwidować w mieszkaniu lub w domu strefy bez Internetu i poprawić działanie sieci Wi-Fi w dużych mieszkaniach i typowych polskich domach (zarówno jedno-, jak i wielopiętrowych).

W zestawie do tworzenia domowego systemu Wi-Fi Mesh znajdują się dwa zgrabne i lekkie plastikowe urządzenia. Niewielkie białe tuby mają atrakcyjne nowoczesne wzornictwo. Na pochwałę zasługuje też wysoka jakość zastosowanych materiałów.

Według producenta dwa takie urządzenia pozwalają pokryć siecią Wi-Fi dom o powierzchni do 260 mkw. Jeżeli potrzebujemy czegoś do jeszcze większej powierzchni, to wystarczy dokupić dodatkowe routery Deco. Urządzenia współpracują ze sobą w celu stworzenia jednolitej sieci Wi-Fi. Dzięki temu, kiedy będziemy chodzić po domu, nasz smartfon lub laptop zawsze będzie łączył się z tym urządzeniem, które w danym kącie oferuje najlepsze połączenie. Przy czym domowy „roaming” działa automatycznie, bez przerywania sygnału.

Urządzenia Deco M4 mogą służyć zarówno jako tradycyjny router, jak i jako punkty dostępowe służące do rozbudowy już istniejącej sieci.



A co z prędkościami? Działając przy wykorzystaniu częstotliwości 5 Ghz, zapewniają prędkość maksymalną 867 Mb/s, a przy częstotliwości 2,4 Ghz prędkość deklarowana przez producenta wynosi 300 Mb/s. Podczas redakcyjnych testów nie udało nam się osiągnąć deklarowanych prędkości transferu. Trzeba jednak stwierdzić, że zestaw Deco M4 diametralnie polepsza jakość domowej czy biurowej sieci Wi-Fi, zdecydowanie podnosząc transfery danych w najdalszych za-

markach domu, mieszkania czy małego biura. Do każdego ze znajdujących się w zestawie dwóch routerów Deco można bezprzewodowo podpiąć do 50 urządzeń.

Plusem testowanego gadżetu jest łatwość konfiguracji, a także późniejszego zarządzania (dzięki specjalnej aplikacji można zdalnie sterować domową siecią nawet wtedy, gdy jesteśmy w podróży).

Aplikacja umożliwia też szybką konfigurację internetowej sieci dla naszych gości, a także oferuje intuicyjną funkcję kontroli rodzicielskiej (można filtrować treści, ustawiać dzieciom limity czasowe lub zdalnie zawieszać połączenie z Internetem).

Minusy? W routerach Deco są porty Ethernet, brakuje jednak portu USB i bardzo brakuje przycisku WPS (jest jedynie przycisk resetu). Z kolei, aby zarządzać sprzętem z poziomu aplikacji, musimy znać któryś z popularnych języków obcych – polskiego próżno bowiem szukać. Szkoda też, że router Deco nie ma wejścia na kartę SIM.

Mimo kilku wad urządzenie z powodzeniem spełnia swoje główne zadanie i likwiduje strefy pozbawione szybkiego transferu danych bez konieczności kładzenia jakichkolwiek kabli. Jednocześnie testowany gadżet jest oferowany w przyzwoitej cenie, która wynosi 399 zł. ©©

Jacek Przybylski

DONICZKA Z UCZUCIAMI

Podobno rośliny też krzyczą i cierpią, kiedy je gryziemy (dlatego wolę schaboszczaka).

Niemniej jednak w domu, w którym jest sporo zieleni, żyje się zdrowiej, przyjemniej i weselej. Zwłaszcza jeżeli roślina, a przynajmniej doniczka komunikuje się z domownikiem. I tu na scenę wchodzi Lua, czyli inteligentna doniczka z „uczuciami”.

Na czym polega jej sekret? Otóż dzięki 15 zainstalowanym w niej czujnikom mierzy wilgotność gleby, ekspozycję na światło i temperaturę, czyli czynniki niezbędne, by utrzymać domowe rośliny w dobrej formie. A następnie za pomocą animowanych ikon, np. uśmiechniętej lub smutnej minki, ocenia, czy czynniki te są korzystne dla danej rośliny.

Doniczka ostrzega także, kiedy przycinamy lub obrywamy liście roślince, ale też wesoło się szczerzy, gdy dolewamy jej wody lub użyźniamy glebę.

Doniczkę można zamawiać na portalu Indiegogo w cenie ok. 500 zł. Dostawa w grudniu.



PUCU-PUCU, CHLASTU-CHLASTU...

...nie mam rącek jedenastu. Gdyby to jeszcze całkiem samodzielnie myło, odkurzało i polerowało, byłoby całkiem niezłe. Ale i tak jest całkiem nie najgorzej.ROIDMI NEX Storm, czyli inteligentna hybryda odkurzacza i mopa. Odkurzy na całkiem niezłym poziomie ssania, wyczyści zabrudzenia i zarazem pozwoli bardzo dokładnie wypolerować powierzchnie płaskie. Do tego bateria wytrzymała do 60 minut pracy oraz magnetyczna, bezprzewodowa ładowarka. Jak przekonuje producent, szczególnie innowacyjne rozwiązanie stanowi wodoodporna szczoteczka rolkowa połączona z magazynem mopa – Mop Box, w którym można przechowywać 180 ml wody; wystarczy napełnić go wodą i przymocować do główki szczoteczki. To pozwoli na bardziej skuteczne czyszczenie wszelkich plam i brudu na podłodze w trakcie odkurzania. Urządzenie służy nie tylko do czyszczenia podłóg. Możemy również zastosować je do czyszczenia sofy, łóżka, wentylacji, klawiatury, półki, szafki – jest bowiem wyposażone w wiele dysz i szczotek, w tym szczotkę do czyszczenia z roztopczy sprzętu elektrycznego, miękką szczotkę do czyszczenia rolek, szczotkę z włókna węglowego, wąż rozciągliwy, szczelinówkę, szczotkę do odkurzania i szczotkę do czyszczenia.

Cena urządzenia to ok. 1520 zł, zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa we wrześniu. ©©

Wojciech Wybranowski



raport
DO RZECZY

POLITYKA SUROWCOWA PAŃSTWA

- Polskie inwestycje na rynku gazu i ropy
- Znaczenie dywersyfikacji dostaw
- Energetyczna współpraca Polski i USA



Partnerzy raportu:



Polska potrzebuje polityki surowcowej

Do Świnoujścia dotarł już pierwszy ładunek LNG ze Stanów Zjednoczonych w ramach kontraktu podpisanego przez PGNiG na najbliższe ćwierć wieku. Za rządów PiS udało się wreszcie zwiększyć dywersyfikację źródeł zaopatrzenia Polski w surowce energetyczne: nie tylko gazu, lecz także ropy

Oak Spirit! Ma 294,9 m długości, 46,4 m szerokości, 63,4 m wysokości, 131 303 t wyporności, pływa pod bahamską banderą i przejdzie do historii światowej energetyki. W 2017 r. dostarczył pierwszy ładunek amerykańskiego LNG do Japonii. 11 lipca 2019 r., po załadunku w terminalu eksportowym Sabine Pass nad Zatoką Meksykańską, ten trzyletni gazowiec wyruszył w kierunku Świnoujścia z pierwszą dostawą LNG z USA w ramach kontraktu podpisanego przez PGNiG z Cheniere Marketing International. Umowa podpisana na najbliższe 24 lata opiewa na ok. 0,7 mld m sześć. gazu po regazyfikacji w latach 2019–2022 oraz ok. 39 mld m sześć. po regazyfikacji w latach 2023–2042.

Tego typu stałe dostawy oznaczają dla Polski nie tylko większe bezpieczeństwo, lecz także większą siłę negocjacyjną w rozmowach na temat dostaw gazu z przedstawicielami Rosji.

ENERGETYCZNY SZANTAŻ

Przez niewystarczającą ilość własnych złóż ropy naftowej i gazu ziemnego, a także uwarunkowania historyczne – po II wojnie światowej Sowieci robili wiele, aby uzależnić Polskę od dostaw własnych surowców energetycznych – nadal głównym dostawcą ropy i gazu jest Federacja Rosyjska.

Władze na Kremlu bez skrupułów wykorzystują zaś swe zasoby naturalne jako narzędzie do kreowania polityki międzynarodowej, czego doskonałym

przykładem były konflikty gazowe między Rosją a Ukrainą (Ukraińcy importują od Rosjan ok. 40 proc. oleju napędowego i LPG). Po inwazji na Krym Moskwa pod groźbą zakręcenia kurków zażądała od Kijowa przedpłat za surowce energetyczne, a Władimir Putin oficjalnie w liście otwartym do przywódców europejskich ostrzegał, że Europie grozi poważny kryzys związany z dostawami gazu.

o 20 proc., choć niskie zapotrzebowanie odbiorców na gaz o tej porze roku sprawiało, że sytuacja nie stanowiła zagrożenia dla stabilnej pracy systemu.

W 2014 r. Rosjanie obniżyli wolumen gazu tłoczonego m.in. do Polski, aby ograniczyć skalę rewersowych dostaw gazu, które z Europy Środkowej trafiały na Ukrainę.

SUKCES POLSKIEGO TERMINALU

Aby zapewnić bezpieczeństwo surowcowe kraju i ograniczyć ryzyko ewentualnych szantaży gazowych, rząd PiS zintensyfikował działania zmierzające do dywersyfikacji dostaw surowców.

Zdecydowano więc o rozbudowie Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha



„Oak Spirit” z ładunkiem LNG dla PGNiG do gazoportu w Świnoujściu dotarł w zeszłym tygodniu. FOT. TEEKAY

W czerwcu 2016 r., tydzień przed szczytem NATO w Warszawie, Gazprom przykręcił Polsce kurek z gazem bez uprzedzenia i bez podania przyczyny – przez krótki okres wolumen dostaw z kierunku wschodniego spadł nawet

Kaczyńskiego w Świnoujściu – kluczowego elementu realnej dywersyfikacji dostaw gazu do Polski i pierwszej tego typu instalacji w Europie Środkowej.

W połowie czerwca 2016 r. terminal w Świnoujściu przyjął pierwszą



W czerwcu o dostawach LNG dla Polski rozmawiali w USA prezydent Andrzej Duda i sekretarz energii Rick Perry

FOT. THE BEAUMONT ENTERPRISE/AP/EAST NEWS

komercyjną dostawę skroplonego gazu ziemnego. Statek „Al-Nuama” dostarczył wówczas do Świnoujścia 210 tys. m sześć. gazu LNG. Ponieważ trudno sobie wyobrazić, czy to dużo, czy mało, PGNiG oszacowało, że jeden ładunek metanowca wystarcza np. na 24 dni ogrzewania wszystkich polskich domów jednorodzinnych wyposażonych w piece gazowe lub na trzy miesiące gotowania obiadów na wszystkich kuchenkach gazowych w Polsce.

Do lipca 2019 r. do świnoujskiego terminalu LNG dotarło już 65 dostaw skroplonego gazu ziemnego. Tylko w obecnym roku do polskiego gazoportu zawinęło już 18 statków. W ciągu kilku lat do Polski przypłynęły dostawy m.in. z Kataru, Norwegii oraz ze Stanów Zjednoczonych. Polski terminal ma najwyższy wskaźnik wykorzystania spośród ponad 20 lądowych terminali regazyfikacyjnych w Europie.

Obecnie moc regazyfikacyjna terminalu LNG w Świnoujściu wynosi ok. 5 mld m sześć. rocznie, czyli tyle, ile mniej więcej wynosi jedna trzecia polskiego zapotrzebowania. Spółka Polskie LNG realizuje już jednak program rozbudowy terminalu, zakładający m.in. zwiększenie mocy regazyfikacyjnych, budowę drugiego nabrzeża przeznaczonego dla mniejszych jednostek pływających oraz postawienie trzeciego zbiornika na LNG o pojemności 180 tys. m sześć. Terminal LNG im. Lecha Kaczyńskiego po rozbudowie ma mieć moc regazyfikacyjną wynoszącą 7,5 mld m sześć., czyli blisko połowę

rocznego zapotrzebowania na gaz w Polsce. Docelowo jego moc ma zaś wzrosnąć do 10 mld m sześć.

Terminal już teraz stanowi nie tylko istotny element niezależności energetycznej Polski, lecz także istotny argument podczas negocjacji nowych kontraktów, co w przyszłości powinno się przełożyć na poprawę warunków cenowych dostaw surowców.

Terminal w Świnoujściu to także pierwszy element tzw. korytarza północnego, który terminal ma tworzyć wraz z gazociągami na norweski gaz zbudowanym pomiędzy Polską a Danią. W kwietniu 2019 r. w wydanym komunikacie prezes Tomasz Stępień deklarował, że kierowany przez niego Gaz-System jest zdeterminowany, żeby zrealizować inwestycję Baltic Pipe zgodnie z harmonogramem. To zaś oznacza, że uruchomienie przesyłu w gazociągu biegnącym po dnie Morza Bałtyckiego powinno nastąpić w październiku 2022 r. Gaz-System ma też wybudować połączenia z Czechami, ze Słowacją oraz z Ukrainą i Litwą. Polska ma więc szansę stać się energetycznym liderem w Europie Środkowo-Wschodniej.

ENERGETYKA FILAREM RELACJI Z USA

Dzięki sukcesowi terminalu LNG w Świnoujściu oraz konsekwentnej realizacji projektu Baltic Pipe polski rząd mógł pozwolić sobie na złożenie niezwykle ważnej deklaracji: obowiązujący do roku 2022 kontrakt jamalski z Gazpromem nie zostanie przedłużony.

Aby zwiększyć bezpieczeństwo energetyczne kraju, rząd w Warszawie rozwija więc współpracę energetyczną z Waszyngtonem. W listopadzie 2018 r. minister energii Krzysztof Tchórzewski oraz sekretarz ds. energii USA Rick Perry podpisali deklarację o wzmocnionej współpracy w zakresie bezpieczeństwa energetycznego, a zwłaszcza w kwestiach bezpieczeństwa dostaw gazu i energetyki jądrowej.

W czasie wizyty w lutym 2019 r. w Warszawie wiceprezydent USA Mike Pence, nawiązując do kontraktów za dostawy do Polski gazu skroplonego ze Stanów Zjednoczonych, podkreślał znaczenie polsko-amerykańskiego dialogu w dziedzinie energii. Ma on sprawić, aby ani Polska, ani żaden kraj w Europie „nie stał się zależny w tej dziedzinie od znowu agresywnej Rosji”.

Zarówno Warszawa, jak i Waszyngton stanowczo protestują więc przeciwko budowie groźnego dla bezpieczeństwa Polski gazociągu Nord Stream 2.

Podczas czerwcowej wizyty w Stanach Zjednoczonych prezydent Andrzej Duda spotkał się z amerykańskim sekretarzem energii Rickiem Perrym w Sabine Pass – gazoporcie firmy Cheniere zbudowanym przy ujściu rzeki Sabine do Zatoki Meksykańskiej na granicy Teksasu z Luizjaną. W Houston Duda rozmawiał z przedstawicielami amerykańskich firm energetycznych, które zajmują się wydobyciem i eksportowaniem gazu skroplonego (LNG) m.in. do Polski. Sekretarz energii USA Rick Perry i pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej Piotr Naimski podpisali zaś w Waszyngtonie memorandum o współpracy w dziedzinie cywilnego wykorzystania energii jądrowej. Ministerstwo Energii zabiega o włączenie energii jądrowej do tzw. miksu energetycznego. Polityka klimatyczna wymusza bowiem dalszy spadek udziału węgla w produkcji energii elektrycznej. Współpraca z USA daje zaś szansę na transfer niektórych amerykańskich technologii i zrealizowanie budowy pierwszej polskiej elektrowni atomowej, co znacząco podniosłoby poziom polskiego bezpieczeństwa energetycznego. To jednak jeszcze kwestia wielu lat.

Już teraz współpraca energetyczna wzrosła na tyle znacząco, że – jak zauważyła na Twitterze ambasador USA w Warszawie – stała się jednym z filarów relacji między Polską a USA. „Zmniejsza

się import gazu z Rosji do Polski, a import LNG z innych krajów, w tym z USA, rośnie – Polska podpisała kontrakty z amerykańskimi dostawcami LNG na kilka milionów ton rocznie” – podkreśliła Georgette Mosbacher.

I rzeczywiście w ostatnich latach widać duży wzrost importu do Polski amerykańskiego LNG, który na europejskim rynku staje się coraz bardziej konkurencyjny, bo niemalże z kontraktu na kontrakt cena gazu z USA maleje. PGNiG kupuje transporty skroplonego gazu ze Stanów Zjednoczonych zarówno na rynku kasowym (spot), jak i na podstawie długoterminowego portfela kontraktów z traderami i firmami z USA i Wielkiej Brytanii. Jak podkreślał prezes spółki PGNiG Piotr Woźniak, gaz z tych kontraktów jest o „dwadzieścia kilka” procent tańszy niż gaz rosyjski.

Dywersyfikacja importu nie tylko zmniejsza koszty zakupu, lecz także istotnie zwiększa bezpieczeństwo energetyczne Polski. Jak zauważyło PGNiG, w roku 2016 z kierunku wschodniego importowaliśmy 88,9 proc. gazu, gaz LNG stanowił 8,4 proc. importu, a kierunek zachodni i południowy – 2,7 proc. W roku 2018 proporcje te wyraźnie się zmieniły: gaz importowany z kierunku wschodniego stanowił 66,8 proc., gaz LNG – 20,1 proc., a z kierunku zachodniego i południowego – 13,1 proc.

ZANIECZYSZCZONA „PRZYJAŹŃ”

Pozytywne efekty dywersyfikacji Polska odczuwa także w przypadku dostaw ropy naftowej. Gdy w kwietniu obecnego

roku okazało się, że ropa w rurociągu „Przyjaźń” jest zanieczyszczona, aby chronić polski system przesyłowy, trzeba było wstrzymać odbiór zanieczyszczonego surowca z kierunku rosyjskiego. Tranzyt surowca wstrzymali też Ukraińcy oraz Białorusini. Rosyjskie władze wstrzymały także przesył ropy rurociągiem „Przyjaźń” do Niemiec i ogłosiły, że sprzątanie rurociągu może zająć nawet sześć miesięcy.

Polskie rafinerie nie musiały jednak przerywać produkcji benzyn i diesla. Dzięki zrealizowanym inwestycjom mogą przerabiać również inne gatunki ropy niż rosyjska, czyli np. surowiec z Arabii Saudyjskiej i innych państw Bliskiego Wschodu, USA i Kanady, Nigerii, Angoli, Kazachstanu oraz podmorskich złóż Morza Północnego i złóż rodzimych Morza Bałtyckiego.

Podczas kryzysu, do którego doszło w tym roku, w celu utrzymania ciągłości przerobu wykorzystano zgromadzone rezerwy, a także dostawy tankowcami z innych krajów do Naftoportu w Gdańsku.

W pierwszym półroczu obecnego roku Naftoport w Gdańsku obsłużył aż 179 statków. W tym czasie zdarzały się dni, gdy gdański terminal przeżywał prawdziwe oblężenie, a na portowej redzie było aż siedem dużych zbiornikowców.

W rekordowym roku 2018 Naftoport – należący do Grupy PERN, odpowiadającej za tłoczenie rurociągami ropy naftowej oraz za magazynowanie surowca i paliw płynnych – obsłużył 314 tankowców, które dostarczyły do portu w Gdań-

sku 14,92 mln ton ropy i paliw. Wśród nich były też dwa ładunki ropy naftowej ze Stanów Zjednoczonych. Pierwszy – na rzecz rafinerii PKN Orlen – dotarł do Naftoportu 30 października. Drugi – dla rafinerii grupy LOTOS – 9 listopada.

W 2017 r. w terminalu Naftoportu obsłużono 264 statki. Spółka ciągle inwestuje więc w rozwój. W tym roku na inwestycje i remonty przeznaczyła ok. 20 mln zł, czyli o 8 mln więcej niż rok wcześniej.

PODZIEMNE SKARBY

W latach 2017 i 2018 w Polsce wyprodukowano 4 mld m sześć. gazu ziemnego, co dało nam ostatnie miejsce w rankingu 50 największych na świecie producentów gazu ziemnego. Udział naszego kraju w globalnej produkcji szacowany jest na ok. 0,1 proc.

Wśród największych na świecie konsumentów błękitnego paliwa Polska w 2018 r. znajdowała się na 40. miejscu z konsumpcją na poziomie 19,7 mld m sześć., co daje nam 0,5 proc. udziału w światowej konsumpcji tego surowca. Wydobycie krajowe zaspokaja obecnie mniej więcej jedną czwartą polskich potrzeb gazowych. Resztę popytu zaspokaja wspomniany import z Rosji, a także import błękitnego paliwa z takich państw jak Norwegia, Katar czy Stany Zjednoczone za pośrednictwem wspomnianego Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu.

Na początku XXI w. duży apetyt na gazowe eldorado rozbudzili w Polakach



Badania dna morskiego w ramach projektu Baltic Pipe FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Polska jest jednym z czołowych eksporterów miedzi na świecie (na zdjęciu: huta miedzi KGHM) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Amerykanie, stwierdzając, że nasz kraj ma największe ze wszystkich państw europejskich złoża możliwego do eksploatacji gazu łupkowego. W 2011 r. amerykańska Agencja ds. Energii szacowała ich wielkość aż na 5,3 bln m sześć. Rok później swój raport opublikował Państwowy Instytut Geologiczny, który wielkość możliwych do wydobycia złóż gazu łupkowego szacował na 346–768 mld m sześć. Szybko się okazało jednak, że na przeszkodzie do wydobycia błękitnego paliwa na wielką skalę stoi nie tylko żmudna i kosztowna polska biurokracja, lecz także po prostu ekonomia – nawet przy obecnych technologiach, biorąc pod uwagę obecne ceny surowców, eksploatacja wielu złóż ciągle nie jest opłacalna, choć gaz z łupków w małych ilościach już od kilku lat jest w Polsce wydobywany.

Niewykluczone jednak, że wraz z rozwojem nowoczesnych technologii wydobycia w przyszłości uda się zwiększyć opłacalność wydobycia gazu z łupków nawet do kilku miliardów metrów sześciennych rocznie i Polska dołączy do grona krajów, które są nie tylko całkowicie niezależne od importu błękitnego paliwa, lecz także które zamiast kupować gaz od zagranicznych dostawców, mogą go eksportować na inne rynki.

Polskie koncerny energetyczne już inwestują w zakup złóż ropy i gazu poza granicami kraju, np. LOTOS w 2013 r. kupił udziały w 14 norweskich koncesjach,

a w roku 2015 aktywa wydobywcze Sleipner. Dzięki temu Lotos wydobywa gaz ziemny i ropę naftową w Polsce, Norwegii oraz na Litwie. Z kolei PGNiG Norway – spółka zależna Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa SA – w 2007 r. kupiła 12 proc. udziałów w złożach Skarv, Snadd i Idu. W ostatnich latach spółka nabyła również udziały w koncesjach wydobywczych Gina Krog Morvin, Vale, Vilje, a także – w 2018 r. – w złożu Tommeliten Alpha na Morzu Północnym. PGNiG rozwija także działalność eksploatacyjną na złożach Rehman i Rizq w Pakistanie, gdzie regulacje prawne sprzyjają zagranicznym przedsiębiorcom.

Z kolei Orlen prowadzi działalność poszukiwawczo-wydobywczą w Polsce oraz przejmując kolejne aktywa wydobywcze w Kanadzie. Kluczowe kanadyjskie aktywa koncernu zlokalizowane są w obrębie prowincji Alberta, w regionach: Kakwa (formacja Montney), Ferrier Strachan (formacja Cardium), Lochend (formacja Cardium), Pouce Coupe (formacja Montney), Kaybob (formacja Dunvegan).

Ogromne portfolio projektów eksploatacyjnych i produkcyjnych posiada również KGHM Polska Miedź, która inwestuje nie tylko w Polsce, lecz także w Kanadzie, Chile, USA i w Niemczech.

MIEDZIANY SZLAK

Najważniejszymi surowcami mineralnymi z punktu widzenia naszej

gospodarki są miedź, srebro, cynk, ołów oraz tzw. metale rzadkie, np. ren. Polska posiada też zasobne złoża surowców chemicznych (siarka, sól kamienna, sole potasowe, fosfority), skalnych oraz surowców energetycznych (węgiel, metan oraz wspomniany wcześniej gaz ziemny).

Dzięki ogromnym zasobom miedzi koncern KGHM Polska Miedź SA – jedna z największych spółek Skarbu Państwa – jest w gronie czołowych producentów tego „cypryjskiego metalu” na świecie (zajmuje szóste miejsce), a także jednym z trzech największych producentów srebra obok meksykańskiego Fresnillo czy szwajcarskiego Glencore. W latach 2011, 2012 i 2014 KGHM w międzynarodowym raporcie „World Silver Survey” zajmował nawet pierwsze miejsce na świecie.

W tym roku koncern chwali się coraz lepszymi wynikami. W czerwcu 2019 r. produkcja miedzi płatnej wyniosła 58,7 tys. ton i była wyższa rok do roku aż o 16 proc. Produkcja srebra – w tej dziedzinie Polska również jest globalną potęgą – wyniosła zaś w ubiegłym miesiącu 125,6 tony i była ponad dwukrotnie wyższa niż w czerwcu 2018 r. Spółka zarabia też m.in. na złocie, molibdenie, ołowiu, platynie czy też – niezwykle twardym i wytrzymałym, wykorzystywanym w lotnictwie i przemyśle paliwowym – renie.

Zasobów miedzi jest tyle, że co najmniej przez następne kilkadziesiąt lat zbudowany wokół nich przemysł górniczo-hutniczy będzie mógł spokojnie pracować (koncesje na wydobywanie kopalin z większości złóż KGHM obowiązują do roku 2063). Jednocześnie KGHM poszukuje też nowych złóż na terenie Polski. I nie tylko.

Mimo że Polska z jednej strony jest krajem zasobnym w surowce mineralne, a z drugiej strony nasza gospodarka jest mocno uzależniona od importu ropy oraz gazu, kolejne rządy w Warszawie zaniedbywały prace nad spójną polityką surowcową kraju, przez co duża część złóż kopalin nie jest wystarczająco zagospodarowana. Jak w 2018 r. zauważyła Najwyższa Izba Kontroli, rzetelne prace nad jasno określoną polityką surowcową ruszyły dopiero w roku 2016. Dobrze, że rząd PiS wreszcie zajął się tą kwestią. Od surowców zależy bowiem zarówno bezpieczeństwo energetyczne kraju, jak i rozwój polskiej gospodarki.



TERAZ POLSKA

PGNiG z godłem „Teraz Polska”

Technika przedeksploatacyjnego pozyskiwania metanu z pokładów węgla otrzymała prestiżowe godło „Teraz Polska” w XII edycji Konkursu dla Przedsięwzięć Innowacyjnych. Metoda została opracowana przez Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo oraz Państwowy Instytut Geologiczny – Państwowy Instytut Badawczy. Godło jest przyznawane produktom i usługom, które mogą być wzorem dla innych.

Nagrodzone przedsięwzięcie jest pierwszym tego typu projektem w Europie. Metoda opracowana przez PGNiG i PIG-PIB otwiera perspektywę dla przemysłowej eksploatacji metanu z pokładów węgla.

Realizacja tego przedsięwzięcia to:

- większe bezpieczeństwo energetyczne Polski;
- większe bezpieczeństwo pracy górników;
- ochrona środowiska naturalnego.





Jak pomóc polskiemu przemysłowi

Polska jako kraj o jednym z największych udziałów przemysłu energochłonnego w Unii Europejskiej wprowadza dla niego rekompensaty. Trzeba już jednak myśleć o kolejnych krokach, by nasze przedsiębiorstwa nie oddały pola unijnej i światowej konkurencji

Bez wsparcia publicznego przemysł energochłonny w Unii Europejskiej straci konkurencyjność do firm spoza Europy. To dlatego wiele państw unijnych już od lat wspiera swój przemysł. Polskie firmy tego sektora nie miały dotychczas takiego komfortu. To się jednak zmienia. 18 czerwca rząd przyjął, a 19 lipca

Sejm przegłosował projekt ustawy przewidujący rekompensaty za zakup energii dla tzw. firm energochłonnych.

„Okolo 300 przedsiębiorstw z branż energochłonnych, takich jak chemiczna, hutnicza czy papiernicza, będzie uprawnionych do uzyskania rekompensat za zawarte w cenie energii koszty nabycia uprawnień do emisji CO₂. Rekompens-

saty pomogą naszemu przemysłowi utrzymać konkurencyjność z zagranicą” – zaznacza Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii. Resort szacuje, że wsparcie państwa pozwoli uratować ok. 1,3 mln miejsc pracy. Pierwsze rekompensaty mają być wypłacone w przyszłym roku (ok. 0,89 mld zł).

Dlaczego w ogóle takie rekompensaty się wprowadza? Ze względu na obowiązujące w Unii Europejskiej coraz bardziej rygorystyczne przepisy klimatyczne. Rekompensaty i inne formy wsparcia mają ograniczyć ryzyko tzw. ucieczki emisji, czyli przenoszenia produkcji firm energochłonnych do krajów, gdzie taka działalność wiąże się



mi. W lipcu 2018 r. duży odbiorca energii musiał w Polsce płacić ok. 6,9 centa za kWh, kiedy np. w Czechach było to 5,7 centa. Według danych przygotowanych dla niemieckiego ministerstwa energii i gospodarki w 2015 r. równie drogo co w UE na świecie jest jedynie w Chinach i Japonii (w Chinach – 6,37 centa za kWh, a w Japonii – 12,42 za kWh). Ceny w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie nie przekraczały granicy 4 centów za kWh.

Jest drogo – będzie jeszcze drożej. Unijny system handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS), który jest podstawowym elementem otoczenia regulacyjnego mającego wpływ na sytuację przedsiębiorstw energochłonnych, wchodzi niebawem w kolejny etap. Liczba uprawnień do emisji sukcesywnie maleje, ale tempo ich ubywania wyraźnie wzrośnie w latach 2021–2030. Wtedy też dojdzie do wygaszania bezpłatnych uprawnień dla niektórych sektorów. Mniejsza podaż uprawnień spowoduje wzrost ich cen. To oznacza, że bez wsparcia publicznego wiele sektorów europejskiego przemysłu może całkowicie utracić konkurencyjność względem przedsiębiorstw pozaeuropejskich.

Unijne przepisy zakładają, że rekompensaty mogą być finansowane z przychodów ze sprzedaży uprawnień do emisji w drodze aukcji. Do 25 proc. dochodów uzyskanych ze sprzedaży może być przeznaczone na taką pomoc; przekroczenie tego progu musi być uzasadnione. Kraje, które przekroczyły tenże próg, muszą opublikować sprawozdanie, w którym określą powody przekroczenia tej wartości. W 2017 r. zrobiły to: Belgia (Flandria), Niemcy, Francja, Holandia i Finlandia.

Z danych publikowanych przez kraje Unii Europejskiej wynika m.in., że w 2017 r. Niemcy ze sprzedaży uprawnień do emisji uzyskały kwotę 846 mln euro. Na rekompensaty wypłacone z tytułu kosztów pośrednich poniesionych w 2016 r. przeznaczyły 289 mln euro, co stanowi 34,1 proc. dochodów ze sprzedaży aukcyjnej. Jednak to i tak mniej niż Francja, gdzie aż 60 proc. dochodów ze sprzedaży aukcyjnej przeznaczono na rekompensaty (140 mln euro z uzyskanych 231 mln). W Holandii wypłacono 53,5 mln euro rekompensat, w Estonii przyznano przedsiębiorcom 84 mln euro, a nasi południowi sąsiedzi – Słowacy – przyznali na rekompensaty dla swoich

z mniejszymi kosztami. Wśród czynników, które pogarszają konkurencyjność przedsiębiorstw z UE względem firm pozaeuropejskich, są podnoszące ceny prądu koszty zakupu uprawnień do emisji CO₂.

Nowa polska regulacja nie łamie unijnej zasady wolnego rynku i wolnej konkurencji. Wyrównuje szanse krajowych podmiotów na konkurowanie z firmami energochłonnymi z innych krajów UE, gdzie od lat działa szeroki system ich wsparcia. Rekompensaty dla przedsiębiorstw energochłonnych wypłacane są w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, we Francji, w Belgii, Holandii, na Słowacji, w Finlandii, Grecji, na Litwie

czy w Norwegii. Polska, jako ostatni kraj z tak dużym udziałem przemysłu energochłonnego w gospodarce, wprowadza system rekompensat.

DOCISKANIE PASA

Aby przekonać się, jak trudno polskim firmom wysokoenergetycznym konkurować z zagranicą, wystarczy porównać realia panujące po obu stronach Odry. W Polsce całkowity koszt energii dla tego sektora jest wyższy w porównaniu z Niemcami aż o 70 proc.

Ceny energii na rynku hurtowym w Polsce należą do jednych z wyższych w Europie i najwyższych w porównaniu z uprzemysłowionymi krajami sąsiedni-

FOT. KANAPOLSKA MEDIA SA

■ przedsiębiorstw energochłonnych 10 mln euro.

JAK TO ROBIA NIEMCY

To oczywiste, że branża energochłonna z tych europejskich krajów, w których się ją wspiera, może być bardziej konkurencyjna na światowym rynku. Jak o to dbają za Odrą? Przede wszystkim są to wspomniane już wyżej rekompensaty, które w Niemczech wypłacane są od lat. Szacuje się, że system rekompensat obowiązujący w Niemczech, przy aktualnym wzroście cen uprawnień do emisji CO₂ do poziomu 20–25 EUR/EUA, zmniejszy nawet pięciokrotnie wzrost kosztów energii elektrycznej zużywanej przez tamtejsze firmy energochłonne. Do uzyskania pomocy publicznej z funkcjonującego w Niemczech systemu rekompensat uprawnione są wszystkie instalacje należące do sektorów określonych jako narażone na znaczące ryzyko ucieczki emisji. I tak np. w 2016 r. rekompensaty dla przemysłu chemicznego wyniosły 115,35 mln euro, dla hutnictwa żelaza i stali – 68,41 mln euro, a dla przedsiębiorstw sektora produkcji metali nieżelaznych wypłacono 50,57 mln euro rekompensat.

Jednak rekompensaty to jeden z kilku sposobów wsparcia firm sektora energochłonnego. W Niemczech funkcjonuje bowiem szeroko zakrojony system redukcji wszystkich składników opłat przesyłowych i dystrybucyjnych. Dzięki temu odbiorcy przemysłowi ponoszą jedynie znikomą część opłat związanych z dostawą energii elektrycznej, korzystając ze znacznej redukcji w zakresie specjalnej opłaty nakładanej na wszystkich odbiorców energii elektrycznej oraz obniżek stawek opłat koncesyjnych. I to wszystko przekłada się na wspomnianą już różnicę całkowitego kosztu dostarczenia energii elektrycznej dla przemysłu energochłonnego (70 proc. więcej w Polsce).

Kolejnym instrumentem prawnym redukcji kosztów ponoszonych przez niemiecki przemysł energochłonny jest ulga w kosztach finansowania systemu wsparcia energetyki odnawialnej. Powyższa ulga dotyczy przedsiębiorców prowadzących działalność gospodarczą w wielu sektorach, w tym w sektorze produkcji miedzi (wytyczne EEG).

Jak to wygląda w Polsce? Odbiorcy przemysłowi korzystają jedynie częściowo z analogicznych rozwiązań, które co do zasady dotyczą redukcji w zakresie kosztów wsparcia energetyki odnawialnej

oraz redukcji akcyzy. Do grupy korzystającej z redukcji powyżej 40 proc., czyli na poziomie analogicznym do obowiązującego w Niemczech, korzysta jedynie 40 najbardziej energochłonnych polskich przedsiębiorstw.

MIEDŹ – ZŁOTO ENERGETYKI

Największym odbiorcą energii w Polsce jest firma KGHM. Roczne zużycie energii elektrycznej w tym przedsiębiorstwie przekracza poziom 3 TWh. Jedną z kluczowych form działalności KGHM jest produkcja miedzi, metali szlachetnych i innych metali nieżelaznych. 80 proc. aktywów KGHM znajduje się na terenie Polski, w tzw. Zagłębiu Miedziowym (okolice Lubina, Legnicy, Głogowa i Polkowic). KGHM posiada w Polsce trzy kopalnie i trzy huty. Dzięki tym zakładom Polska jest największym producentem miedzi w Europie (8. miejsce na świecie). KGHM każdego roku staje też na podium największych światowych producentów srebra.

Produkcja miedzi jest jednym z 20 sektorów o największej energochłonności (przy jej produkcji koszty energii elektrycznej sięgają nawet 15 proc. wartości dodanej brutto). W związku z tym przyszła kondycja finansowa KGHM i innych przedsiębiorstw działających w tym sektorze jest wysoce zależna od kosztów energii elektrycznej i ewentualnego systemu rekompensat.

Miedź ma kluczowe znaczenie dla transformacji energetycznej. Jeżeli Unia Europejska i świat chcą przejść z gospodarki zależnej od paliw do gospodarki opartej na źródłach odnawialnych, jeśli po ulicach miast ma jeździć więcej samochodów elektrycznych, a nasze domy mają stać się inteligentne, to miedź odegra tu kluczową rolę.

Metal ten charakteryzuje się bardzo dużą przewodnością elektryczną i cieplną, ułatwia wytwarzanie energii ze źródeł odnawialnych i jest wykorzystywany do budowy magazynów energii, czyli akumulatorów. Jest doskonały do tworzenia sieci elektrycznych i ciepłych, dzięki wykorzystaniu miedzi takie sieci w przyszłości będą mogły być bardziej efektywne energetycznie. Rośnie wykorzystanie miedzi w budownictwie. Chociażby dlatego, że coraz więcej budynków wyposażanych jest w instalacje pozwalające wytwarzać energię z odnawialnych źródeł. Coraz więcej miedzi potrzebować będzie przemysł motoryza-

cyjny, zwłaszcza samochodów elektrycznych, a także do budowy infrastruktury służącej do ładowania samochodów.

Bez miedzi transformacja elektryczna nie jest możliwa. Jak duży będzie w niej udział polskiej miedzi z KGHM, zależy w dużej mierze od tego, czy polska firma będzie mogła kupować energię w cenie zbliżonej do europejskiej i światowej konkurencji.

TRZEBA ZROBIĆ WIĘCEJ

Jak widać, kondycja przedsiębiorstw energetycznych oraz energochłonnych w znacznej mierze zależy od czynników, na które przedsiębiorstwa te nie mają żadnego wpływu. W obliczu coraz bardziej rygorystycznej unijnej polityki klimatycznej polskie przedsiębiorstwa tych sektorów potrzebują wsparcia. Jakiego? Pierwszy krok, czyli wprowadzenie przepisów przewidujących rekompensaty za zawarte w cenie energii koszty nabycia uprawnień do emisji CO₂, już został zrobiony. Jednak to nie może być koniec.

Jak najszybciej powinny zostać wprowadzone następne środki redukcji kosztów ponoszonych przez przedsiębiorstwa energochłonne. Obecnie funkcjonujące w Polsce ulgi w zakresie kosztów wsparcia energetyki odnawialnej oraz redukcji akcyzy dla sektorów energochłonnych powinny zostać zwiększone oraz uzupełnione. O co uzupełnione? Można zastosować ulgi w zakresie wszystkich składników opłat przesyłowych i dystrybucyjnych, a także zwiększyć możliwości korzystania z usług zarządzania popytem na energię elektryczną. Kolejnymi krokami, które mogłyby zwiększyć konkurencyjność polskich przedsiębiorstw energochłonnych, mogą być odpowiednie rozwiązania podatkowe. Bardzo pożądana przez te firmy byłaby np. możliwość odpisania od podstawy opodatkowania podatkiem dochodowym całkowitych wydatków na produkty spełniające najwyższe standardy efektywności energetycznej.

W długoterminowej perspektywie polityka energetyczna państwa powinna dążyć do zwiększenia udziału źródeł niskoemisyjnych. Kolejne wzrosty cen energii elektrycznej mogą doprowadzić do braku rentowności polskich przedsiębiorstw przemysłowych działających w sektorach energochłonnych. Konsekwencją może być konieczność ich zamknięcia, co doprowadziłoby do likwidacji wielu miejsc pracy, a nawet zauważalny spadek PKB.

SPONSOR TYTULARNY

Enea

Enea
IRONMAN
70.3® **GDYNIA**
POLAND



9-11/08/2019

Startujesz czy kibicujesz?

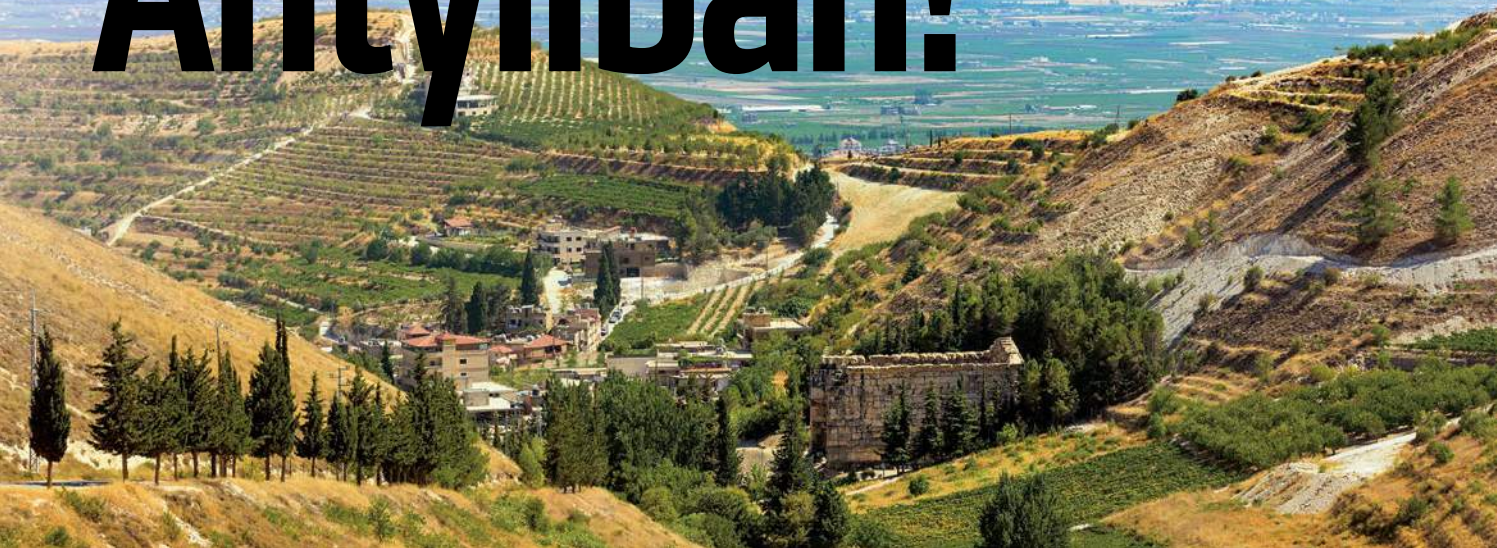
www.ironmangdynia.pl

 /polandtriathlon

 @ironmangdynia

Galilea, Juda, Liban?

Antyliban!



Tomasz Kaźmierowski

W poszukiwaniu dobrego wina od lat odwiedzam kraje dawnego Lewantu. Tutaj historia dziwnie splata się ze współczesnością

Niedaleko maronickiego Dżisz (Jish) w Galilei spotkałem libańskiego jezuity. Mówił pięknym francuskim, znał się na winie niemal tak dobrze jak na historii Lewantu, więc przedłużającą się rozmowę doprowadzała moich towarzyszy podróży do zrozumiałej irytacji. Opowiadał mi, jak to miejscowej izraelskiej administracji tłumaczy, że maronici mieszkali tu przed Arabami i Żydami; dziś zresztą Izrael jest coraz bardziej znośnym, a w rzadkich przeblaskach i przyjaznym państwem dla miejscowych chrześcijan.

Od dwóch dekad, obok próbowania tutejszego wina, przyglądam się miejscowym stosunkom, coraz mniej zatem dziwią mnie egzotyczne – na pierwszy rzut oka – alianse i niezrozumiałe spięcia. W każdym razie te, do których dochodzi w związku z miejscowym kontekstem kulturowym, politycznym, religijnym czy etnicznym.

Znacznie bardziej zaskakują mnie nie-rzadko bogate, krzyżujące się relacje ludzi z różnych stron rozlicznych barykad. Bywa, że motywacje niektórych z nich sięgają wręcz przedmahometańskich zaszłości. Tu, niby drobnostka – jezuita z Libanu pomaga maronitom w Izraelu.

CHRZEŚCIJAŃSKIE KORZENIE

Sącający przy sąsiednich stolikach lemoniade młodzi sefardyjscy młodzieńcy marszczyli brwi i nadstawiali ucha, gdy w rysie historycznym wzmacnianym bazgrołami na serwetce libańsko-francuski wielbiciel Mauriaca zdążył wspomnieć cały chrześcijański Bliski Wschód, a nawet więcej. Przede wszystkim skupił się na przypomnieniu mi o niemal całkowicie chrześcijańskim, kulturalnym i bogatym Lewancie: o terytoriach dzisiejszych Libanu, Izraela, Syrii i Jordanii, Azji Mniejszej i Egiptu. A jeszcze i Armenia, i połowa dzisiejszego Iraku, Cyrenajka, Nubia aż po Górny Nil, cała współczesna Tunezja, wreszcie odległe i rozległe afrykańskie Aksum. No i język. Większość chrześcijańskiej ludności Palestyny i Syrii mówiła dialektami aramejskiego. Gdziekolwiek mówi do dziś, choćby w pobliskiej Maluli.

Tak, te rozległe tereny, najludniejsze w antycznym i wczesnośredniowiecznym świecie, z Egipcjanami, ludami semickimi,

w tym Asyryjczykami i Fenicjanami oraz ich maronickimi następcami na czele, były w ogromnej, przytłaczającej większości chrześcijańskie, podobnie, oczywiście, jak napływowi Grecy, Rzymianie czy Ormianie. Krzyżowcy, przy całym skomplikowaniu ich motywacji, nie przybywali – wbrew hollywoodzkim i politycznie poprawnym lewicowym stereotypom – na obce, arabskie terytorium; Lewant przestał być w większości chrześcijańską krainą dopiero około XI–XIII w.

Największą społecznością lewantińskich chrześcijan są właśnie wspomniani wyżej maronici, którzy lubią myśleć o sobie jako o potomkach starożytnych Fenicjan, choć ich etniczne pochodzenie jest bardziej skomplikowane. Oprócz niekwestionowanego rdzenia fenickiego dzisiejsi maronici są amalgamatem kilku przedarabskich ludów semickich i – w mniejszym stopniu – arabskich przybyszów. Kulturowo są jednak całkowicie odrębną grupą od sąsiadujących z nimi rozmaitych odłamów ludności islamskiej, a oprócz tradycji Kościoła maronickiego i dawnych wpływów greckich istotnym elementem ich tożsamości jest niezaprzeczalna bliskość kultury francuskiej. Francja od XIX w. do II połowy ubiegłego stulecia na poważnie opiekowała się tutejszymi chrześcijanami. To już jednak historia.

Od arabskiego najazdu w VII w. nikt w Europie nie wiedział o maronitach, pomimo utrzymania wcale nie tak rachitycznego ruchu pielgrzymów do Ziemi Świętej. Maronici, zepchnięci przez najeźdźców, zamieszkiwali bowiem trudno dostępne górskie doliny. Pół tysiąca lat później, u progu XII w., zdumieni frankijscy krzyżowcy natknęli się na nich w górach Libanu.

Być może to stulecie zamknie chrześcijańską obecność w krajach Lewantu. Sto lat temu chrześcijanie w Libanie stanowili jeszcze bezwzględnie większość, w Syrii jedną piątą ludności, w Egipcie jedną ósmą, w Kairze, Asjucie, Aleppo i Damaszku ok. jednej czwartej populacji, w Jerozolimie 53 proc., w Bejrucie dwie trzecie, a w Betlejem trzy czwarte ludności. Dzisiaj ocenia się, że z ok. 16–20 proc. ludności, którą stanowili chrześcijanie na całym Bliskim Wschodzie po I wojnie światowej, proporcja ta spadła obecnie do 3–4 proc.

BORDEAUX Z KSARY

Kiedy wyszliśmy na wzgórek przed jadłodajnią w Dżisz, jezuita zmruczył oczy i popatrzył na malachitową, wręcz butelkową poać lasu Bir'am na północy. Powolnym ruchem otworzył skórzaną torbę, z której natychmiast zapachniało wilgotną chałwą i suszonymi rodzynekami. Usiedliśmy. Wyjął butelkę bez etykiety, zaproponował, bym spróbował, oparł ręce na biodrach i z miną bazylijska czekał.

- Trochę zwietrzałe – zamarudziłem.
- Dalej, dalej – niecierpliwił się.
- Lekko utlenione – kontynuowałem.
- Ale owoc... – zamruczałem.
- No, dalej – już tryumfował.
- Tak, pełne, zrównoważone, dość potężne, bez ociężałości – kapitulowałem z przyjemnością.
- I klasycznie eleganckie, nieprawdaż? – dorzucił skromnie, łącząc suche dłonie na piersiach.
- Skąd ten bordos u jezuitę w Izraelu? – zapytałem.

Zamknawszy obie flanki, rozbijał moje centrum, gdzie tam! Już plądrował tabory...

– Bordosy rzadko dziś takie bywają. No, może u porządnym tradycjonalistów... – zawiesił głos, wyprostował się i wykonał swój coup de grâce. – To Château Ksara, rocznik 1999! Tak. Powstało o tam, na północy, jakieś 60 km stąd. Do niedawna robiliśmy je my, jezuiti. Od 1857 r., w klasztorze Tanail (Taanaeel). Z tej góry – wskazał na pobliską górę Meron – widać już południe doliny Bekaa.

„Niech się rozweseli pustynia i spieczona ziemia, niech się raduje step i niech rozkwitnie!” Trudno sobie wyobrazić, aby te słowa z Księgi Izajasza nie dotyczyły dziesiątek takich zjawisk w historii doliny Bekaa.

Położona między górkami pasmami Libanu i Antylibanu dolina – właśnie tam bronili się twardzi i po fenicku przemysłni maronici przed najazdami Arabów i Mongołów – była jednym z pierwszych miejsc na południe od Kaukazu, gdzie uprawiano winorośl.

Wina z Byblos trafiały do Egiptu już w okresie Starego Państwa, ok. 2300 lat p.n.e., a te z Tyru i Sydonu miały najwyższą markę od Eufratu po Gwadalkiwir. Pomimo inwazji i zmian panujących wino wytwarzano tu bez przerwy, nawet podczas panowania mameluków i Ottomanów, choć głównie robili to chrześcijanie dla potrzeb własnych wspólnot. Tak właśnie zaczynał jezuici w Tanail w 1857 r.

Dopiero panowanie Francuzów w okresie międzywojennym przyniosło i rozwój winiarstwa w dolinie, i zmianę gustów – wtedy naprawdę narodziło się libańskie wino wytrawne. Od 80 lat Liban podlegał częstym dramatycznym wstrząsom, których zarzewiem było pojawienie się w Libanie licznych obozów palestyńskich. Pomimo trwającej 20 lat dominacji syryjskiej winiarze libańscy, wciąż pozostający pod wielkim wpływem Francuzów, wytwarzali już bardzo porządne wina.

Suche lata i niebywała w Oriencie podaż wody, głównie z topniejących śniegów pasm Libanu i Antylibanu, czynią z tej wysoko położonej doliny (średnio 900 m n.p.m.) wyjątkowe w całym regionie miejsce dla wytwórstwa wina. Przypomina ono w niektórych aspektach bardziej warunki wyżej położonych siedlisk Rodanu niż typowe orientalne apelacje: Wzgórza Judzkie, Samson czy Negew. Nieco podobieństw do doliny Bekaa można znaleźć w pobliskiej Galilei, jednak i ona jest niżej położona oraz suchsza. No, i zupełnie nie ma tej francuskiej tradycji wytwórczej.

Coraz lepsze wino wytwarzane w należącym do jezuickiego klasztoru Tanail Château Ksara pozwalało mnichom finansować działalność dobroczynną i misyjną, wychodzącą od dekad daleko poza Liban.

Château sprywatyzowano w 1973 r., jednak zarządzają nim dalej libańscy chrześcijanie, rodzina Chaoui, a blisko połowę pracowników stanowią okoliczni muzułmanie. Jezuici zresztą w klasztorze pozostali i znani są nie tylko z ciężkiej

pracy dla syryjskich uchodźców, lecz także z przyklasztornych serów. Reputacja jezuitów z Tanail i fakt, że Ksara to duma całej doliny, powoduje, że nawet Hezbollah, mający niedaleko siedzibę, zazwyczaj nie zakłóca pracy winiarzy.

Od kilku lat pracują z nimi enolodzy z Prieuré-Lichine w bordoskim Margaux, co zdaje się obiecywać jeszcze więcej finezji. Być może to kierunek przemysłny w związku ze zmianami wokół. Rynki winiarskie Syrii i Libanu nie obiecują wzrostu i stabilności, za to Francja, Wielka Brytania i Skandynawia – owszem.

WINA POGARDZANE?

Z maronickiego Dżisz wróciłem do żydowskiego Safed (Tsfat), gdzie przez kilka kolejnych dni nie żałowałem sobie win galilejskich, jednak żadne z nich nie zbliżyło się do Château Musar, wina uznanego za najlepsze w Libanie, a także do Ksary. Dogały mnie tam też natrętne myśli o globalizacji; niegdyś odrobinę klasycyzujące galilejskie gamla cabernet sauvignon było jak przesłodzona Kalifornia, mount hermon indigo jak najgorętsze roczniki Rodanu, a wina ze Wzgórz Judzkich jak częściowo podsuszane konfitury czereśniowe.

Wina ze Wzgórz Golan i Górnej Galilei uznawane są w Izraelu za najlepsze. Ich konkurencji ze Wzgórz Judzkich, Negewu, a najbardziej z Dolnej Galilei, okolic Nazaretu, są częściowo niezasłużenie spychani na margines. Jak zażartował zagłębiany w antyku miejscowy winiarz, „we współczesnym języku hebrajskim, chrześcijanin to »nocri«, to znaczy – nazarejczyk, jakie więc mogą być dla tych mądrali z Tel Awiwu nasze wina?”

Wychwalane – szczególnie w Ameryce – ponad wszelką miarę wina z Górnej Galilei bywają jednak gorsze od tych spod pogardzanego Nazaretu. Często nowoświatowo, modernistycznie przygotowane, skoncentrowane, porażające wysokim poziomem alkoholu i słodyczą kontrastują z prostotą co najmniej kilku etykiet z okolic Nazaretu.

Najlepsze z nich, syrah z Kiryat Tivon, winnicy położonej dziesięć kilometrów na zachód od tego w jednej trzeciej chrześcijańskiego i dwóch trzecich muzułmańskiego miasta, jest nieomal klinicznym przykładem „pogardzanego”. Nie dość, że z Nazaretu, to jeszcze grona zbierane są przez pacjentów szpitala dla umysłowo chorych w „osadzie nadziei” – Kfar Tikva.



FOT. ALDORE STOCK

Czego brakuje polskiej onkologii?



Katarzyna Pinkosz

Gdyby zmienić styl życia, o 70 proc. zmniejszyłaby się liczba zachorowań. Gdyby częściej się badać, można by wcześniej wykryć i wyleczyć raka. Gdyby organizacja była lepsza i mielibyśmy więcej dostępnych terapii, pacjenci żyliby dłużej. Polska onkologia czeka na radykalną terapię

Co roku diagnozę „nowotwór” słyszy w Polsce 160 tys. osób, a już ponad milion żyje z diagnozą choroby nowotworowej. Powinniśmy się cieszyć, bo liczba zachorowań jest u nas procentowo niższa niż w krajach Europy Zachodniej, jednak jako społeczeństwo starzejemy się, a ponieważ nowotwory dotykają przede wszystkim osób w drugiej połowie życia, to eksperci ostrzegają przed czekającym nas „tsunami”. Również statystyki pięcioletnich przeżyć po diagnozie nie napawają optymizmem. Co prawda poprawiają się, jednak dużo wol-

niej niż w innych krajach UE (a w raku piersi ostatnio wręcz się pogarszają). Czego brakuje polskiej onkologii?

1. DOBRA PROFILAKTYKA

Nawet do 70 proc. zachorowań można by uniknąć, gdyby zmienić styl życia. Zasady są proste i znane: nie palić (papierosy to czynnik ryzyka 14 nowotworów), być szczupłym (otyłość zwiększa ryzyko 13 nowotworów), jeść więcej warzyw i owoców, a mniej wędlin i czerwonego mięsa, dużo się ruszać, nie opalać się, nie korzystać z solarium.

Zasady wydają się proste, a jednak nie jest łatwo zmienić styl życia po 40. czy 50. roku życia. Potrzebne są dobre kampanie zachęcające do zmian, wsparte np. przez autorytety i ekspertów, w tym edukatorów zdrowotnych, pielęgniarki, lekarzy. Niezbędna jest pomoc palaczom w rzucaniu palenia (np. zorganizowanie w każdym mieście sieci poradni antynikotynowych) i osobom zmagającym się z otyłością. Od wielu lat mówi się o wprowadzeniu do przedszkoli i szkół lekcji zdrowia, jednak na razie reforma edukacji nie poszła w tę stronę.

2. SKUTECZNE PROGRAMY PRZESIEWOWE

Niby funkcjonują, ale zbyt mało osób z nich korzysta. Z danych z raportu NIK z 2018 r. wynika, że z profilaktyki w kierunku raka piersi korzysta ok. 45 proc. kobiet (po zsumowaniu danych z programów przesiewowych oraz z przychodni), a w przypadku raka szyjki macicy – ok. 42 proc. Zgodnie z zaleceniami euro-

pejskimi powinno być 70–75 proc. Z programu badań kolonoskopowych, które mogą wykryć raka jelita grubego we wczesnym stadium, korzysta ok. 17 proc. osób (powinno co najmniej 45 proc.).

– Na 1000 wykonanych kolonoskopii 30 osób zostaje uratowanych przed nowotworem. To pokazuje, jak profilaktyka jest efektywna – mówi prof. Marek Wojtukiewicz, kierownik Kliniki Onkologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku i ordynator Oddziału Onkologii Klinicznej Białostockiego Centrum Onkologii.

Niezbędne są kampanie edukacyjne, by każdy wiedział, że raz w roku trzeba zrobić profilaktyczną morfologię i iść do lekarza, jeśli pojawiają się niepokojące objawy, takie jak przewlekły kaszel, stany podgorączkowe, chrypka (mimo braku infekcji), guzek, nietypowe zmiany na skórze. Nie mniej ważne jest dla kobiet samobadanie piersi, a dla mężczyzn – jąder. Po 45. roku życia warto co rok wykonywać USG jamy brzusznej, a mężczyźni powinni zgłosić się do urologa i zacząć badać PSA (antygen swoisty dla gruczołu krokowego).

W krajach zachodnich 75 proc. nowotworów jest wykrywanych w stadiach początkowych; w Polsce – w zaawansowanych. Dlatego już na starcie mamy gorsze rokowania.

3. ORGANIZACJA LECZENIA

Pacjent z podejrzeniem nowotworu zwykle nie wie, do jakiego lekarza czy ośrodka się udać: gdzie wykonać badania, gdzie szukać leczenia. Sytuacja nieco się poprawia w niektórych ośrodkach uczestniczących w pilotażu Krajowej Sieci Onkologicznej, gdzie są zatrudniani koordynatorzy leczenia. Wciąż problemem jest jednak duża liczba placówek zajmujących się leczeniem nowotworów. Część ma pod opieką małą liczbę pacjentów, brakuje doświadczenia i wiedzy o najnowocześniejszych metodach diagnostyki i leczenia. Nadal brakuje ośrodków kompleksowego leczenia (cancer units). Nadzieją jest to, że wkrótce mają zacząć powstawać tego typu centra zajmujące się rakiem piersi. Pytanie, czy będą miały odpowiednie finansowanie, bez którego nie zapewnią odpowiedniej opieki.

4. KADRY

Skutki niedoboru to m.in. oczekiwanie na diagnostykę i leczenie, na wyniki badań patomorfologicznych (dramatyczne niedobory patomorfologów), brak czasu lekarzy na zajęcie się pacjentem

(spowodowany również przeciążeniem biurokracją), problemy z rehabilitacją po zabiegach operacyjnych.

5. ODPOWIEDNIE FINANSOWANIE

W przeliczeniu na osobę na onkologię w Polsce przeznaczają się ponad trzy razy mniej pieniędzy niż we Francji, w Niemczech czy Wielkiej Brytanii i ponad dwa razy mniej niż w Czechach. Organizacje pacjentów domagają się przeznaczenia na leczenie nowotworów dodatkowo wpływów z akcyzy papierosów i alkoholu – na razie bezskutecznie. Brak właściwego finansowania odbija się m.in. na

jakości diagnostyki i na tym, że szpitale nie stać na nowoczesne leczenie. Mimo poprawy (niemal każda lista refundacyjna oznacza nowe leki onkologiczne) nadal polscy pacjenci nie mogą korzystać z wielu opcji terapeutycznych dostępnych w innych krajach. Część nie jest w ogóle dostępna, część tylko dla bardzo małych grup chorych.

Postęp w leczeniu nowotworów w ostatnich latach jest ogromny, nawet jeśli nie daje się ich wyleczyć, można żyć długie lata, mimo choroby. Warto, by z tego postępu w większym stopniu korzystali polscy pacjenci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Onkologia nie musi być opłacalna, ale musi być opłacona



prof. ADAM MACIEJCZYK, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego, dyrektor Dolnośląskiego Centrum Onkologii, prezes Ogólnopolskiego Zrzeszenia Publicznych Centrów Instytutów Onkologicznych:

Pozytywne jest to, że powstaje Narodowa Strategia Onkologiczna, a onkologia została uznana za priorytet rządu. Widać to w działaniach prezydenta i Ministerstwa Zdrowia. Jeśli faktycznie uda się opracować i wdrożyć strategię, to poprawa leczenia będzie trwała. Do tej pory były tylko programy naprawcze (też bardzo potrzebne, takie jak Narodowy Program Zwalczania Chorób Nowotworowych). Teraz budujemy fundament opieki onkologicznej. Strategia jest niezbędna, by w sposób zaplanowany zmieniać to, co nie funkcjonuje dobrze. W województwach dolnośląskim i świętokrzyskim jest już prowadzony pilotaż sieci onkologicznej. Tworzymy rejestry nowotworowe, gromadzimy dane o leczeniu – dzięki temu będziemy monitorować losy pacjentów i przekonamy się, jakie są efekty leczenia. W części szpitali są już koordynatorzy opieki, którzy kierują „ścieżką” pacjenta; chory może np. umówić się na wizytę przez telefon. Poprawiamy jakość wykonywanych badań histopatologicznych, zaczęliśmy oceniać nie tylko liczbę wykonanych zabiegów, lecz także ich jakość.

Poważnym problemem jest jednak niedostateczne finansowanie. Pieniądze, które dostajemy w ramach pilotażu, nie pokrywają kosztów. Finansowanie procedur chirurgicznych jest na poziomie 60 proc. Wyceny niektórych procedur zwiększono, jednak zbyt mało, a jednocześnie obniżono wycenę radioterapii. Realnie w 2019 r. więcej pieniędzy nam zabrano z tytułu przeceny świadczeń z zakresu radioterapii, niż dodano w innych działaniach. Obecnie czekamy na poprawę wyceny hospitalizacji przed radioterapią oraz na wyceny badań histopatologicznych. Prace w AOTMiT są zaawansowane, są gotowe analizy. Jako środowisko lekarskie zrobiliśmy wszystko, jednak ostateczną decyzję o zmianie finansowania musi podjąć minister zdrowia. Onkologia nie musi być opłacalna, ale musi być opłacona.



ALEKSANDRA RUDNICKA, rzecznik Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych:

Polskiej onkologii przede wszystkim brakuje personelu wspierającego lekarzy, czyli pielęgniarek, koordynatorów i asystentów, brakuje także specjalistów, którzy wiedzą, jak reagować, gdy pojawiają się działania niepożądane stosowanego leczenia – osób o takich specjalnościach jak kardiopunktor, neuroonkolog, rehabilitant. Potrzebne są pewne zmiany organizacyjne, które pozwoliłyby leczyć pacjentów w sposób kompleksowy, skoordynowany. Ważne jest też stosowanie nowoczesnej diagnostyki, która jest podstawą leczenia. Chociaż w ostatnim czasie nastąpił wyraźny postęp, jeśli chodzi o dostęp do innowacyjnych terapii, to nadal wielu z nich brakuje. Cały czas gonimy Europę.



KATARZYNA PINKOSZ: Czerniak to przykład nowotworu, w którego leczeniu dokonała się rewolucja. Jeszcze kilka lat temu chorzy z przerzutowym czerniakiem żyli kilka miesięcy. A dziś?

PROF. PIOTR RUTKOWSKI: Niektórzy żyją kilka lat, a są przypadki, że być może możemy nawet mówić o wyleczeniu z zaawansowanego czerniaka! Przełom wiąże się z dwoma sposobami leczenia. Pierwszy to immunoterapia, która spowodowała ogromny postęp w leczeniu wielu nowotworów, a w czerniaku efekty jej zastosowania są najlepsze. Immunoterapia odblokowuje zahamowany przez komórki nowotworowe układ odpornościowy, który sam zaczyna je zwalczać.

Są dwa poziomy immunoterapii, oba zostały uhonorowane w ubiegłym roku Nagrodą Nobla. Pierwszy dotyczy przeciwciała anty CTLA4. Lek (ipilimumab) był zarejestrowany jako pierwszy do leczenia przerzutowego czerniaka. Działal u co piątego chorego; po 10 latach 15–18 proc. pacjentów żyje (wcześniej takiego czasu pacjenci nie przeżywali). Drugi poziom to przeciwciała anty-PD-1, dwa leki: niwolumab i pembrolizumab. Oba mają podobne efekty: są skuteczne u 40–45 proc. chorych, pięć lat przeżywa co trzeci; to dwa razy więcej niż w przypadku ipilimumabu. Co więcej, te leki nie muszą być stosowane przez cały czas:



prof. Piotr Rutkowski, kierownik Kliniki Nowotworów, Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków w Centrum Onkologii-Instytucie w Warszawie

jeśli zadziałają, to po pewnym czasie można je odstawić, a aktywność układu odpornościowego nadal się utrzymuje.

Można odstawić leki w przerzutowym czerniaku? Chorzy są wyleczeni?

U części z nich choroba może nigdy nie wrócić. Leki możemy odstawić, eliminujemy więc objawy uboczne (np. ciężkie powikłania w postaci zapalenia jelit, wątroby, przysadki, płuc, nerek). Dlatego postulujemy o takie zmiany w programach lekowych, by u chorych, u których jest trwała poprawa, można było zaprzestać leczenia i ewentualnie do niego wrócić, gdyby doszło do progresji choroby.

Można też ipilimumab podawać łącznie z niwolumabem: takie połączenie daje najlepsze efekty, gdyż nawet u 50–60 proc. pacjentów można kontrolować chorobę. W Polsce ta opcja jeszcze nie jest dostępna, choć mam nadzieję, że wkrótce będzie. Rokowanie pacjentów bardzo poprawiły też leki ukierunkowane molekularnie. Są stosowane, gdy w komórkach czerniaka jest mutacja genu BRAF, a choroba jest mocno agresywna. W Polsce są dostępne i refundowane dwie spośród trzech możliwości w takim przypadku kombinacji leczenia.

Ostatnio mówi się o kolejnym przełomie w leczeniu czerniaka. Na czym on polega?

Tym razem chodzi o zastosowanie immunoterapii u chorych, którzy nie mają choroby uogólnionej, tylko przerzuty do węzłów chłonnych lub tkanki podskórnej i zostały one chirurgicznie usunięte. Podawanie w leczeniu uzupełniającym przez rok niwolumabu, pembrolizumabu (lub inhibitora BRAF i MEK, jeśli czerniak wykazuje mutację BRAF) powoduje wyleczenie dodatkowo 15–20 proc. chorych.

W Polsce na razie możemy takie leczenie stosować tylko w procedurze RDTL (ratunkowego dostępu do technologii lekowych). To skomplikowane, bo dla każdego chorego trzeba wypełnić i wysłać wniosek do ministerstwa, musi być on podpisany przez konsultanta krajowego, a także zaopiniowany przez AOTMiT, i czekać na zgodę, co trwa ok. miesiąca (przy pierwszych wnioskach czekaliśmy nawet kilka miesięcy). W Centrum Onkologii mamy w ten sposób leczonych 30 chorych, a w całej Polsce – 60. Lepiej by było stosować tę opcję w programie lekowym. Występujemy o taką zmianę, zwłaszcza że można by przeznaczyć na to pieniądze zaoszczędzone po odstawieniu leczenia u chorych z zaawansowanym czerniakiem, u których jest trwała poprawa. Nie wydawajmy niepotrzebnie pieniędzy na kontynuację leczenia, gdy można je zakończyć; wydajmy je tu, gdzie przyniesie to znakomity efekt.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Piotrem Rutkowskim, onkologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Szansa na wyleczenie czerniaka

Czerniak w Polsce

Na czerniaka zachorowuje co roku w Polsce ok. 4 tys. osób. Czynnikiem ryzyka numer jeden jest narażenie na promienie UV (opalanie się, korzystanie z solarium).

Rak ze stygmatem

FOT. ADRIAN STOK

Na nowotwory głowy i szyi coraz częściej chorują młodzi ludzie. W zaawansowanym stadium nie ma szans na wyleczenie, jednak dzięki immunoterapii chory może dłużej żyć

Immunoterapia, która jest przełomem w zaawansowanym czerniaku i wielu innych nowotworach, ostatnio stała się nadzieją dla osób z przerzutowymi nowotworami głowy i szyi (np. rak jamy ustnej, gardła, krtani). Tutaj też wykorzystuje się mechanizm odblokowania zablokowanego przez raka układu odpornościowego, który zaczyna z powrotem zwalczać komórki nowotworowe.

CHORY CORAZ MŁODSI

Na nowotwory głowy i szyi zachorowuje w Polsce co roku ok. 5 tys. mężczyzn i 1,4 tys. kobiet. Czynnikiem ryzyka jest głównie narażenie śluzówek dróg oddechowych na dym tytoniowy i alkohol. Niestety, w 70 proc. przypadków nowotwory w tych okolicach są w Polsce diagnozowane w zaawansowanym stadium, kiedy leczenie jest trudne, a operacja chirurgiczna wiąże się z poważnym okaleczeniem i późniejszymi trudnościami z mówieniem, przełykaniem, jedzeniem. Z powodu wyglądu chorzy często czują się stygmatyzowani.

– W ostatnich latach zachorowania coraz częściej dotyczą osób młodszych. Czynnikiem ryzyka jest zakażenie wirusami, najczęściej HPV (brodawczaka ludzkiego), przenoszonym drogą płciową. Nowotwory HPV-dodatnie są bardziej zróżnicowane pod względem histopatologicznym, co powoduje, że rokowanie chorych generalnie jest lepsze – mówi prof. Andrzej Kawecki, kierownik Kliniki Nowotworów Głowy i Szyi Centrum Onkologii-Instytutu w Warszawie.

Wcześnie wykryć

Do lekarza powinny zgłosić się osoby, u których przez ponad trzy tygodnie występują (niezwiązane z infekcją górnych dróg oddechowych) takie objawy, jak: pieczenie języka, niegojące się owrzodzenie, czerwone albo białe naloty w jamie ustnej, ból gardła, przełknięcie chryпка, guz na szyi, niedrożność nosa, ból i problemy z połykaniem. Więcej informacji: www.opngis.pl.

Do niedawna dla osób, u których te nowotwory rozpoznano w zaawansowanym stadium lub mimo leczenia doszło do wznowy i przerzutów, jedyną opcją była chemioterapia paliatywna, która nie była zbyt efektywna i powodowała wiele działań ubocznych. – Od niedawna są jednak nowe możliwości leczenia, przede wszystkim immunoterapia. Zostały już zarejestrowane dwa leki: niwolumab i pembrolizumab – opowiada dr Bartosz Spławski z Kliniki Nowotworów Głowy i Szyi CO. Cytuje wyniki badań: przy stosowaniu standardowej chemioterapii rok przeżywa 17 proc. chorych, w przypadku niwolumabu – 26 proc., czyli ponad dwa razy więcej. Podobne były wyniki badania, w którym pacjenci dostawali pembrolizumab.

NIE TYLKO W RDTL

W Polsce na razie żaden z tych leków nie jest refundowany dla tej grupy pacjentów. Kilkunastu chorych było jednak

leczonych niwolumabem dzięki tzw. RDTL (ratunkowemu dostępowi do technologii lekowych). – Ta procedura umożliwia zastosowanie leku, który nie jest refundowany. Jednak dla każdego pacjenta trzeba wypełnić osobny wniosek, czekać na opinię AOTMiT i zgodę Ministerstwa Zdrowia. Jeden z wniosków, który składałam, został rozpatrzony pozytywnie, ale trwało to prawie trzy miesiące. Pacjent nie doczekał leczenia, zmarł – mówi dr Izabela Łasińska z Wielkopolskiego Centrum Onkologii.

Podobne doświadczenia miał prof. Tomasz Rutkowski, zastępca dyrektora ds. naukowych Centrum Onkologii-Instytutu Oddział w Gliwicach. – Przy pierwszych wnioskach czekaliśmy na zgodę około trzech miesięcy. My również mieliśmy dwóch–trzech pacjentów, którzy nie doczekali pozytywnej decyzji – opowiada profesor. Podkreśla, że lek nie wyleczy chorego z przerzutowym nowotworem, może jednak cofnąć chorobę lub ją zatrzymać. – Obecnie stosujemy go u czterech pacjentów, u dwóch z nich efekt jest rewelacyjny. U jednego, który miał liczne przerzuty do płuc, choroba nie postępuje. Przyjmuje lek od kilku miesięcy, czuje się świetnie, normalnie funkcjonuje. Wygląda jak pani czy ja! Dzięki niwolumabowi żyje. Gdyby go nie dostał, choroba i przerzuty do płuc zabiłyby go w ciągu kilku miesięcy – dodaje prof. Rutkowski.

Onkolodzy chcieliby, aby lek był dostępny w ramach programu lekowego, bo wtedy nie musieliby dla każdego pacjenta wypełniać wniosku i czekać na zgodę MZ. Chory mógłby szybciej zacząć leczenie, a lekarz (i urzędnicy) nie traciliby czasu na zbędne procedury.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Katarzyna Pinkosz



FOT. ARCHIWUM DOKTOR DAMIANA

Linie życia

Dzięki kolejnym liniom leczenia osoby z rozsianą chorobą nowotworową mogą żyć nawet wiele lat, pracując i prowadząc normalne życie rodzinne

Damian Peryt ma 36 lat. Jeździ karetką pogotowia. Jest ratownikiem medycznym i kierownikiem zespołu medycznego. Nie wygląda na osobę, która od pięciu lat choruje na przerzutowego raka jelita grubego.

BEZ CZYNNIKÓW RYZYKA

Miał 31 lat, gdy zauważył krew w stolcu. – Szybko wykonana kolonoskopia wykazała obecność dużego guza w odbytnicy. Nikt w rodzinie wcześniej nie chorował na raka jelita grubego – mówi Magdalena Chyła-Peryt, która z zawodu jest lekarzem, specjalistką chorób wewnętrznych i endokrynologii, a prywatnie – żoną Damiana.

Wydawało się, że rak jest zaawansowany tylko miejscowo. W warszawskim Centrum Onkologii Damian dostał radiochemioterapię, a później usunięto mu guza. Przebieg pooperacyjny był ciężki, rana źle

się goiła. Po wypisaniu do domu stan się nie poprawiał. Na własną rękę wykonał USG: okazało się, że jest podejrzenie przerzutu do wątroby, co potwierdził rezonans. Dostał kolejną chemioterapię, przerzuty usunięto, jednak pojawił się kolejny. Następną operacją – ciężką, powikłaną perforacją przewodu pokarmowego i sepsą. Po kilku miesiącach spokoju pojawia się kolejny przerzut: tym razem do płuc. Znowu chemioterapia, którą trzeba przerwać z powodu poważnych skutków ubocznych. Damian zostaje więc zakwalifikowany do programu leczenia biologicznego.

– Niestety, po pół roku doszło do kolejnej progresji choroby. Mąż został zakwalifikowany do leczenia biologicznego drugiej linii, niestety ostatniej z refundowanych w Polsce – opowiada Magdalena.

POTRZEBNE NOWE LEKI

Po 15 miesiącach dochodzi do kolejnej progresji. – Jedyną opcją była terapia nierefundowana w Polsce. Co miesiąc kupujemy lek za ponad 12 tys. zł. Dzięki temu od siedmiu miesięcy choroba stoi w miejscu. Gdy lek przestanie działać, jest jeszcze kolejny, ale też nierefundowany. Miesięczny koszt to ok. 13 tys. zł – mówi Magdalena. Brała dodatkowe dyżury przez ostatni rok, gdy

mąż przyjmował ostatnią z refundowanych w Polsce terapię. Na ile miesięcy wystarczy oszczędności?

Rak jelita grubego to obecnie w Polsce trzeci nowotwór pod względem częstości zachorowań u mężczyzn, a drugi pod względem liczby zgonów. Zwykle dotyka osób po 60.–65. roku życia. Zdiagnozowany we wczesnych stadiach jest uleczalny (dlatego po 55. roku życia zalecane jest badanie kolonoskopowe u osób, które nie mają żadnych dolegliwości). Jednak coraz częściej zachorowania pojawiają się w młodszym wieku. – Są pacjenci, którzy mają po 20–30 lat i często żadnych obciążeń rodzinnych. Do 2030 r. o 90 proc. zwiększy się zachorowalność wśród ludzi młodych – potwierdza prof. Marek Wojtukiewicz, kierownik Kliniki Onkologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku i ordynator Oddziału Onkologii Klinicznej Białostockiego Centrum Onkologii.

Zaawansowanego raka jelita grubego nie da się na razie wyleczyć, jednak nowoczesne leki znacznie wydłużają życie. – W Polsce dostępne jest dobre leczenie pierwszej i drugiej linii, niestety potem się kończy, choć we wszystkich krajach Europy, także u naszych sąsiadów, są dostępne terapie w trzeciej i czwartej linii. W Polsce można tylko wrócić do wcześniej stosowanych schematów, jednak nie są one tak efektywne jak nowe terapie o zupełnie innych mechanizmach działania – przekazuje prof. Wojtukiewicz.

Damian nie wygląda na osobę, która przeszła pięć operacji i przyjmuje kolejną linię leczenia. Niedawno wraz z żoną i siedmioletnią córeczką byli na wakacjach. – Spacerował po 5 km, jak ktoś go nie zna, to nie pozna, że tak ciężko choruje. Próbuje normalnie żyć, pracuje, płaci podatki. Naprawdę w Polsce nie opłaca się takich osób leczyć? Zwłaszcza że leki są doustne, przyjmuje się je w domu, więc nie obciąża to systemu ochrony zdrowia – mówi Magdalena. O dostęp do nowych linii terapii postulują organizacje pacjentów i eksperci. – Nie zawsze udaje się zapobiec czy wcześniej wykryć raka. Warto stosować nowoczesne leki, zwłaszcza że wielu pacjentów jest w bardzo dobrym stanie ogólnym. Konsekwencje wynikające z braku dostępu do nowoczesnych terapii w Polsce są niekorzystne dla społeczeństwa – potwierdza prof. Wojtukiewicz.

Katarzyna Pinkosz

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zbiórkę Damiana można wesprzeć na:
www.onkofundusz.pl/onko_fundusz/zbiorki/27

NAJSZYBSZY RADIOWÓZ W AUSTRALII

Aż 625 KM. Taką maksymalną moc ma 4,4-litrowy silnik V8 umieszczony pod maską BMW M5 Competition, najnowszego radiowozu policji w australijskim stanie Wiktorja. Auto od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 3,3 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 305 km/godz.

Nowa zabawka jest najmocniejsza w ciekawej policyjnej flocie w Australii – znajdują się w niej też takie modele, jak Audi RS 4 Avant, Ford Falcon GT RSPEC, Honda Civic Type R, Mercedes-AMG GLE 63 S Coupe czy Tesla X. Piraci nie mają tam więc łatwego życia, zwłaszcza że maksymalna dozwolona prędkość na większości australijskich autostrad wynosi jedynie 110 km/godz.



HYUNDAI SONATA I TOYOTA PRIUS NAPĘDZANE SŁOŃCEM

Japoński koncern zaprezentował model Prius Hybrid Plug-In, którego dach, maskę i tylną klapę pokrywają panele słoneczne. Konstruktorzy szacują, że dzięki nim zasięg samochodu – przy korzystaniu wyłącznie z napędu elektrycznego – zwiększy się od 45 do 65 km. Początek testów „słonecznego” modelu zaplanowano na koniec lipca obecnego roku.

Nad podobnymi rozwiązaniami pracują też południowokoreańscy inżynierowie. Hyundai



Sonata Hybrid w wersji na 2020 r. ma mieć na dachu zamontowane panele fotowoltaiczne, które – według przedstawicieli Hyundai – pozwolą na przejechanie za darmo nawet 1,3 tys. km rocznie (przy założeniu sześciu godzin średniej ekspozycji na słońce). Nowa Sonata ma trafić do sprzedaży w Stanach Zjednoczonych pod koniec obecnego roku. W Europie ten model nie jest oferowany.

Podobne rozwiązania mają być jednak zastosowane w innych modelach grupy Hyundai-Kia.



WYBIERZ SWÓJ VIN

Chevrolet Corvette C8 to auto, które ma odebrać klientów producentom europejskich samochodów sportowych. Chociaż na rynek trafi dopiero w przyszłym roku, to już budzi ogromnie wiele emocji. Samochód napędzać będzie 6,2-litrowy silnik V8 o mocy 502 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 637 Nm. Oficjalna prędkość maksymalna ani rezultaty sprintu do setki nie są jeszcze znane. Szacuje się jednak, że auto od 0 do 100 km/godz. powinno rozpędzić się w maksymalnie trzy sekundy. Portal Cars Direct poinformował także, że Chevrolet chętnym na jego sportowe cacko oferuje też nietypową promocję: za 5 tys. dol., czyli 19,1 tys. zł, klienci będą mogli wybrać pięć ostatnich cyfr numeru VIN. Kusząca – w porównaniu do wartych setki tysięcy aut sportowych – wydaje się też cena auta, która w przeliczeniu na złote wynosi 229 tys. zł. Aby sprowadzić corvetę do Polski, trzeba jednak doliczyć wszelkie cła, akcyzy etc. © **Jacek Przybylski**





JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Wataha Wysoczana

W XVII i XVIII w. Karpaty roili się od zbójników. Zwano ich rozmaicie – tych z polskiej strony beskidnikami i spisnikami, a gromadzących się na terenach Węgier – tołhajami. Na ziemi halickiej z kolei zbójowali pochodzący z Mołdawii i Bukowiny watahowie. Rozbójnictwo nie wynikało z biedy i ucisku ze strony panów, jako że hersztami band wcale nie bywali zmuszani do pańszczyzny chłopci, ale właśnie ci mieszkańcy wsi, którzy wolności i dostatku mieli więcej niż inni. Byli to popi i ich synowie, wójtowie i ich odpowiednicy we wsiach wołoskich – kniaziowie, żołnierze, uciekinierzy, ludzie luźni, drobna szlachta; słowem – wielonarodowe towarzystwo korzystające z wolności dzikich i niedostępnych gór. Zbójckie towarzystwa były w bliskich związkach nie tylko z zagubionymi w bukowych puszczech wsiami, lecz także ze szlachtą, mieszczańami i urzędnikami. Co beskidnik złupił, to Żyd sprzedał; szlachcic ukrył opryszków we dworze za udział w łupach, na ostatku pop ich pobłogosławił, aby Boh był przychylny dalszym wyprawom.

W XV w., jak podaje Stanisław Orłowski w „Tołhajach w Bieszczadach”, najsławniejszymi hersztami opryszków byli Mikołaj z Dormanhaza, Jakub Czuder, Mikołaj Czajka z Jawora, bracia Mikołaj i Piotr Komorowscy. W XVII w. złą sławą cieszyli się Marko Hatała, Hryć Kaczor z Łupkowa, Czahajko z Radoszyc. Sto lat później w województwie ruskim grasował najsławniejszy Oleksy Dobosz z Huculszczyzny, o którym krążyły legendy, i jego następca Hnat Bajurak.

W XVII w. w dawnym województwie ruskim jednym z największych i najzuchwalszych rozbójników, którzy przy tym pozostawał całkowicie bezkarny, był, jak podaje Władysław Łoziński, Ihnat Wysoczana z Wiktorowa: „Chłop możny i butny,



FOT. WIKIPEDIA

który żyje jak szlachcic, śmiejąc się z władzy starościńskiej i jak mały królik trzyma całą okolicę w zawiśłości i strachu, nie wyjmując nawet drobnej, zagonowej szlachty, którą pogardza”. Został osadźcą, czyli według prawa niemieckiego wójtem, który w 1620 r. osadził dla starosty halickiego wieś Słobodę Wysoczańską, ale natychmiast pokłócił się ze wspomnianym urzędnikiem. I wtedy to, co założył, zburzył. Wysoczana kazał rozejść się osadnikom, a pozostałe po nich domostwa spustoszył i zniszczył. Odtąd w pełni korzystał z wolności, napadając i gromiąc wrogów, a kiedy trzeba – przekupując podstarościch i sądy pieniędzmi.

Wysoczana osiadł koło Bednarowa – prawdopodobnie chodziło o wieś w pobliżu dzisiejszego Kałusza, gdzie pobudował sobie dwór za rzeką, między lasami i oczywiście trzymał w nim huculskich opryszków. Jak pisze w skardze Tomasz Sulatycki, przywłaszczzył sobie tytuł szlachecki i przywileje, do czego nie miał prawa jako chłop. Ihnat przez długie lata prowadził specyficzną działalność przynoszącą duży dochód. Otóż zebrał sobie zastęp górali z Pokucia i napadał na powracających z najazdu Tatarów, odbierając im łupy i jasyr, na przykład w czasie

najazdu w 1622 r. Oczywiście zdobytego mienia nie oddawał właścicielom, ale sprzedawał je, bogacąc się i wyrastając ponad okolicznych szaraczków z zaścianków. Najpierw zbudował browar i szynk w Bednarowie, co było zastrzeżone tylko dla szlachty, potem poodejmował grunty okolicznej szlachcie – ufając w swoją siłę, ponieważ mieszkał jak prawdziwy chłopski magnat, trzymając pod ręką uzbrojoną kompanię zbójników.

Jego największym wrogiem był wspomniany Tomasz Sulatycki. Wysoczana przygotował na niego zamach. Kazał bić w dzwony w cerkwi w Bednarowie, jakby ostrzegał o najeździe Tatarów. Kiedy zaś zbiegli się bednarowska szlachta i słudzy, kazał swojemu synowi Semie zabić starego szlachcica, wołając: „Żem ja raz tylko trzech albo czterech szlachty zabił i zapłacił, a i na tych mam niejedną tysiacy złotych, że ich zapłacię, zaś na prawo jeden czterytyśnik pieniędzy odwagę, a drugi cztertyśnik na pana”.

Kiedy w 1648 r. wybuchło powstanie Chmielnickiego, Wysoczana zebrał 15 tys. chłopów, po czym ruszył przeciwko swoim ówczesnym wrogom – Kuropatwom, obległ zamek w Pniowie, gdzie schroniła się okoliczna szlachta, nie zdobył go jednak pomimo dwutygodniowego oblężenia. Nie wiadomo, co się z nim potem stało, wygląda jednak na to, że musiał uciekać, być może do Mołdawii. Stało się tak, bo na Rusi Czerwonej po odejściu Chmielnickiego spod Zamościa szlachta rozbiła bunt chłopski i srogo ukarała przywódców – nawet miejscowych szlachciców – którzy przyłączyli się do Kozaków. Skoro pozbawiono go godności i majątności, ścigano i ścinano licznych Drohomireckich, Żurakowskich, Berezowskich, Witwickich i innych, to nie pominie to by z pewnością Wysoczana. ©

NIEDZIELNY OBIAD Z POSŁEM MARKIEM ASTEM

W tygodniu zwykle nie mam czasu na gotowanie, nie pozwalają mi na to obowiązki zawodowe, ale staram się za to przygotowywać niedzielne obiady. Jednym z dań, które bardzo lubimy, a które nie jest skomplikowane i czasochłonne, jest pieczona pierś kaczki podawana z kluseczkami i buraczkami.

Składniki:

- 2 piersi kaczki
- jabłko
- ziemniaki
- mąka
- masło
- przyprawy: sól, sól czosnkowa lub czosnek granulowany, majeranek, ocet

Przygotowanie:

Przekrawamy jabłko na pół i usuwamy z niego pestki. Piersi kaczki (najlepiej ze skórą, aby wytopił się z niej tłuszcz, którym później polejemy kluski) solimy, nacieramy majerankiem i odstawiamy na jakiś czas, by mięso przeszło smakiem przypraw. Wkładamy piersi kaczki i jabłka do rękawa do pieczenia, a następnie do piekarnika rozgrzanego do 180 st. C. Pieczemy przez godzinę i 15 min, ale po pół godzinie zalecam zmniejszenie temperatury do 160 st. C.

W międzyczasie przygotowujemy kluski i buraczki. Źeramy trzy średniej wielkości ziemniaki, gotujemy i mielemy bądź tłuczemy (możemy też użyć gnienionych ziemniaków z obiadu z poprzedniego dnia, jeśli nam zostały). Kiedy są ostudzone, dodajemy do nich mąkę (łyżkę żytniej, resztę pszennej, razem mniej więcej jedną trzecią porcji ziemniaków), ugniatamy i formujemy kluseczki podobne do klusek śląskich. Z tej ilości ziemniaków powinno wyjść 12–15 kluseczek. Gotujemy w osolonej wodzie.

Dwa średniej wielkości, ugotowane wcześniej buraki obieramy i ścieramy na grubych oczkach tarki. Podgrzewamy w rondelku z odrobiną wody, aby zaczęły lekko wrzeć, dodajemy łyżeczkę masła i doprawiamy kilkoma kroplami octu i solą oraz zagęszczamy niewielką ilością mąki. Podajemy całą, okraszając delikatnie kluski tłuszczem z kaczki. Smaczno!

©© **oprac. raw**
Marek Ast jest
posłem PiS.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wegański cukiernik

Dla mięsożercy tytuł „Wegańskie słodczy” brzmi mało zachęcająco. Bez jajek, bez masła? No dobra, załóżmy, że nie jemy mięsa, nie zabijamy zwierząt, nie popieramy przemysłowej hodowli kur. Ale jak żyć bez szarlotki? I po co? Wegetarianin nie pogardzi sernikiem, do którego powstania przyczyniły się krowa i kura. Co innego weganin. Ten ma problem z nabiałem, na dodatek szkodzi mu czasem i gluten (nieszczęścia chodzą parami). Nie ma żartów. Chyba że w internetach: „Oczywiście, że mamy bezglutenowe wydanie »Buszującego w zbożu«” – mówi pani z księgarni w sieciowym dowcipie.

Czasy się zmieniają. Z chemizacją i uprzemysłowieniem żywności problemu alergii nie można już ignorować. Rzesza wegan rośnie. Dla tych, którzy szukają inspiracji do przygotowania słodczy bez jajek, mleka, mąki pszennej i cukru rafinowanego, jest książka Karoliny Gawrońskiej „Wegańskie słodczy”. To poradnik dla rosnącej gromady wegan łasuchów. Jego autorka ma również własny kanał na YouTube.

A więc słodczy alternatywne. Ze składnikami i o nazwach, do których będziemy się dopiero przyzwyczajać. W zasobach wegańskiego cukiernika domowego zamiast białej mąki znajdują się zatem mąka jaglana, owsiana, kukurydziana, kokosowa, płatki owsiane, ekspandowany ryż (cokolwiek to znaczy). O masle zapomnijmy, podobnie jak o przemysłowych słodczych zawierających utwardzony tłuszcz palmowy i szkodliwe



KAROLINA GAWROŃSKA
„WEGAŃSKIE SŁODCZY.”
KULTOWE/
ZDROWE/
BEZGLUTENOWE”
GRUPA WYDAWNICZA FOKSAL 2018

tłuszcz trans. W wegańskich przepisach używa się oleju kokosowego, masła orzechowego, orzeszków ziemnych, wiórków kokosowych, sezamu. Mleko krowie też nie wchodzi w rachubę. Zamiast niego – mleko kokosowe, sojowe, ryżowe lub owsiane. Składnikiem imitującym jajka mogą być zmielone siemienie lniane lub nasiona chia. Z grzesznych przyjemności zwykłych śmiertelników niewegan ocalono tylko czekoladę. Hurra!

To, co zrobione jest inaczej, musi również nazywać się inaczej. Żegnamy więc znane ze słownika języka polskiego serniki, szarlotki, napoleonki, pączki, bezy i rurki. Witamy banti, kejk pop, dumel. Muu, bambe, szkokobonsa, majkela. Te ostatnie to cukierki, gdyż książka Karoliny Gawrońskiej proponuje nam również domową produkcję cukierków. Słodczy najnowszej generacji chciałyby całkiem wyzwolić się z oków tradycji, ale w nazwach jeszcze im się to nie udaje. Tofifi, rafaelo, tiki krem nutela, delicja nie mogą oderwać się od starych jajeczno-maślanich niezdrowych smakołyków.

Cóż, rewolucja musi okrzepnąć i wydać swoje nowe dzieci. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Machina skruchy

Ludzie krytykujący krucjaty przemawiają zupełnie, jakby krzyżowcy napadli na jakieś cichutkie i niewadzące nikomu plemię ze środkowego Tybetu, o którym świat nawet przedtem nie słyszał. A przecież na długo zanim krzyżowcom przyszło do głowy wybrać się do Jerozolimy, muzułmanie dotarli niemal do Paryża. Krzyżowcy o mały włos zdobyliby Palestynę, lecz muzułmanie o mały włos zdobyliby Europę.

Te słowa Gilberta Chestertona przypominają mi się zawsze, gdy słyszę wyliczanie „krzywd” – na czele z krucjatami – których przez wieki od chrześcijan zaznali muzułmanie. Ostatnio do tej poetyki dołączył papież Franciszek (czemu mnie to nie dziwi?), który przemawiając w ubiegłym miesiącu w Neapolu, wyrażał się dokładnie w ten sposób. Słowo „krucjaty” co prawda nie padło, ale była mowa o „krzywdach” zaznanych przez wyznawców Allaha ze strony chrześcijan. Ani papież, ani nikt ze zwolenników prowadzonej przezeń w Kościele „rewolucji miłosierdzia” nie zająknął się o tym, że jeszcze ponad sto lat po bitwie pod Poitiers, która odepchnęła

armie muzułmańskie spod bram Paryża, Saraceni nękali południową Francję i Italię. W 846 r. ich wojska zajęły chwilowo Rzym, pustosząc m.in. bazylikę św. Piotra, nie oszczędzając konfesji Rybaka.

Nikt nie wspomniał, że przez wieki wielcy ludzie Kościoła, wyniesieni na ołtarze, publicznie angażowali się w obronę chrześcijan na Wschodzie i Zachodzie przed kolejnymi ofensywami muzułmańskimi. Dość wspomnieć świętych organizatorów wypraw krzyżowych: bł. Urbana II (I krucjata), św. Bernarda z Clairvaux – doktora Kościoła (II wyprawa) – i uczestnika dwóch zbrojnych pielgrzymek – św. Ludwika, króla Francji. Każdy z nich miał świadomość tego, o czym pisał autor „Obrony rozumu”, że „krucjaty stanowiły kontratak. Krzyżowcy byli armią obronną, która dla odmiany przejęła inicjatywę i odparła wroga daleko od jego własnych siedzib”.

Wypowiedź papieża Franciszka nie jest pierwszym tego typu biciem się w piersi dawno zmarłych przodków. Przy okazji Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 bardzo często mieliśmy do czynienia z tego typu „pokutną historiografią” w wykonaniu najwyższych hierarchów Kościoła (nie wyłączając Jana Pawła II). Jak zauważa jednak współczesny francuski pisarz Pascal Bruckner: „fala przeprosin, która przybrała na naszej szerokości geograficznej charakter epidemii, zwłaszcza jeśli chodzi o najważniejsze Kościoły, ma dobroczynne skutki tylko pod warunkiem zachowania zasady wzajemności: niech inne wyznania, inne rządy też uznają swoje błędy! Żal za grzechy nie może być zarezerwowany dla wybranych, a zadeklarowana czystość – formą renty moralnej dla tych, którzy czują się upokorzeni”.

Próżno jednak szukać po stronie muzułmańskiej (mówię

także o historiografii) przyznania się do prawdziwej hekatomby ofiar ludzkich, która towarzyszyła islamskiemu podbojowi średniowiecznego imperium Mogołów w Indiach w latach 1000–1500. Według niektórych historyków zginęło wówczas z rąk agresorów ok. 80 mln hinduistów i buddystów (K.S. Lal). A cóż dopiero powiedzieć o współczesnej Turcji, gdzie negacjonizm prawdy o ludobójstwie Ormian i innych chrześcijan (Greków i Asyryjczyków) awansował do rangi oficjalnej doktryny państwowej. Kto zaś jej się sprzeciwi, tego czeka bolesne spotkanie z paragrafem penalizującym „obrazę tureckości”. Orhan Pamuk, turecki laureat Literackiej Nagrody Nobla, mógłby o tym dużo powiedzieć.

Przypomnienie, że zło w przeszłości popełniali nie tylko „biali mężczyźni wyznania chrześcijańskiego”, uderzałoby w jeden z dogmatów współczesnej lewicy, która za „nowy proletariatus” (a tym samym nowy „zderzak” rewolucji) uważa miliony imigrantów – przeważnie z muzułmańskich krajów – napływających na Stary Kontynent. Dlatego „obowiązek skruchy to machina wojenna, która pełni kilka funkcji: cenzuruje, uspokaja, wyróżnia” (P. Bruckner).

Powracając do Franciszka. Czy ktoś jeszcze pamięta, że w maju 2013 r., na początku swojego pontyfikatu, dokonał on najliczniejszej w dziejach Kościoła kanonizacji 814 męczenników z Otranto? Oddali swoje życie, bo nie chcieli przyjąć islamu „oferowanego” im przez tureckich najeźdźców. Do dzisiaj ich kośćmi wyłożone są mury miejscowej katedry. Jak to się stało, że wojska muzułmańskie pod koniec XV w. pojawiły się w południowej Italii? Zważyła ich „islamofobiczna” Europa? Niosły jej „religię pokoju”? ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Panie profesorze, czy weganin może zjeść weganina?



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Całkiem nowe kwestie tęczowe

Z kronikarskiego obowiązku odnotować należy, że w kwestii gejowskiej pojawiła się nowa kwestia. Na przykład w takiej Łodzi można było stracić siekacz w wyniku niewłaściwej odpowiedzi na pytanie: „Za kim jesteś?” (w domyśle za ŁKS czy za Widzewem). Niezależnie od odpowiedzi można było znaleźć się krótkotrwale w planetarium, gdyż kibicom dość często chodziło o bójkę, a mniej o sympatie klubowe.

Niektórzy w ramach „zaskoczę cię fortelem i oddalę się” na pytanie: „Za kim jesteś?” odpowiadali np. „Za matką, bo ojciec pije”. Agresor werbalny musiał to przeanalizować, a to trwało i trwało. Skuteczność tej repliki nie była jednak gwarantowana, lecz w przypadku posiadania mniejszych bicepsów warto było próbować.

Wróćmy jednak do kwestii gejowskiej. Z jakiegoś powodu uważa się na ogół, że to geje są bici i prześladowani, a nie że oni biją i prześladowają. Statystycznie może to być prawda, nie ma się co kłócić, w końcu ciągle gejów jest trochę mniej, chociaż nie widać tego w wielkich miastach Polski.

Na pytanie: „Czy jesteś po stronie bitych czy bijących?”, zadawane w kontekście gejowskim, wiadomo, co trzeba oficjalnie odpowiedzieć, żeby nie narazić się na psychiczne pobicie przez oficjalne czynniki sprawujące sprawę. Ale nieoficjalnie? W zaułku bałuckim czy też na winklu warszawskiej Pragi? Co powiedzieć panu, który pyta,

a który to pan jest duży, nie ma już od dawna siekaczy do wybicia, w dodatku obdziarany jest dziarami nie z salonów tatuaży, tylko z małej celi dużego aresztu przy ul. Smutnej w Łodzi, mieszczącej się koło cmentarza? Cóż za adekwatna nazwa tej ulicy w tak depresyjnych okolicznościach! Co powiedzieć temu panu? To w sumie jednak stare kwestie.

Nowa kwestia, która się pojawiła znienacka, brzmi: „Czy jesteś za tymi gejami, którzy sami się turbują, nagrywają i wrzucają filmiki, odnajdując się w roli ofiar?”. Pytanie długie, ale w sumie proste. Można by takie zdemaskowane jednostki potępić oczywiście, że oszuści, a nie gejomie szlachetni, ale czy to nie nazbyt łatwe? Skąd wiemy, jakie intencje mieli ci, którzy trochę inscenizowali i brali udział w filmikach niby dokumentalnych? Mogli się co prawda zabezpieczać, umieszczając na początku filmiku mały napis: „Oparte na prawdziwych boksach”. To byłoby w porządku, uważam, ale intencje tacy gejomie mogli mieć przecież szlachetne.

W ogóle dość mnie zastanawiało po tych okropieństwach w Białymstoku, że policja zatrzymała 30 bandytów napadających na gejów, a nie było długo, długo żadnego pokrzywdzonego. Na pewno można to jakoś wytłumaczyć, ale ja tu nie napiszę jak. Mam już dość prześladowania mnie jako zatwardziałego heteryka, za ten tekstik nie życzę sobie prześladowania mnie, więc ze strachu nie wszystko piszę, co myślę. A myśli, jak każdy, posiadam m.in. brutalne... ©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

„Królowa lwica”

Choć inżynier Mamon już 50 lat temu zdefiniował złotą regułę popkultury („lubimy te piosenki, które znamy”), dopiero dzisiaj jego prorocze słowa przekazywane są w czyn na przemysłową skalę. Jeden z najbardziej spektakularnych przykładów to wznowienie klasycznej disnejowskiej animacji „Król Lew”. Dla pokolenia obecnych 30-latków śmierć Mufasy, zdradzonego przez czyhającego na koronę brata – Skazy – stanowiło niezatartą traumę dzieciństwa. Kto nie płakał, gdy młody Simba dotykał puchatą łapką twarz swojego poturbowanego ojca, najprawdopodobniej został później socjopatą bądź menedżerem wysokiego szczebla. Na jedno wychodzi.

Czy można tę samą historię ożywić raz jeszcze, tym razem ubierając ją jednak w fotorealistyczną animację komputerową rodem z „National Geographic”? Można, szczególnie dla pokolenia, które z oryginałem nie miało w kinach styczności. Czy pozbawienie „Króla Lwa” umowności bajki na rzecz dosłowności przekazu wyszło mu na dobre? Szczerze wątpię. Widać to zwłaszcza w momentach, w których zwierzęta śpiewają albo z trudem wyrażają (ich twarze nie są przecież do tego stworzone) emocje charakterystyczne dla ludzi. Antropomorfizacja zwierząt (może poza „Babe – świnka z klasą”) prawie

nigdy nie wygląda przekonująco.

Niemniej sama historia, szekspirowska w swojej dramaturgii i dynamice, broni się tak samo jak ćwierć wieku temu. Chyba że jest się recenzentem „Gazety Wyborczej” – wtedy niekoniecznie. Okazuje się bowiem, że to, co kiedyś wzruszało, dzisiaj owych wrażliwych społecznie 30-latków irytuje wstecznością. – Odtworzenie oryginału jeden do jednego w tym przypadku nieco rozczarowuje. Za odświeżeniem formy nie idzie rewizja wyobrażeń dotyczących praw natury ani relacji społecznych, w tym roli i statusu kobiet. Bo to, czego 25 lat temu mogliśmy nie dostrzegać, dziś już powinno razić. Nala wydaje się odważniejsza, sprytniejsza, ba, za każdym razem wygrywa pojedynki z Simbą, a mimo to lwice znów czekają na wybawcę z bujną grzywą – ubolewał dziennikarz gazety, wyrażający autentyczne rozczarowanie niedostosowaniem fabuły do „realiów XXI wieku”.

Gdyby tylko Disney wiedział, czego oczekują progresywni odbiorcy, być może nakręciłby „Królową lwicę”, graną przez czarną panterę, żyjącą w związku partnerskim z tygrysią przybyłą na afrykańską sawannę jako uchodźczyni z Azji. I razem obalibyby samczy patriarchat wybawców z bujną grzywą, zaprowadzając na krwawych do tej pory i kierujących się instynktem ziemiach ład i harmonię. Gdyby tylko... ©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Igrający z dziewczynkami

JESSICA YANIV: *Jestem kobietą i jako kobieta mam prawo korzystać z KAŻDEJ usługi dla kobiet, a odmowa świadczenia mi jej jest naruszeniem praw człowieka.*

Ochcącej uchodzić za kobietę Jessica Yaniv zrobiło się głośno za sprawą pozwów, które wytacza salonom piękności, odmawiającym wydepilowania jej krocza. Jej, a właściwie jemu, bo Jessica, która od jakiegoś roku przedstawia się żeńskim imieniem i od czasu do czasu ubiera w sukienkę, ma męskie genitalia. Ta mieszkająca w Kanadzie aktywistka pozwała już 16 prowadzonych przez kobiety i dla kobiet salonów kosmetycznych i zapowiada, że to nie jest jej ostatnie słowo, bo za punkt honoru wzięła sobie prawne zmuszanie mających zrozumiałe opory kobiet do dotykania jej penisa. Od kolejnych odmawiających, nawet jeśli te uzasadniają odmowę brakiem profesjonalnego przygotowania do depilacji męskich narządów płciowych, Jessica żąda wysokiego zadośćuczynienia, a najchętniej doprowadziłaby kobiety odmawiające dotykania jej penisa do zamknięcia swoich biznesów. Niestety dla pań kosmetyczek, po stronie Jessiki stoi kanadyjskie prawo zakazujące dyskryminacji ze względu na płeć tylko dlatego, że

osoba przedstawiająca się żeńskim imieniem ma akurat penisa. Jeśli w tym kierunku ma nas zaprowadzić rewolucja zaczynająca się od zmuszania drukarza do wydrukowania ulotek na konferencję LGBT, to dla środowisk LGBT będzie to zwycięstwo pyrrusowe i lepiej, żeby to w porę zrozumiały. Kampania „depilacyjna” jest bowiem najmniejszym problemem, który wszyscy powinniśmy z Jessicą mieć – kosmetyczki sobie łatwo poradzą z ewentualnymi naśladowcami Jessiki próbującymi wykorzystać prawo antydyskryminacyjne do zmuszenia kobiet do świadczenia im usług o charakterze intymnym. Chociaż już sam fakt, że kobieta musi w sądzie bronić swojego prawa do niedotykania męskich genitaliów, uważam za objaw choroby toczącej zachodnie społeczeństwa, które w imię złe pojmowanej poprawności politycznej stawiają kobiety w sytuacji, w której muszą znosić w toalecie czy przebieralni obecność biologicznych mężczyzn. Problem jest jednak dużo poważniejszy. Jessica przedstawiająca się jako kobieta ma obsesję na punkcie bardzo nieletnich dziewczynek, lubi im robić zdjęcia w damskiej szatni, a w Internecie wciąga rozmówców w mocno niepokojące rozważania,

czy poproszona w przebieralni – bo Jessica jest przecież kobietą – przez 12-letnią dziewczynkę o tampon powinna z nią wejść do kabiny i pomóc jej ten tampon włożyć.

Gdyby Jessica nie udawała kobiety i robiła to, co robi, mówiła to, co mówi, pod swoim prawdziwym imieniem Jonathan, zostałaby uznana za niebezpiecznego pedofila i nikomu nie przyszkoliby do głowy bronienie jej prawa do przebywania w damskiej szatni czy molestowania kosmetyczek żądaniami wydepilowania mu genitaliów. Z jakiegoś powodu jednak udajemy, że wszystko zmienia to, że Jonathan rok temu uznał, iż będzie się przedstawiał jako Jessica, i w tym magicznym momencie stał się kobietą, a każda krytyka tego, co mówi i robi – transfobią. Rozzuchwalony bezradnością środowiska Jonathan może więc wymyślać coraz bardziej prowokacyjne akcje kosztem kobiet i dziewczynek. I kosztem środowiska trans, dla którego przecież nie jest reprezentatywny, ale które nie chce lub nie potrafi się obronić przed osobnikiem tak bardzo nadużywającym prawa mającego chronić przed dyskryminacją, a nie otwierać furtkę dla – unikam tego słowa, ale tu jest jedynym odpowiednim – zboczeńców. ©©

PODSŁUCHANE

Poparcie, ale warunkowe

Grzegorz, musimy się jakoś odciąć od tych pe... No, tego elgiebete całego.

Świetnie, Krzysiu. Może naklejki wydrukujemy?

Jakie naklejki?

„Strefa wolna do elgiebete”. A jakie? Jaja sobie robisz, prawda?

A jak myślisz? Oczywiście. Jak jesteś taki mądry, to sam mi powiedz,

jak się odciąć od pe... elgiebete, żeby nie wyszło, że już się nie boimy faszyzmu. Wleźliśmy w to jak idioci jacyś.

No wiesz, to trochę też twoja wina...

Że jak?

No tak. Jak wtedy Rafał do ciebie przyszedł i pytał, czy może parę słów powiedzieć na paradzie, to machnąłeś ręką, że masz coś ważniejszego. Nawet się nie zastanawiałeś.

Bo mecz był za chwilę w telewizji.

No, to faktycznie... Ale teraz musimy jakoś pokazać, że my tych... elgiebete to niby popieramy, ale tak jakoś ze bardzo. Że warunkowo.

Nie rozumiesz, że tu nie ma miejsca na jakieś tam półtony? Sami tak zrobiliśmy: albo jesteś za, albo przeciw. Koniec.

Ja mam taki pomysł: może by tak zacząć opuszczać najpierw „te”, potem „be”...

Co???

No tak. Żeby pokazać, że mamy dystans. Nie mówić „elgiebete”, tylko najpierw „elgiebe”, a potem już tylko „elgie”.

Ty, a to „bete” to właściwie co jest?

A myślisz, że ja wiem? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wygląda na to, że praktyczne zalegalizowanie faszyzmu jest u nas bliższe od zalegalizowania związków partnerskich”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



foto. Jerzy Gumowski

Fake story

Zeszłego roku dla okładania „dobrej zmiany” zastosowano także „politykę historyczną”. Gdy ukazała się dwutomowa, bardzo okrutna wobec Herberta jego biografia pióra A. Franaszka, recenzujący ją (flekującą wobec poety) J. Cieślak napisał w „Rzeczypospolitej”: „Herbert stał się klasycznym przykładem prawniczej hipokryzji, który kreuje się na niepokalanego bohatera, którym przecież nie był, a dawał sobie prawo być surowym moralistą. Tak jak dzisiejsza prawica, kreująca kolejne mity z historii Polski” (2018). Czytając to zastanawiałem się o jakie „mity” chodzi autorowi cytowanej tezy. O „żołnierzy wyklętych”? O dezawuowanie PRL-u? O krytykę kuronizmu-michnikizmu, czyli tzw. „opozycji koncesjonowanej”? O antyjaruzelskizm-antykiszczakizm, czyli preokragłostołowy Magdalenkizm? O wynoszenie Kornela Morawieckiego nad Wałęsę, Gwiazdy nad Frasnika, Walentynowicz nad Krzywonos? O dawanie Piłsudskiemu prymatu nad Dmowskim? O schładzanie aktów strzelistych wobec kontrońskiego homogombrowicza i sarkanie na wojujący stalinizm Szymborskiej? A może tylko o pompowanie kultu L. Kaczyńskiego i wieloletnie bezdowodowe lansowanie zamachu?

Prawda jest taka, że wbrew tezie „Rzeczypospolitej” to nie prawica, tylko lewica przoduje w zafałszowywaniu historii od niepamiętnych czasów — do niej należy ponad 90% historiograficznych malwersacji. Przykład pierwszy z brzegu: bunt getta warszawskiego. Komuniści (propagandyści peerelowskie) oraz żydowscy weterani plus pogrobownicy przedwojennego lewackiego Bundu (salonowiec M. Edelman i spółka, czyli „michnikowszczyzna”) głównymi (nieomal jedynymi) bohaterami zrywu getta uczynili lewicowe ugrupowanie ŻOB (Żydowska Organizacja Bojowa), spychając w głęboki cień wielokrotnie liczniejszą i dużo szerszą walczącą ŻZW (Żydowski Związek Wojskowy), bo ta organizacja, złożona z byłych oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego mających pochodzenie żydowskie, była prawicowa. Ów fałszywy obraz buntu getta utrwalano w rozprawach akademickich, podręcznikach, mediach, i dopiero od końca pierwszej dekady XXI wieku zaczęły się mocniej podnosić głosy protestujące przeciwko takiej szacherce. Ja opublikowałem na ten te-

mat cały rozdział w mej książce „**Mitologia świata bez kłamek**” (2008), i nie byłam jedyną. M. Kokoszkie: „*Reakcyjny, niepoprawny politycznie Żydowski Związek Wojskowy przez długie lata systematycznie rugowano z historii (...) Bohaterscy powstańcy z ŻZW zostali wybici nieomal do nogi, co ułatwiło ocalalej części przywódczej ŻOB w sposób bezczelny przypisać sobie wszelkie zasługi i wypinać piersi po orderzy — są dekorowani jako jedyni bojownicy getta (...) ŻZW stawiał bohaterski opór Niemcom od 19 do 27 kwietnia, ŻOB jedynie kilkanaście pierwszych godzin*”. Temu fałszu lokalnych „czerwonych” i „różowych” sekunduje manipulacja globalnego Salonu (współczesnego Kominternu) czyniąca z owych buntowniczych kilku dni warszawskiego getta zryw dużo większy (i międzynarodowo jedynie rozpoznawalny) niż ogromne Powstanie Warszawskie AK. Dla zachodnich mediów termin „*Powstanie Warszawskie*” to owe „*kilkanaście pierwszych godzin*” lewicy getta stołecznego.

Pomnikiem fałszowania historii przez europejski (unijny) Salon — Salon, którym dyryguje Bundesrepublik Deutschland — jest otwarty w Brukseli (2017) Dom Histo-



Cyprian Kamil Norwid:
„*Falszowanie historii to dzieło
nieustannie praktykowane*”



rii Europejskiej. Relacjonuje on losy Europy metodą politpoprawną: jako tysiącletnie dzieje lewactwa europejskiego (sic!!). Curiosum? Trafniejsza byłaby chyba terminologia Michnika zwalczającego „oszołomów” kontrlewackich/kontrsalonowych: „kurwiozum”. Obiektem szczególnie zawziętej eliminacji stały się chrześcijańskie fundamenty i chrześcijańskie „kamienie milowe” Europy, a już zwłaszcza tradycja katolicka, nie tylko wycierana gumką cenzorską, lecz i szkalowana bez skrupów. Wielce jest tu pomocna dawna antykatolicka propaganda „reformacyjna” (luterńska/kalwińska), która grubo zafałszowała dzieje kilku państw, choćby Hiszpanii. Dobre imię Madrytu skutecznie splamiono wmawiając opinii publicznej kłamstwo o rzekomym bestialstwie Świętej Inkwizycji czy rzekomym okrucieństwie hiszpańskich konkwistadorów (tymczasem to nie katolicy inkwizytorzy, lecz protestanci instygatorzy palili setki ludzi na stosach, i nie konkwistadorzy, lecz Aztekowie masowo wyrwali serca żywym ludziom gwoli rytuału). Bardzo się w owym kalumnijnym procederze przydał protestantom hiszpański „pożyteczny idiota”, katolicki mnich-kronikarz Las Casas, którego pełne „fake newsów” relacje typu „fantasy” miały tyle wspólnego z rzeczywisto-

ścią co relacje średniowiecznego kronikarza, biskupa Kadłubka, o naszych przepiaszowskich triumfach nad legionami Cezara i falangami Aleksandra Macedońskiego.

Sila (vel zasięg) oddziaływania tych historycznych fałszerstw została po II Wojnie Światowej radykalnie zwiększona przez pojawienie się telewizji i szybki rozrost seriali kręconych na kanwie historycznych mitów, które tumaniły masowego widza. Exemplum serial BBC pt. „*Wolf Hall*” (2015). Przeinacza on prawdę historyczną niby sowieckie filmy z epoki stalinizmu, prezentując Thomasa Cromwella (głównego bohatera filmu), który był okrutną bestią dekalogizującą Anglię na rozkaz króla Henryka VIII, typem à la Marat, Jagoda, Jeżow czy Dzierżyński — jako świętka, wrażliwego dobroczyńcę, humanitarnego pocziwca, wzór cnót. Jednocześnie Thomas More (autor „*Utopii*”, dzisiaj święty Kościoła katolickiego) został tam zaprezentowany przez anglikańskich producentów jako sadysta, zwyrodnialec. Słowem: wszystko „up-side down”. Podobnie jak w szkalujących papieża Aleksandra VI serialach o rodzinie Borgiów, tudzież w rozmaitych innych pseudo-historycznych „tasiemcach”.

Wśród historycznych wrogów dzisiejszego europejskiego Salonu Kościoła katolicki ma status głównego przeciwnika, lecz tuż za nim plasuje się cesarz Napoleon Wielki, konserwatysta wdrażający etykę dekalogową, władca znienawidzony przez wszystkich aktywistów „postępu”, bo przywrócił religię katolicką zniszczoną jakobińskimi dekretnami hersztów Rewolucji Francuskiej. Gdy oglądałem biograficzny film o Napoleonie wyprodukowany przez Channel 5 (2002) — dusiłem się ze śmiechu słysząc kolejne idiotyzmy typu „*Kara Mustafy wielkiego Krzyżaków*”, ale to nie wyjątek, ponieważ epopea Bonapartego jest notorycznie przekłamywana bredniami, które szerzą pióra i mikrofony ignorantów/niedouków, co musi dziwić zwłaszcza w Polsce, gdzie od pierwszych lat XIX stulecia do dzisiaj „*legenda napoleońska*” ma wielu fanów i ogólnie zasięg bardzo szeroki. Exemplum wielka bitwa pod Borodino — ciągle czytamy i słyszymy, że wygrali ją Rosjanie, a przecież było dokładnie na odwrót: Francuzi i Polacy stłukli tam armię Kutuzowa, odepchnęli ją i zajęli Moskwę. Ciągłe się też słyszy lub czyta kłamstwo (od peerelowskiego historyka L. Bazyłowa, po goszystowską „*Angorę*” 10/2013), że tę zdobytą Moskwę podpalili triumfatorzy, a przecież zrobili to cofający się Rosjanie, zatrudniając przy tym wypuszczonych z więzień kryminalistów. We „*Wprost*” (sierpień 2008) czytamy o trzech żonach wielkiego Korsykańina, czym ten by się szalenie zdziwił. Itp., itd. — fałszowanie historii na każdym poziomie (od społecznych procesów lub międzynarodowych konfliktów, do wszelakich personaliów lub didaskaliów) ma się znakomicie i wróżę temu procederowi tak zwaną „*światlaną przyszłość*”. ©

Waldemar Łysiak



Największy polski producent mięsa

**Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej
oraz uznany producent wędlin.**



www.grupacedrob.pl